

Ž Y D

Przedruk wzbroniony.

B. BOLESŁAWITA
(J. I. KRASZEWSKI)



ŻYD

OBRAZY NA TLE WYPADKÓW 1863 ROKU

All is true

TOM DRUGI

WARSZAWA
DRUK SYNÓW ST. NIEMIRY
Plac Warecki 4



Nazajutrz zbudził podróżnych szmer przed gospodą, w której spoczywali, i ryk osielka, przypominający niemile koncerta wirtuozów genueńskich, które codzień do wczesnego wstawania w hotelu Federa zmuszały, rozpaczliwemi rykami biednych paryów zwierzęcego społeczeństwa.—Potrzeba było korzystać z poranka, nimby słońce dopiekać zaczęło; a dnia zeszłego niewiele też zrobili drogi i piesza ta przechadzka do Pizy obiecywała potrwać dość długo.

Ale w tym kraju uroczym, ze swobodą młodzienczą, z zadumą wiosnianą, możnaby przewędrować lata, nie zatęskniwszy za spoczynkiem, nie obliczywszy się z dniami.

Jakób był smutny i milczący, Iwaś zadumany także; długo szli, nie mówiąc słowa do siebie.

— No cóż, czyś skończył historję swoją? — zapytał wreszcie Iwaś.—Ja, nie wiem, znam już jej treść prawie całą, jak mi się zdaje, a jednak szczegółów żadny jestem... czuję, że wiele mieć będziesz do wypowiedzenia mi jeszcze, jeśli zechcesz... a nie śmiem się napierać...

— W istocie—odpowiedział Jakób—ścisłe biorąc, mógłbym ją skończyć w dwóch słowach, lub mówić o niej dwa lata, a nie wypowiedzieć i połowy tego, co dla mnie, człowieka nowego, ów świat inny, nieznany, przedstawił zadziwiających fenomenów!

Nietylko w naszym społeczeństwie, ale w ogólnym stanie kraju, łatwo mi było dostrzedz zarodki fermentacyi, zwiastujące pracę przetwarzającą, reformującą, nienniknione, a nieobrachowanych skutków.

Wszędzie spotykałem ruiny... ogrom bezładnego materiału na przyszłą budowę, nigdzie nie poczętego, nigdzie nawet planu ani idei nowego gmachu. Jedni pragnęli tylko stare mury podpierać; drudzy je nieco przerobić z góry, obalić jedno piętro, pobielić po wierzchu; inni zburzyć ze szczerem, choć nie wiedząc spełna jeszcze, co na ich miejsce postawią.

Tak, gdy wybije owa godzina wieków, niepokój napada ludzkość, rzuca się ona i miota, a bądź co bądź stanie się prędzej czy później, co chce mieć wiekuiste prawo Boże...

Z poziomego wszakże stanowiska ludzkiego, rzeczy te smutnie wyglądają—jam widział początki chaosu. Fizyognomia zewnętrzna kraju jeszcze zachowywała rysy dawne, tradycyjne, ludzie jeszcze nosili myśli i mieli mowę prastarą, ale i tu... w głębi, w głębi było zwątpienie.

Nowatorów było pełno, przeczących i bluźniących przeszłości bez liku; ambitni i szarlatani na

czele, jak zawsze... najwydatniejsi, najhałaśliwiej krzyżący w imię prawdy, której koniec sztandaru spuszczały do swojej kieszeni... Przeląknęłam się prawie, wchodząc w tę ciżbę rozgorączkowaną i nie ochłonałam, ażem się z tą nową dla mnie temperaturą oswoiłam.

Do charakterystyki czasu i społeczności należą i dobrzy, kochani ludzie, których spotkałam po drodze—pełno...

Przeważna ich liczba ogromną odgrywała rolę. Żadnych zasad!.. ale powolność największa i wyrozumiałość niezrównana dla cudzych grzechów, aby wyjednać swoim pobbąkanie; uśmiech w ustach, słodycz w mowie, serdeczność w wyrażeniach niezmierna, pokrywająca chłód i przewrotność... Wszakże mieniono ich dobrymi, bardzo dobrymi ludźmi: szczególnie przy kieliszku i w wesołym gronie... Dobroć zawisła na tem, by im wszystko uchodziło bezkarnie... a oni za to puszczały płazem winy bliźniego.

Tą dobrocią pocziwych i kochanych współbraci, ziomków, towarzyszy, przyjaciół, społeczność powoli rujnowała się moralnie... Napaść na nadużycie, było to targnąć się na uświęconą pocziwość, na uzyskaną popularność, na uznaną cnotę...

Daruj mi ten ustęp—rzekł Jakób—ale z pomiędzy wielkich i sławionych ludzi owych lat w Warszawie, większa część, najpopularniejsza, należała do tych pocziwców, o jakich mówię.

Choćbyś ojca rodzzonego zabił, byleś uściskał z uszanowaniem jednego z tych dostojnych mężów

i nie zbuntował się przeciw jego wielkości—mogłeś być pewien bezkarności. Ale niech Bóg uchowa, byś się miał targnąć na jaką uznaną zasługę! Nawczas cały solidarny orszak tych bohaterów rzucał na cię kamieniem...

Tknąłeś świętość społeczną... winienesz był śmierci, jak Sokrates... co się targnął na bałwany ateńskie. Spokój rzeczypospolitej wymagał, by cię na śmierć pojono cykutą. Za to, kto ujął sobie owych wielkich ludzi, mógł broić w dzień biały... było mu wolno, należał już do tych... pocziwych! kochanych!!

Mój opiekun patrzył na mnie z uwagą i wnioskował, zapewne ze znajdowania się wśród nowych żywiołów, o naturze mojej... Nie sądzę, by mu powściągliwość początkowa nie przypadła do smaku; zdawał się, owszem, że mnie zadowolony, jak na początek. Nie wiem czemu lubił mnie badać, gdyśmy zostali sam na sam: uwagi moje podobały mu się wogóle... chociaż czasem się z nich uśmiechał.

Znalazł mnie tylko nadto Żydem, że się tak wyrażę... w stosunku do siebie. Gdy w sobotę oświadczyłem mu, że wedle obyczaju religijnego, pójść chcę do synagogi, z początku się zdziwił, pomyślał, potem zapytał mnie:

— Cóż to? chcesz zostać wiernym tym starym bredniom i przesądom?

— Daruj mi pan—odpowiedziałem—ale ja Żydem byłem, jestem i chcę pozostać...

— No! no! jak wola twoja—rzekł—ale dziś już niema tu Żydów, przedewszystkiem człowiekiem

być potrzeba. Żydostwo to może cię powstrzymać na drodze, wikłać, trzeba się otrząść z tego, lub przygotować na wiele niepotrzebnych trudności.

Zamilkłem, a on dodał:

— Zresztą, zupełna w tym względzie wolność, uczynisz, panie Jakóbie, jak zechcesz... rozpatrzywszy się tu lepiej.

— Od tej chwili, zdaje mi się, ten *esprit fort* osądził mnie jako dość słabego człowieka, na którego wiele rachować nie było można...! Dotknął granicy, po za którą, czuł, że nie przejdę... Nie chcąc widać, ażebym uległ jakiemu wpływowi obcemu, sam mi w rozmowie wskazał swojego przyjaciela, który, jak się wyraził, podobnym mi był w przekonaniach. Był to bardzo majątny kupiec, człowiek już stary, którego znałem z widzenia... a słyszałem o nim wiele, jako o widomej głowie naszego społeczeństwa, która wszakże była tylko widomą, gdyż inni nią kierowali i rządili, posługując się wielką ambicyą małego człowieka.

Chcąc bliżej poznać pana Louis Mann, poszedłem do niego nazajutrz z uszanowaniem. Wiedział już, kto byłem, bo mnie u mojego opiekuna widział parę razy i rozmawiał ze mną, alem się tam do niego zbliżyć nie mógł, wydał mi się bowiem dumnym, nieprzystępnym i opryskliwym. Wybrawszy godzinę, w której go zastać byłem pewny, udałem się do jego pomieszkania. Zajmował on dosyć paradnie urządzone pierwsze piętro, w którym się mieścił z żoną i trzema córkami. Syn już miał dom osobny..

Zadzwońłem u drzwi, znalazłem przy nich lokaja, który mnie zameldował w sąsiednim salonie, gdzie były panny i kilku mężczyzn. Bawiono się, śmiano i rozmawiano wesoło. Mann, kazawszy mi wszakże na siebie wyczekać dobry kwadrans, wyszedł do pierwszego pokoju i nie znajdując stosownem wprowadzić w swe towarzystwo, przyjął tu, jako interesanta tylko, dość grzecznie, ale protekcyjnalnie i jakby co najrychlej pragnąc się mnie pozbyć. Oczywiście, dawał mi do zrozumienia, że hołd sobie należny od współwyznawcy przyjmuje, ale zbyt się zbliżać nie ma ochoty. Położenie moje było dosyć ambarasujące; przez drzwi otwarte widziałem przesuwające się postrojone panny, samą panią, także bardzo wspaniale przybraną, wreszcie kilku elegantów, a stałem tu, jakby żebrak, nie proszony nawet, bym usiadł przed panem Mannem, który jedną nogę wsparłszy na kanapce, ręce powkladałszy w kieszenie, patrzył, przebąkując coś do mnie, przez okno... dłubiąc od niechcienia w zębach.

Jeśli mi tem przyjęciem chciał dać do zrozumienia, że byłem dlań nader maleńką figurą, nie dokazał, czego pragnął, bom się przy mojem ubóstwie, nicości, małości, uczułem wielkim poczuciem własnej godności i politowanie miałem tylko dla niego. Nie obraziłem się nawet i nie pogniewałem, w duszy, spokojnie przypatrując się tej niezręcznej dumie dorobkowicza. Od pierwszego słowa zaczął mi dawać nauki i przestrogi, do których jakoś dziwnie mieszały się przypomnienia to znakomito-

ści izraelskich, to dygnitarzy krajowych, to osób wysokiego dworu, z którymi żył w poufających stosunkach.

Co mnie to obchodzić mogło?

Chciał koniecznie olśnić... dla mnie były to pstrocizny, nie blaski. Przy rannym surducie spostrzegłem trzy orderowe wstążeczki ..

— Młodzieńcze — rzekł do mnie — bardzo się cieszę, że ten pocciwy mój przyjaciel podał ci rękę, uczyniże mu pociechę swą pracą, a narodowi naszemu chlubę. Pomożemy ci wszyscy, ale się potrzeba tego stać godnym.

Wśród rozmowy, przez ciąg której patrzył nieprzerwanie w okno, nie racząc nawet obejrzeć się na mnie, wyszła bardzo ładna panienka, strojna, z przymrużonemi oczkami, jakby tylko obejrzeć mnie chciała, zbliżyła się do ojca, położyła mu rękę na ramieniu i nie kiwnąwszy mi nawet głową, coś mu poszeptala, śmiejąc się, do ucha. Był to dla mnie znak, ażebym co rychlej wyszedł, czułem się już nad miarę natrętnym i zabierałem do odwrotu, samemu pilno mi było.

Mann wcale nie myślał wstrzymywać: lekko bardzo pożegnał mnie i powrócił do salonu, do którego snąć było mu spieszo. Dowiedziałem się później o wielu jego dobrych uczynkach, ale, słusznie czy nie, wszystkie one tłumaczono niezmierną próżnością tego człowieka. Miałby w istocie zasługę, że w najtrudniejszych czasach wszędzie otwarcie stawał za Żydami i za Żydami jawnie się ujmował, że się pochodzenia nie wypierał, chlubił niem na-

wet, ale za to sam chciał wszędzie reprezentować swój naród i wciskać się, gdzie tylko było można, w jego imieniu. Często robił to i niepotrzebnie, i niezręcznie.

Był on, jakem już powiedział, widomym wodziem, ale otaczała go niewidoma falanga doradców zręcznych, którzy już znali środki, jakimi prowadzić go było potrzeba i jak mu własne zdanie podsunąć, by je przyjął za swoje. Przeze drzwi, zawsze otwarte próżności, wniknąć było można jedynie do wnętrza, ukłoniwszy się nisko na progu; uznany jako wódz, używany do roboty jako narzędzie błyszczące, zadowolony był z siebie.

Nigdy powierzchowność lepiej nie malowała człowieka: mały, przysadzisty, szerokich ramion, ogromnie otyły, rozrostły, zdawał się zawsze niekontent, zawsze nadąsany, lub przygnieciony pracy niewałem, która na głowę jego spadała; zdawał się na ramionach dźwigać świat cały i chcieć dać uczuć wszystkim, że tylko taka potęga, jak jego, brzemieniu temu podołać mogła. W prywatnem życiu grał rolę znaną w teatrze francuzkim *du bourru bienfaisant*.

W gruncie był to wcale niezły człowiek, ale bliżej z nim obcując, przekonałem się, że jego ortodoksja izraelska nie była szczerą, używał jej za narzędzie tylko... w istocie tak dobrze w nic na świecie nie wierzył, jak inni towarzysze tej samej sfery...

Oba z moim opiekunem, chociaż każdy na swój sposób, nienawidzili zarówno szlachtę polską...

Ja, nie dzielając wcale tego uczucia, widziałem w niem tylko jakąś namiętą zazdrość, której powody były dla mnie ukryte: zdawała mi się poniżającą nas...

Nie okazywali oni tego uczucia jawnie, żyli bardzo dobrze z wielu obywatelami jak najwybitniej noszącymi swe szlachectwo, przyjaźnili się z nimi... ale, niestety! z obu stron podobno, pod tą przyjaźnią zwierzchnią, gorzała rodowa, wiekowa, nieprzejednana, dziecinna nienawiść. Chcieć było poznać wady i śmieszności Żydów, trzeba o nie spytać szlachty—i odwrotnie. Nikt słabych stron obu obozów nie znał lepiej, nad skrytych antagonistów; gdy nie można było uderzyć na co innego, hito z obu stron w niezliczone drobnostki, śmieszne, małe, których naturalnie wszędzie pełno...

Dla ciekawego, jak ja, chciwego postrzegacza, miasto tak ludne i ożywione, przedstawiało arenę wielce zajmującą, przedewszystkiem jednak starałem się poznać to, co mnie najmocniej obchodziło: współbraci moich, mój naród. Od dzieciństwa wyrabiał się we mnie gorące doń przywiązanie i pragnienie dlań dobra; nie mogłem sobie pochwlebiać, bym ja, słaby, nieznany, bez wpływu, bez nauki, mógł mu być użytecznym, a jednak głos jakiś wewnętrzny mówił mi, pędził mnie, abym się o to starał. Śnilem nieraz, by być dla moich polskich współbraci drugim Bar Majmonem, by ich podźwignąć z upadku... chodziłem, pieszcząc się tą myślą, alem jeszcze nie wyobrażał sobie, żeby istotnie reforma była tak potrzebną i by sięgnąć miała w te

sfery wyższe, od których spodziewałem się poparcia, a w nich znalazłem straszniejszą nad te przesady, z którymi walczyć zamierzałem — obojętność na wszystko i niewiarę.

Nie rzucając mej ulubionej myśli (możesz się z niej śmiać—dodał Jakób)—myśli stania się czemś w Izraelu, tu dopiero, na tym gruncie, zrozumiałem, jak zadanie było trudnem, jak się doń przygotowywać należało.

Pełniąc moje obowiązki, starając się poznać świat i ludzi, oddałem się znowu ze świeżym umysłem czytaniu Biblii i rozmyśleniom nad Zakonem.

Czas ten, spędzony w stolicy, dając mi poznać ogrom tego, na co się ważyłem, był dla mnie pełen nauki i marzeń najśrodszych. Spotykałem codzień prawie ludzi nowych, wyzywałem rozmowy, przekonywałem się, że ta reforma, którą wystawiałem sobie jako oczyszczenie Talmudu i sformułowanie systematyczne naszej nauki, z odrzuceniem z niej tego, co wieki ciemnoty i upadku w nią wrzuciły, głównie i najpilniej była potrzebna, bo pod pozorem przesądów, zabobonów i t. p., odrzucano już nawet Biblię, której powaga zachwiana została.

Z ludźmi, jak moj opiekun, jak tysiące jemu podobnych i większa część żydowskiej społeczności, w której już wszelkie niezucie religijne wygasło, nieskończenie było trudniej począć, niż z fanatykami, przywiązanymi przesadzoną ważnością do form, obrzędów i t. p.

Człowieka, wierzącego w nadto wiele rzeczy, ale szanującego powagę, tradycję i mającego w duszy jakieś ziarenko wiary, stokroć łatwiej nawrócić przychodzi, niż tego, który wyśmiawszy wszystko odrzuca i zimnym rozumem chce zagadkę życia rozplątać.

Skąd mi, drobnej istocie, przyszły te zamiary olbrzymie, nie wiem; małym jeszcze będąc, pragnąłem się umysłem wzbić nad innych, nie dla panowania im, ale dla podźwignięcia. Upadek mojego narodu był główną marzeń pobudką, ale gdy się zmieniła scena, rozszerzyło pole, gdy jeszcze mniejszym ujrzałem się wpośród tego potęg świata, nie zwątpiłem o sobie, owszem, rozszerzył się zakres, wyrosły chęci, cały zebrałem się w duszy mojej, by dopiąć celu.

Nie chciałem się tylko spieszyć, ani objawiać zawczasie, póki bym siebie pewnym nie był, a słabej strony tego świata nie zbadał.

Nie uląkłbym się być niczego, przeraziłem się chłodem i absolutną niewiarą... ateusze stanowili ogromną większość, nie z Żydami miałem do czynienia, ale z ludźmi, co wszelki, narodowy i religijny, starli i stracili charakter.

Nie zrażony poznaniem jednego z koryfeuszów naszych, pana Manna, szedłem dalej, usiłując się zbliżyć do tych, których opinia, rozsądek, przymioty, stosunki rozleglejsze, wskazywały mi, jako przodujących. Z małemi różnicami ogłady lub gburowstwa, były to typu jednego warianty nieskończone.

Znużony niemi. zszedłem już z prawdziwą pociechą do niższych klas, u których, jeśli nie wiara, to jej formy żyły jeszcze... Tu znowu pomiędzy życiem a wiarą była — przepaść. Zepsucie straszliwe, systematyczne, zimne, tradycyjne, wszechstronne i wśród tłumu ludzi ledwie gdzie wybrańsza istota.

To wszystko dowodziło mi coraz mocniej, że myśl reformy moja była na dobie, że przychodziłem z nią w czas, że... (daruj) mogłem być narzędziem Bożem, acz niegodnem, dla podźwignięcia Izraela.

Iwaś uśmiechnął się, spoglądając na Jakóba, którego twarz wypogodzona, jasna, poważna, promieniała szczerem, głębokiem natchnieniem.

— Jakto?— spytał—nie zgubiłeś tej mrzonki na bruku warszawskim?

— Nie — odparł Jakób—przyszedłem z nią, chodząc, wyniosłem i powracam niosąc nazad; myśl ta jest całym życiem mojem.

— Niestety! — odparł Iwaś—przyszedłeś bardzo nie w porę! Minęły dni proroków i prawodawców, przeszły te wieki, gdy człowiek energiczny pociągał za sobą tłumy... Prozelityzm wszelki jest niemożebnością w społeczeństwie, w którem indywiduum tak samoistną gra rolę, gdzie każdy czuje się sobą i równo z wami uprawnionym do rozumowania, reformowania, postępowania wedle swojego własnego, wewnętrznego głosu.

— Takby było, jak mówisz—zawołał Jakób—gdyby w miarę, jak się ogólne wykształcenie po-

dnosi, nie winien był ów prorok, nowy umysłem. też i cnotą dźwignąć się jeszcze wyżej nad oświecone tłumy. Postrzeżenie twe trafne, ale wszystko się rozstrzyga miarą tego człowieka, który ma wyrzec wpływ stanowczy...

— Maszże ty nadzieję dorosnąć do tej żądanej wielkości? — spytał niedowierzająco Iwaś.

— Ja nie wiem — rzekł Jakób spokojnie — ale samo poczucie posłanictwa jest dla mnie jego dowodem. Mogę upaść z mojej winy... noszę jednak w piersi tchnienie Boże, które mi, chociażbym upaść miał, iść każe...

— O! biedny szalenicze! — szepnął cicho towarzysz podróży — jakież cię czekają losy?

— Ciężar tego, co podźwignąć mogę, znam dobrze — mówił dalej Jakób — o sobie nie myślę wcale, idzie mi o cel wielki, o zadanie tak potężne, iż wartoby być pod niem zgruchotanym... Ty wcale — dodał z westchnieniem — ty mnie nie rozumiesz!

— Uczyni, hym, choć obcy wam, mógł cię zrozumieć — odezwał się Iwaś — bo już, nie pojmując cię, wielbie...

I ścisnął serdecznie dłoń towarzysza.

— Mało znam Żydów i ich naukę, ale mam współczucie dla waszego narodu... jego losy są w części naszymi.

W jednym z tych podręczników szkolnych, z których nam niegdyś początkową historję wkładano sposobem katechizmowym, przez pytania i odpowiedzi, moskiewski, dowcipny pedagog postawił uczniowi pytanie: — Jakie są narody nie ma-

jące ojczyzny?—Odpowiedzią na nie urzędową jest: —Żydzi, Cyganie i Polacy.— Głupstwo to, niby złośliwe, jakiegoś moskiewskiego diaczka, utkwiło w mojej pamięci od czasu, jakem je usłyszał... Jest w istocie pomiędzy losem naszym a waszym niejedno podobieństwo, ale i niejedna różnica. Wasze nieszczęście sięga tych wieków, gdy je dzikością walk różnoplemiennych poniekąd nniewinnić można,—nasze dopełniło się i spełnia w epoce, która na swej chorągwi zapisała braterstwo, prawo, pokój, swobodę! W losach naszych, ze strony nieprzyjaciół, jest więcej cynizmu, dolegliwsza sprzecznością z całym światem XIX wieku, ironia losu!.. Ale powracaj do Żydów.

— Znasz mnie więc teraz coraz lepiej —mówił powoli Jakób—widzisz przed sobą, jeśli chcesz, fanatyka, wyśtańca... człowieka, co wierzy, spodziewa się... i ma wielki, jasny przed sobą cel życia...

Podróż tę moją, nie dla czego innego przedsięwziętem, tylko dla lepszago przygotowania się do spełnienia tego mojego postanowienia. Wracam z niej, mocniej niż kiedy przeswiadczony o potrzebie tego, co dopełnić pragnąłem i pragnę. Widziałem Żydów niemal wszystkich krajów; wszędzie znalazłem też same dwie choroby, trawiące naszą społeczność—obojętność i niewiarę, która nas czyni kosmopolitami, lub fanatyzm i ciemnotę, która oddziela, odpycha i odcina od ludzkości.

Pod działaniem tych dwojga rozczyzników, będziemy musieli zginąć—rozproszony Izrael wsiąknie w ziemię... bo narody bez wiary i tradycji, naro-

dami być przestają, — a narody odcięte od macierzyńskiego łona ludzkości, żyjące zupełnie odrębnym żywotem, w sobie tylko, wyczerpują się, koszlawieją, kaleczą i giną... Tego, co by nas dziś jeszcze istotnie narodem, z posłanictwem odrębnem, uczynić mogło — nie mamy, straciliśmy, odzyskać to musimy, bądźcobądź... lub śmierć...

— I ty chcesz tego dokonać?

— Chcę przynajmniej wskazać, co jest do wykonania... A dla czegożbym i sam do dzieła ręki nie miał przyłożyć, gdybym spotężniał tak, abym był zdolny głos podnieść? — odparł Jakób. — Człowiek, który chce, ma wolę silną, posiada już połowę potęgi potrzebnej do czynu, jeśli nie całą.

— Nie całą — dodał Iwaś — bo rozum, co wskazuje cel jasno, lub instynkt, który ku niemu ciągnie gwałtownie, stanowią drugą...

— Masz słuszość — odparł Żyd powoli.

— Mówże dalej, proszę — po chwili milczenia odezwał się Iwaś — jestem rozjątrzony i ciekawy, jak sobie pociąłeś w Warszawie.

— Nie, lub bardzo niewiele mogłem tam uczynić; — mówił dalej Jakób. — Jako baczny gospodarz, opatrzyłem tylko rolę do posiewu, badałem ją... Treść mych postrzeżeń już ci po części wiadoma; ale mi się one objawiły z taką rozmaitością form, że jej nie potrafię objąć całej w kilku słowach. Około tych dwóch głównych typów, mojego krewnego i jego przyjaciela Manna, kręciło się tysiące mniej więcej różnych, choć w głównych rysach do nich podobnych.

Zaraz po mych odwiedzinach u pana Manna, zapytał mnie ciekawie o niego opiekun, zapewne z wrażenia mego o tym człowieku, którego znał doskonale, chcąc sądzić nie tak o nim, jak raczej o mnie:

— Byłeś u Manna?

— Byłem—odrzekłem krótko i sucho.

Spojrzał badająco na mnie.

— I cóż? jakże go znajdujesz?—dodał.

Uśmiechnąłem się.

— Znalazłem go — rzekłem — tak zajęтым, że niebardzo się do niego mógł przybliżyć.

Opiekun znowu popatrzył na mnie bystro i ze zwykłą sobie trafnością odgadł wrażenie.

— Cóż?—spytał—czy cię źle przyjął? zimno?

— Ale nie... był zajęty...

— Nie uważaj na to — rzekł żywo—to gbur... Zresztą gburstwo to może jest trochę umyślne... no! ale w gruncie człek bardzo dobry... pocziwy...

Wstawaliśmy od stołu, kobiety odeszły do salonu, on mnie pociągnął za sobą do swego pokoju.

— Jakże to było? — począł dopytywać ciekawie—mów bo...

Opowiedziałem mu całą moją bytność i rozprawę u Manna szczegółowo, ale nie dając po sobie poznać żadnej urazy, bom jej w istocie nie miał.

— Jestem młody—dodałem—nie mam prawa nic wymagać... wszakże drugi raz tam iść zbytniej ochoty nie czuję.

— Owszem, owszem—marszcząc się, rzekł mój opiekun — pójść powinienes, ale zrzucić zbytnią i przesadzoną pokorę... Z ludźmi w ogóle śmiałym być potrzeba, unikając impertynencyi, pewnym siebie. Im się ich więcej lekceważy,* tem oni cenią wyżej człowieka... to prawidło powszechne. Zniź się tylko, deptać cię będą.

— Tak—odpowiedziałem— być to bardzo może, ale ja nie umiem być inaczej, tylko tak, jak mi dyktuje usposobienie; nie jestem nigdy ani śmiałym przez rozum i rachubę, ani pokornym dla jakiegoś celu, tylko takim, jakim mnie w danej chwili czyni natura moja. Jest to zapewne źle tak mało panować nad sobą, ale ja inaczej nie potrafię.

— Zatem nigdy sobie waćpan w świecie rady nie dasz—zawołał, usmiechając się, mój nauczyciel. — Człowiek, który chce mieć wpływ na ludzi i przebić się przez nich, musi grać z nimi komedję niestanną, pokorę udawać, gdy w nim wre duma, śmiałość odegrywać, kiedy drży najmocniej. Inaczej ludzie go podepcą, opanują i miotać nim będą, jak sami zechcą.

— Smutne to jest prawidło—rzekłem—wątpię, żebym się do niego zastosować potrafił. Różnimy się w zasadzie: ja życie mam za misję poważną, wy—przebaczcie,—za rolę w dramacie.

— Tak, waćpan o ludziach bardzo dobrze trzymasz i stąd cała różnica systemu—zawołał krewny mój. — Ale system wasz, piękny na oko, zły w skutkach. Otwierać pierś, odsłaniać myśl, jest to dawać się dobrowolnie na łup ludziom, których

rozum inaczej, niż za nieprzyjaciół, uważać nie dopuszcza.

— Ja z uczucia i z przekonania, z zasady — rzekłem—wolałbym w nich widzieć braci.

Stary rozśmiał się szydersko i pogłaskał mnie pod brodę.

— Kochanku mój — dodał — nie idzie o to, co tybyś wolał, ale co jest w istocie... Nie wyobrażałem sobie—mówił z politowaniem prawie—ażebys jeszcze był tak dziecinny. Wszystkie te sielankowe obrazy ludzkości ładne są w malowaniu, na obiciach i parawanach, ale w życiu praktycznym, kto na utopiach opiera rachuby, myli się zawsze. Człowiek chwilami jest dobry i bywa pocziwy, ale w gruncie skłonniejszym jest do złego; chybi więc, kto lieży na momenta wyjątkowe, a nie na stan normalny.

— Ale ludzkość się udoskonala! — zawołałem.

— Gdzie? jak? — zapytał, krzywiąc się, mój mentor.—I to brednia! Udoskonala się warsztat, narzędzie, jadło, odzież, handel... ale nie człowiek... udoskonali się to, co mu życie ułatwia, ale zachodzi pytanie jeszcze: czy te ułatwienia psują go, czy naprawiają? Tego nikt nie rozstrzygnął...

Ludzi—dodał po chwili, marszcząc brew ludzi używać potrzeba jako narzędzi, ale się w nich nie rozmiłowywać. To zaślepia, a idąc drogą, trzeba widzieć jasno... Nieużytecznych precz z drogi... bez litosci... Zdalnych wypotrzebowywać umiejętnie... to moja teoria... Czułość nie prowadzi do niczego... jest chorobą.

Jakkolwiek teoria mojego krewniaka była straszna, nie przeraziła mnie na ten raz, byłem już do niej dobrze przygotowany. Rozmowę tę przywodzę tylko w treści, abym ci lepiej dał poznać człowieka...

Był to dzień dla mnie stanowczy i pamiętny. zbliżył on nas i oddalił od siebie; po chwili bowiem stanął przede mną i wpatrując się we mnie, rzekł ciszej:

— Ponieważ ci dobrze życzę nie przez chorobliwą czułość--poprawił się—ale chcąc z ciebie pożytecznego dla mnie uczynić człowieka, winienem ci jeszcze radę jedną... W towarzystwach... do zbytku widocznie i jakby dla popisu jakiegoś, chwalisz się, przypominasz nieustannie, że jesteś Żydem... Naprzód, to śmieszność, powtóre, u nas to nie w obyczaju i szkodzić ci może...

— Jużciż, zapierać się tego, byłoby gorszą śmiesznością—rzekłem—a tego nie uczynię nigdy, bom przywiązany do mojego narodu i wiary... Stokroć nawet, przez prostą rachubę, lepiej jest wyznać samemu szczerze pochodzenie swoje, niż się z niem tać napróżno... aby nam je potem drudzy w oczy rzucali.

— Ale po cóż tak często przypominać? — spytał.

— Jam tem istotnie dumny—rzekłem.

— Dumny!—podchwycił, ruszając ramionami—no! tego nie rozumiem. Żydostwo to wasze miało swój czas, dopóki było prześladowanem: było ono

zbroją naszą i puklerzem, a dziś, do czego się to zdało?

— Ależ wiara nasza...—począłem.

— Co wiara! Co wiara!!—przerwał mi, machając ręką pogardliwie — co to jest? Wszystkie one są jednakie—to mleczko dla niemowląt! Wierzysz więc—dodał z uśmiechem—że osłem i wołem, razem zaprzężonemi, orać się nie godzi, ani krwi mieszać z mlekiem... i jedwabiu z wełną? i że kto w szkole nie odpowie:—amen!—ten pójdzie do piekła?

— Szanuję — zawolałem — nawet te przepisy mojej wiary, chociaż dziś mi je trudno sobie wytłumaczyć. W prawie mojżeszowem to, że na polu ziarn mieszać nie dozwolono, tłumaczę sobie wszakże prostym, zdrowym przepisem gospodarskim; że orać słabszem, wraz z mocniejszym stworzeniem, nie dopuszczono, widzę w tem opiekę nad zwierzęciem; w mieszaniu krwi z mlekiem, przepis dyetyczny, potrzebny zdrowiu może; w odzieży *lex sumptuaria* broniącą zbytków i t. p. Wogóle cały ten zakaz mieszanin wszelakich, kryje myśl Izraelowi potrzebną, aby różnorodnych pierwiastków zabronąć połączenia i wpoić tę prawdę ludowi, który sam też z innemi mieszać się nie był powinien. Wszystko to szanuję, choćbym nie rozumiał, a szkolne *amen* znajduję obowiązkowem, boć kto odpowiadać nie chciał, wyłączał się z narodu, z ogółu, lekceważył prawo...

Opiekun mój stał, chwilę słuchał, zdziwił się nicco moim zapałem, potem dodał, ruszając ramionami:

— Trzeba się pozbyć przesądów...

— Nic przeczę — rzekłem — ale od przesądów oddzielić należy tradycję poszanowania godne i—wiarę...

— Ale co tam ta wiara!

Ruszył, śmiejąc się, ramionami...

— Rzec, której się nie określa...—odparłem;—kto nie czuje jej potrzeby, nie zrozumie nigdy definicyi.

— Znać na tobie pierwszych twych nauczycieli i młodość, przy fanatyku belferze spędzoną — odezwał się —umysł jeszcze nie wytrzeźwiony.

— Nie pragnę się wcale otrząsnąć z tego, co mnie czyni wybranego narodu członkiem — odpowiedziałem—zostawcie mnie z tem...

— Dajmy temu pokój — przerwał opiekun — samo to przejdzie powoli; życzę tylko i proszę, nie odzywaj się zbytnio z tem, nie przechwalaj nadto. Toleruje dzisiejsza społeczność wszystko, ale fanatyzm okrywa śmiesznością, bo zdradza słabość umysłu, lub chorobę...

Milczałem, on chodził po pokoju wielkimi krokami.

— Zapewne — mruczał z cicha — nigdy z nas żaden nie zapomni kim jest, kim byli jego ojcowie... ale z tem żydostwem, które nam szkodzi między ludźmi, nie trzeba się popisywać.

Takim, jak widzisz, był opiekun mój, życie jego ściśle się stosowało do prawd, które wyznawał, rządził się w niem rozumem, rachubą, często namiętnością, choć tę umiał w potrzebie okiełznać—

lecz nigdy uczuciem, bo tego nie miał, lub się najżywiej od niego obraniał. Czy temu on był winien, natura, czy wychowanie,—nie wiem. W gruncie, każdy jego krok był bardzo rozważną rachubą, rachubą na wpływ, opinię, rozgłos, siłę, przewagę, na reputację cnoty i prawości, dobroczynności, bezinteresowności, rozumu i t. p. Kochał dziecię, ale po swojemu, rozporządzał niem wedle swej myśli, bo tę miał za najlepszą; kształcił, nie jakby ono chciało, ale jak jemu było dogodniej i milej. W gruncie straszniejszego despoty nie znałem nad niego, mimo form przyzwoitych. Miał też instynkt zachowawczy despotyzmu, który nie porywa się na to, czemu poddać nie może i o coby się rozbił, a ustępując, słabość swą dał poznać.

Z teorii jego wypadało, że powinien był łączyć stosunki jak najrozleglejsze; jemu też winien je byłem, gdyż sam nie miałem wielkiej ochoty zbliżać się do ludzi, których zawsze brać było potrzeba, jak on się wyrażał, przebojem. Często wiódł mnie z sobą do domów i osób, o których wiedziałam, że mu były nienawistne; nie cierpiąc ich, wchodził przecież z uśmiechem, grał rolę życzliwego przyjaciela, przymówek nie rozumiał, nie słyszał, co go obrażać mogło i nie zrażał się ani chłodem, ani okazywaną mu niechęcią widoczną. Siłę i energię miał tak wyrobioną, że to, co mnie oburzało najgwałtowniej, na nim pozornie najmniejszego nie czyniło wrażenia—ściągawszy wargi, uśmiechał się tylko... Ale gdy mógł potem zrzucić ma-

ske, naówczas, im dłużej i głębiej tajona, tem straszliwsza buchała zeń nienawiść.

Nigdy też nie darował urazy, nie przebaczył uchybienia, nie dał się przebłagać; jeśli był dotknięty, mścił się nienasyconą zemstą... Rozum tylko, który w nim panował nad wszystkim, hamował objawy namiętności niebezpieczne...

Rok pierwszy pobytu w stolicy, już mi dał poznać ten świat, jak wielce misterną machinę, złożoną z przeróżnaitych kólek tysiąca; tę grę ludzi, interesow, namiętności, słabostek, zachceń, ambicyj i spekulacyj, z której zręcznie się wywikłać było potrzeba, ażeby nie być zgniecionym.

Przekonywałem się codzień, że nie byłem stworzony do tego żywota sztucznego, w którym, wedle przestrogi mego krewnego, komedję grać nieustannie było potrzeba. Obrałem inną drogę, postanowiłem iść przebojem, ale otwarciem.

Ludzie, którzy zawsze z siebie sądzą o drugich, znaleźli i to komedyi rodzajem, rodzajem rachuby (przypisywali mi rozum i wyrachowanie przemądre) — a nie wydało im się to tak bardzo złem

Nie mogę skarżyć się, aby mnie, z moją prostotą, się nie wiodło; ale w tym świecie blagi, ja, z moją prawdomównością, otwartością, odwagę przekonań, uchodziłem, jakem się później dowiedział, tylko za zręczniejszego blagiera, za Barnuma w nowym rodzaju, przybierającego niezwykle charakter, aby tem większe uczynić wrażenie.

Inaczej być nie mogło—dodał Jakób.—Przekonany głęboko, odzywając się szczerze, walcząc za zasady moje—zyskałem tylko sławę wielkich nadziei komedyanta: nie mieściło się im w głowie, aby kto miał przekonania i zasady, i w imię ich szedł drogą prostą. Oburzało mnie to, ale dawało miarę ludzi i czasu, w którym nic nie jest... a wszystko stoi na owem: *mundus vult decipi, ergo decipiatur*.

Jedyną pociecha tych ciężkich dni próby i zwątpienia—była Tilda. Aż nadto już wypowiadałem się wam z tego, jakim ją kochał i czem była ta miłość nasza, cichy kwiat, ukryty w liściach zielonych. Z nią przynajmniej, nie posadzany, szczerem być mogłem; uczucie, trafniejsze nad wszelkie rozumowania, dawało jej wiarę we mnie i słowa moje. Mówiliśmy o wszystkim, co zwykłych rozmów między młodym mężczyzną a kobietą nie bywa przedmiotem, ale też Tilda była daleko wyżej, poważniej wykształconą, niż zwykle bywają młode panienki jej wieku i stanu. Nie wiem, jakim cudem nauka, rozmyślanie, badanie, serca w niej nie tknęły i nie wyziębiły.

Wielu jednak rzeczy dotknąć nie mogłem mówiąc z nią, boby w ich ocenieniu domyśliła się łatwo zdania mego o ojcu swoim, dla którego i ja, bądźco bądź, miałem poszanowanie, a jej miłości dla niego nadwierać nie chciałem. Czułem wszakże z przypadkowych wzmianek, iż kochając go, wielce bolała nad nim.

Życia jego domyślała się więcej, niż je znała: umiał bowiem urządzać je tak, aby z dogodzeniem namiętnościom wszelkim, pogodzić jak najściślej *decorum* i przyzwoitość.

Po roku milczenia, nie wiem, przypadkiem czy umyślnie, opiekun znowu wprowadził rozmowę na rzeczy wiary; chciał widocznie zbadać, jakie wrażenie na mnie uczynił pobyt w stolicy dłuższy; spodziewał się znaleźć zobojętniałym... a zdumiał się, postrzegłszy rozegzaltowanym. Zdziwiło go to mocno, ale potraciwszy o tę strunę, wydającą dźwięk dlań fałszywy, przerwał zaraz badanie rozpoczęte.

W kilka dni potem wskazał mi domy, do których życzył sobie, bym uczęszczał, obrachowawszy, iż towarzystwo to oddziaływać na mnie może.

Jednym z nich był, szczególnie w istocie, dom pewien, rodziny bardzo możnej Izraelitów, z pokolenia Levi, w której było członków wielu, żyjących w zgodzie zupełnej, chociaż jeden z nich pozostał Izraelitą, drugi był przeszedł do protestantyzmu, inny przyjął katolicyzm. Krewny mój stawił mi ich za przykład i wzór obojętności w rzeczach wiary, która jemu się wydawała przymiotem, dla mnie potwornością szkaradną, upodlającą, nie-darowaną.

Z zetknięcia się z tymi panami przekonałem się, że w istocie nie mieli religii absolutnie żadnej, racjonalizm suchy i niebardzo nawet logiczny, a nadewszystko nie głęboko zapuszczający się w kwestye donioślejsze, zastępował im wszystko. Dotykałem często w rozmowie z nimi tradycy

naszych, znalazłem albo nieświadomość ich zadziwiającą, lub obojętne zaparcie i tłumaczenie sceptyczne; musiałem stawać w ich obronie, a wówczas, gdym się gorąco walczyć zabierał, nikt nawet nie raczył wystąpić ze mną w szranki, tak drażliwem wydawało się samo wywołanie izraelskich zasad.

Ten smutek, jaki panował w duszy Tildy, znajdowałem niemal w całej społeczności kobiecej. Dzieliła się ona tylko na dwa wielkie obozy: kobiet lekkich, niemyślących, bez zasad żadnych—i tych, które mając szlachetne instynkta, a nie mogąc ich przeżyć w sobie dla braku zasobów, nie umiając ich usprawiedliwić, żyły walcząc, cierpiąc, przeczuwając i tęskniąc... nieszczęśliwe... Brakło im zawsze tego, co człowiek czerpie z przeszłości rodu i narodu swojego, od czego, gdy się dobrowolnie oddzieli, błąka się smutny i cierpiący. Żadna z tych pań nie śmiała otwarcie uznać się Żydówką, wszystkie chciały do nowego należeć świata, a w tym świecie nie wiedziały, gdzie sobie szukać schronienia.

Nie dziwiłem się im—dodał Jakób—gdy sercem stęsknionem, opustoszonem, zwracały się potajemnie ku wierze waszej; nie miały własnej, a potrzeba duszy wymagała jej.

Wśród takiej rozmowy, która Iwasiowi dawała wiele do myślenia, przeszedł podróżnym naszym dzień cały; nie spieszyli wcale i choć najęli sobie parę osieków, drugiego dnia jeszcze zaledwie byli o kilka godzin drogi od Genui.

W jednym z tych malowniczych miasteczek, a raczej wiosek włoskich, które nad morzem stoją na skałach, uwieńczone w cyprysy, palmy i pomarańczowe drzewa, owite bluszczami, opasane laurem i mirtami, ocienione sady oliwnemi, obwieszane winną latoroślą, przypadł im nocleg dnia drugiego.

Mrok padał. gdy szukając gospody, wsunęli się w ciasną uliczkę mieściny, pospinaną u góry, jakby klamrami, sklepieniami dawnymi, podtrzymującemi wysokie mury domostw. Zdawa już widać było Albergo, stał przed nim właśnie powóz wyprzężony.

— Ha! ha! — zawołał Iwaś, spostrzegłszy go— gdyby wszystkie włoskie *vettury* i *legna* nie były do siebie podobne, jak dwie krople wody, przysięgłbym, że oto powóz, którym twój znajomi, państwo Segel... czy jak tam się oni zowią... wyjechali z Superby... ale to...

Jakób zatrzymał się w tej chwili, bo poznał także w bramie Alberga stojącego pana Henryka, męża pięknej Tildy. ale... z kobietą... której twarz zwrócona była do wnętrza domu... Postać wszakże wcale do Tildy nie była podobną; różniła się od niej kształtami daleko wspanialej rozwiniętymi...

— Czekaj no, to bardzo być może, żeśmy na nich trafili— odparł Jakób — bo oto... przysięgłbym, że widzę przed sobą... pana Henryka. Ale to imaginacja...

— Chyba nie—zawołał Iwaś—bo niezawodnie on... on...

Jakóbowi aż serce zabiło.

— Nie, to być nie może — dodał szybko — rachując nawet na najpówolniejszą jazdę, na łamanie się vettury, jużby nas dawno wyprzedzić powinni...

Wtem zawołał żywo:

— Ale tak! to oni! to Henryk! Cóż się stało? Chyba zachorowała może?

Mieli się zbliżyć, gdy jakaś myśl tajemna go powstrzymała.

— Musimy — rzekł do Iwasia — szukać gospody gdzieindziej, nie wypada mi się narzucać... onaby mnie mogła posądzić, że za nią gonię, jako jakiś pospolity, natrętny kochanek... tego ja nie chcę. Idź i przekonaj się, jeśliś łaskaw, czy to oni...

Iwaś pospieszył, Jakób usiadł tymczasem na krześle pod jakimś *Cafe di gran Colombo*, u którego drzwi wypadkiem się byli zatrzymali. Upłynął dobry kwadrans, nim wysłaniec, który aż do wnętrza Albergo dotarł, powrócił, ale z twarzą zakłopotaną.

— Cóż tam? — zapytał Jakób.

— No coś, czego ja nie rozumiem — odezwał się Iwaś, ruszając ramionami. — Widziałem sam, jak wyjeżdżali z Genui, — tymczasem jest to wprowadzie on, ale kobieta z nim wcale inna.

— To ci się śni! — zawołał, śmiejąc się, Jakób — nie przypatrzyłeś się jej naówczas, nie poznałeś teraz.

— Ale ba! — zawołał młody człowiek — tamtę ja, dopóki życia, będę pamiętał, jej wejrzenie nie zapomina się nigdy... a ta, ha, to jest jakaś mło-

dziuchna, tłusta, wesoła Włoszka, trzpiotowata... jak niebo do ziemi, a raczej jak ziemia do nieba, do tamtej niepodobna.

— A no, więc i mężczyzna też chyba nie on... ale inny ktoś...

— Mężczyzna to niezawodnie on — rzekł Iwaś.

— I jest ich tylko dwoje? — spytał niedowierzająco Jakób.

— A dwoje, i zdają się rozmilowani w sobie tymczasem, jak para gołębi. Panna czy pani, zajada brzoskwinie i rzuca mu w twarz pestkami, śmieje się i śpiewa, aż ją tu słyszać.

Jakób potrząsnął głową.

— Idę — rzekł wstając — bo jestem pewny, że to ci się coś przywidzieć musiało... jakaś omyłka... inni ludzie...!

Poszli oba, ale o kilka kroków Jakób, wpatrując się w twarz mężczyzny, zatrzymał się znowu, poznał Henryka, nie było najmniejszej wątpliwości, że to był on... tylko istotnie niewiadomo z kim... z kimś, wyglądającym bardzo na baletnicę teatru Carlo Felice.

Już się miał Jakób cofnąć po tym rekonesansie, gdy Henryk Segel, zobaczywszy go, sam pierwszy wesoło pozdrowił i zbliżył się ku niemu.

— A! to ty? — zawołał śmiejąc się — łapiesz mnie na gorącym uczynku...! Wystaw sobie, Tilda chora... została w Genui, odprowadziwszy mnie do Nervi... przepędzi tam jeszcze spokojnie parę tygodni... ja potrzebowałem się trochę przejechać i właśnie w drodze, trafem, spotkaliśmy się z dawną

moją dobrą znajomą, signorą Gigante... która... uśmiechnął się dwuznacznie — narzuciła mi się gwałtem na towarzyszkę... Pojmujesz—dodał—jestem taki znudzony, zmęczony tą jednostajnością życia, żeś przyjął jej projekt i wycieczkę z ochotą... *affaire de rire un peu*. Gigante jest wyśmienita, głupia i wesoła, jak dziecko: nie wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia zabawna... To mnie przynajmniej cokolwiek rozerwie.

Mówił to, jak się rzecz w świecie najnaturalniejszą opowiada. Jakób stał osłupiały, uszom swym prawie nie wierząc, nie wiedział, co mu odpowiedzieć, był oburzony i wściekły.

— Tilda—dodał mąż—Tilda, *vous savez*, jest najdoskonalszą między niewiastami, ale ideały nawet w końcu trują, gdy się ich używa do zbytku. Zawsze o poważnych rzeczach poważnie rozprawiać niepodobna, człowiek pracy, jak ja, potrzebuje się rozerwać, wytchnąć... Gigante jest nieocenionym pajazzo w spódnicy. No, chodź, wszakże podzielcie z nami wieczerzę... *affaire de rire*, mówię ci, uśmiejesz się.

Jakób był gniewny, rzucił nań okiem płomieniem z razu, ale wnet dziwne jakieś uczucie szatańsko ścisnęło mu serce, rozśmiał się dziko.

— Najchętniej—rzekł z ironią—na to jest życie, żeby się bawić!

Gigante już się, sama niecierpliwiąc, zbliżała ku nim, widocznie intrygowali ją ci dwaj młodzi podróżni, którym przyglądała się z ciekawością, szczególnież Jakóbowi. Iwaś był dla niej za mi-

zerny, za ubogi, za mało obiecujący. Szła ku nim ze śpiewką na ustach, którą wśród ulicy wesołym nuciła głosem:

Oh quanto tempo sola sono stata,
Sola soletta come vedovella!
Che cor fu il tuo vedermi abandonata
E lasciar senza sole la tua stella!

Wyrazy tej ludowej piosenki były szydersko zastosowane do Henryka:

„Jakżeś na długo opuścił mnie samą,
Samą, samintką. jak wdowę!
Miałeś to serce tak biedną porzucić,
Swoją gwiazdeczkę bez słońca!“

Segel śmiał się, słuchając tej apostrofy, której towarzyszyły ruchy wyraziste, pociągające go na powrót. Nie skończywszy tego czułego śpiewu, z innego tonu, wesoło, poczęła panna Gigante odmienną wcale, drugą, której treść dziwacznie się z melodyą sprzeczała, bo wyrazy były bolesne, a śpiew szalenie radosny i pijany:

La tortora che ha perso la compagna,
Fa una vita molto dolorosa.
Va in fiumicello, e vi si bagna,
E beve di quell' aequa torbidosà;
Cogli altri uccelli non ci siacompagna;
Negli alberi fioriti non si posa;
Si bagna l'ale e si percuote il petto.
Ha perso la compagna: oh che tormento!

Żywa pantomina, przedstawiająca biedną turkawczkę, towarzyszyła temu śpiewowi:

Turkawka, która straci towarzysza.
Żyje bolesnym żywotem...
Leci do rzeczki i kąpie się w wodzie
I pije wodę zimą...
Z innymi ptaki nie poleci razem.
Kąpie swe skrzydła i piersi rozdziera,
Straciła towarzysza! o męczarnie!

Towarzyszem turkawki straconym był widocznie pan Henryk, który się śmiał do rozpuku. Signora, odegrawszy ten popisowy prolog, zbliżyła się. Henryk, zamruczawszy coś, obu panów jej przedstawił.

— *A! Signori Polachi!* Ja bardzo kocham Polaków — szczebiotała żywo, kręcąc się Włoszka. — *E vivet la povera Polonia!* Cha! cha! Czyż to prawda, że u was tak zimno, tak zimno, że czasem wyrazy marzną w powietrzu i dopiero na wiosnę tają?

Bolonia... Polonia... ale to nie jedno przecie?
un poë di martiri...

Potem przerwała:

— Byliście w Genui? chodziliście do teatru... ja przecie tańczę i śpiewam w Carlo Felice... nie w *diurno*... często występuję w chórach i zwracam oczy... dawno mam przyobiecana rolę *di primo mezzo soprano*. Widzieliście mnie może w roli wróżki? Nie? To szkoda!

— Signora Gigante — przerwał Henryk — powoli, powoli, wszystko im wypowiesz odrazu, a cóż zostanie na potem?

— O! tyle umiem piosenek — odparła — jak nikt z całych Włoch... mam ich pełne kieszenie. Zresztą, gdyby mi słów zabrakło, będę na nich patrzyła, aż poszaleją... tobie na złość, zazdrośniku!

— Ale ja wcale nie zazdrosny! — rzekł Henryk.

— Jakto nie? Powinieneś nim być, kiedy się kochamy, to należy do twojej roli...

— Ale tylko do Lukki, wedle umowy! — rzekł śmiejąc się Henryk

— Nic nie szkodzi, nim dojdziemy do Lukki, ja cię do szaleństwa doprowadzę! — zawołała też śmiejąc się. — A wy, panowie artyści. wędrujący pieszo, dokąd? Czy wolno spytać?

— My idziemy do Pizy! — rzekł Iwaś.

— A! do Pizy! Piza *morta!* nudna! cmentarz... Arno jakby pomyi było pełne... błotniste... fe! fe! — przerwała Włoszka. — Panowie powinniście pójść za moim wozem zwycięskim do Lukki, tam każdemu z was dam — po fidze i pożegnam.

Zaczęła się śmiać do rozpuku i znowu śpiewać:

Cupido, che siei giudice d'amore,
Giudica questo fatto, e manifesta,
E dimmi chi lo soffre piu dolore,
L'uomo che va, sa donna che resta!

(Kupido, któryś jest miłości sędzią,
Sądz ten czyn, proszę, wyrokuj,
I powiedz, kto z nas cierpi więcej:
Mężczyzna, który rzuca, czy kobieta opuszczona?)

Skończyła znowu śpiew śmiechem, ujęła Henryka pod rękę i pogłaskała pod brodę, deklamując przesadnie:

Elor di bambace!
Senti la chitarra cosa dice:
Non più guerra, bien mio, famo la pace.

(Kwiecie bawełny! Słuchaj, co mówi gitara: Dosyć wojny mój drogi, zawrzyjmy pokój z sobą).

Piosenki były dobrze podobierane. Henryk dał jej dłoń na znak zgody.

Jakób szedł, słuchał, napawał się jakąś goryczą, która się na chmurnem przebijala czołe. Po stał tak chwilę, potem, nic nie mówiąc, skłoniwszy się za ledwie, wysunął się i opuścił wesołe towarzystwo.

Wytłumaczył się bolem głowy, zostawując chudego Iwasia na pastwę pannie Gigante. Serce mu krwią zachodziło. Mąż tej biednej kobiety, która tam sama jedna pozostała, włóczył się, goniąc najpospolitsze rozrywki, jeśli się to nawet rozrywkami godziło nazywać... a ona! Mógł sobie już wyobrazić to pożycie, którego wymowną próbkę dał ten wypadek.

Jako człowiek rozkochany i stęskniony, cierpiał także Jakób i doznawał przykrego uczucia, myśląc sobie, że mógł być pozostać w Genui, widzieć ją, może mówić... Była samą.

Ale wprędce wzdrygnął się na myśl zdrady i takiego potajemnego korzystania z nieobecności męża—uwłaczającego im obojgu.

— Co się stało—rzekł w duchu, pojąc się gorczyzą — stało się dobrze, opatrzenie, choć boleśnie: nie powinienem zatruwać jej spokoju, starać się zbliżyć do niej, rozdzierać serce jej i sobie. Rozdzielił nas los, bo mnie wołają obowiązki wielkie, ją boleść, która jej cześć przynosi; nie mamy prawa kraść chwil tego raj, który nie do nas należy. Dola pędzi dalej a dalej żelazną różgą... idźmy!

Późno w noc powrócił do mieszkania wspólnego Iwaś, dobrze podpojony i rozmarzony przez niegodziwą Gigante, która ścierpieć nie mogąc, że się jej wydał obojętnym, oczyma go na węgiel paliła, śmiejąc się, wdzięczając, zarzucając niedorzecznościami pytaniami. Signore Enrico, który na tę filibustierską wyprawę przybrał imię don Fernanda i mienił się być Hiszpanem, był uszczęśliwiony swą zdobyczą, jej wesołością i głupotą... Wieczór spędzili nader huczno, ochoczo i trzpiocząc się po młodemu.

Zmieszał się Iwaś, wszedłszy ze śpiewką na ustach, której go nauczyła signora Gigante, zastając Jakóba nad Biblią... Była to zwykła pociecha biednego człowieka, który w strapieniu uciekał się do ulubionych swoich ksiąg, proroków, psalmów i Hioba.

Późno w noc, dogorewająca lampka zmusiła go czytanie porzucić.

Wstał i przechadzał się smętny po pokoju, Iwaś nie spał, zawstydzony i przybity jego smutkiem...

— Byłeś kiedy w Dreźnie?— spytał go z nie-nacka, stając przed jego łóżkiem, Jakób.

— Byłem — odparł młody człowiek, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Widziałeś tam poemat izraelskiej przeszłości—mówił Jakób—ponury, tęskny, bolesny, który ja wolę nad dzisiejszą rozpustę bezmyślną z bogatych bachurów, takich, jak ten Henryk... Widziałeś cmentarz żydowski Ruisdaela?

— Widziałem...—rzekł cicho młody człowiek—przestraszył mnie, ale go nie zrozumiał, jest to zagadkowy obraz, przerażający bólem, jaki z niego tryska...

— Całymi godzinami można się wpatrywać w tę kartę, w ten poemat niewysłowionych smutków—mówił Jakób—niezglebionej boleści tajemnej... prze-rażającej, jak historia Atrydów, napiętnowanej fatalizmem wiekowym dziejów nieubłaganych... Ale ja wolę te łzy, co płyną u cmentarza wielkiego malarza, niż śmiech, co się rozlega z ust bezmyślnego Henryka, przedstawiającego całe pokolenie ogłupiałe zbytkiem, okamieniałe od złota...

Cóż to za cudowny utwór, ten kawał szarego płótna, na którym zrazu widać tylko pokłębione chmury i kilka czarnych drzew, które burza odarła!

Przypatrzyć się jednak... niebo ciemne, trochę kamieni, pnąc drzew i gąszcze tajemnicze, głębokie... przez jakieś porwane trzęsawiska sączy się zgniły strumień,—oto cały materiał obrazu, stworzonego z tych kilku rzeczy pospolitych... z siłą wyrazu niewypowiedzianą. Ów niedoszły lekarz, a arty-

sta zachwycający, Ruisdael, malarz posepnych skał, ruin, wody, ani w swym klasztorze, ani w zamku, ani w lasach i jeziorach mnogich, równie może pięknych, ale daleko mniej wymownych, nie wypowiedział tak całego swojego geniuszu, jak tutaj... Tu on jest mistrzem, podnoszącym się do epopei... Nigdy jeszcze krajobraz nie był tak straszny, tak zarazem jasno mówiący, tak majestatycznie wielki i piękny... żaden jasny Claude Lorrain, uśmiechający się grą południowych promieni słonecznych, żaden Salvator Rosa, ze zbójecką jaskinią i rozczochranymi drzewy, martwymi gruzami i ziemnymi bryły, nie potrafi tak wiele wyśpiewać.. To tęskna karta czarnych dziejow narodu odepchniętego, prześladowanego, który na cmentarnem nawet wygnaniu, wśród zgnilizny i ruin, nie ma na ziemi spokoju... Tu ludzi niema, ale jest burza, ulewa i potok, który niszczy i rozrywa... nawet kości śpiące w grobowcach.

Fatalizm i tu ich ściga...

Chcąc dolę Izraelitow odmalować, nie mógł malarz nic innego wybrać, nad cmentarz cmentarza... Spoczynek i tu jeszcze niepewny — pod ruiną świątyni zburzonej... na której gruzach dwoje ludzi modli się gdzieś w głębi, czekając, by burza odeszła i zaświeciło słońce.

Ale w końcu XVII wieku, gdy obraz ten malował, tęcza jeszcze była daleko, słońce za chmurami, promyk jego zaledwie się przedzierał i padał na grób, nad którym dzikie kwitły krzewy...

Co tu za smutek, jakie przerażenie panuje w całym obrazie... wypowiedzieć niepodobna... To miejsce ostatniego spoczynku wygnańców, zdaje się prześladować niegościnna ziemia... woda podmywa groby, drzewa je poją wilgocią cieniów, burza rozwała i miota gałęzmi, a mimo to.. dwoje ludzi się tu modli i kwiat biały rozkwita nadzieją wiosny...

Tak—na pozór sam smutek więcej od tej karty, zapisanej wszystkimi rozpaczami wygnania i śmierci na obcej ziemi; straszną się zdaje, bez nadziei i przyszłości, ale na tle niebios, oprócz dalekiej tęczy, oprócz niedostrzeżonego prawie kąta niebios jasnego... jest coś, co zwiastuje pokój i wypoczynek. Na jednym, jedynym białym, potraskanym już grobowcu, świeci promyczka słonecznego odblask, po nad nim tulący go krzew dziki weselnem kwieciem się rozwija. I dwoje ludzi się modli, mężczyzna i niewiasta, skrytych głęboko, zaledwie dostrzeżonych.

Wiosna, modlitwa, promień słońca... ledwie są dostrzeżone oku tego, co pilniej spoziera w te czarne, chmurne obłony, samą zdające się rozpaczą i żałobą okrywać...

Cmentarz był całą historią Izraelitów w Europie, od wieków aż po dzień dzisiejszy, gdy się nią stała giełda... gdyśmy wnieśli się do pałaców po zrujnowanych panach i sami zapragnęli być niemi.

Niestety! umieliśmy płakać na grobach, nie umiemy śmiać się w tych złocistych pustkach i trzeba będzie może znowu tysięcy lat próby nowej, abyśmy odzyskali tę godność, jaką nas okrywało męczeństwo...

Jakób westchnął...

Nazajutrz rano wstał Iwaś, sposobiąc się do dalszej podróży, ale towarzysza swego już nie znalazł w mieszkaniu; gospodyni oznajmiła mu, że o pierwszym brzasku wyszedł z książką nad brzeg morza.

Ranek był prześliczny, po gładkiej wód powierzchni snuły się łodzie rybackie z opadłemi żaglami białemi, słońce pasy złotemi odbijało się w lazurach tych cudnych fali, stworzonych, by kołysały do snów i marzeń szczęśliwych.

Niepodal od gospody, gdzie była kupka drzew, Jakób zasiadł na kamieniach u brzegu, spoczywał i wczytany w księgę, zdawał się cały w tym widoku i w swych dumach zatopionym.

Iwaś miał zrazu na sumieniu przerwać mu myśli poważne, które go od świata odrywały, ale słońce zaczynało dopiekać, trzeba było z dnia korzystać; po chwili więc wahania, zbliżył się powoli do towarzysza i powitał go. Jakób podniósł głowę, na twarzy jego znać było ślady przebolałych godzin i walki wewnętrznej, ale już uspokojonej rozmyślaniami.

— Słuchaj — rzekł do Iwasia — po co my się tak bardzo spieszyć mamy? czy nie moglibyśmy tu, nad spokojnym morza brzegiem, przesiadzić choćby jeden dzień, by zebrać ducha i wypocząć?

— Jak chcesz — odparł Iwaś — dzień jeden w długiej podróży nie waży wiele. Pojmuję bardzo, że po doznanym bólu, chciałbyś wytchnąć i zaczerpnąć siły od tej matki, którą, jak Anteusz stopą, duchem musi dotknąć człowiek, gdy osłabnie. Ale wyznam ci—dodał z cicha—że mnie coraz większa opanowuje tęsknica. Ty może nie masz uczucia tego, ono mnie, mimo postrachu, gna i pędzi ku chmurnemu niebu, nad którym zawisł ucisk, gdzie panuje płacz i tęsknica, a przecież droższy on mi jest nad wszystko. Nie mam tam nikogo, nie mam zagona własnego na tej ziemi, przecież tęsknię do niej i ściska mi się serce na jej wspomnienie, i codzień mi tam pilniej powrócić.

— Nie sądz, by to uczucie było mi obcem — rzekł Jakób—i ja kocham tę smętnych losów ziemię, i jam się tam urodził, wychował, marzył, i ja jej przedewszystkiem winienem samego siebie. To niewysłowione uczucie miłości ojczyzny, które jest zbiorem wszystkich uczuć szlachetnych, rozgrzewa też serce moje.

— Dlaczegoż nie wszystkich twych braci zároveň!—westchnął Iwaś.

— Ciężkie to do rozwiązania pytanie — odparł Jakób—ale najprędzej na nie odpowie przeszłość.

Nieśmy nie mieli, nie też kochać nie mogliśmy: lepsze serca, z potrzeby uczucia, kochały boleść swoją; gorsze zrażały się do całego świata.

Przypomnij, czem był Żyd w średnich wiekach, prawie aż do naszych czasów? czem on jeszcze nawet do tej chwili! Znaczono nas na odzieży, jak zapowietrzonych; odbierano nam prawa najdroższe człowiekowi: byliśmy banitami wśród krajn, każdy się znęcać mógł nad nami bezkarnie; naostatek obrzucano nas potwarzami najdzikszemi, nie było zgrozy, którejbyśmy się nie dopuszczali. Pod takim uciskiem, mogłaż się wyrobić miłość dla kraju i jego instytucyi? dla ludzkości wogóle, z której nas wyłączano?

— Jakkolwiek—rzekł Iwaś—wcale nie jestem chwalcą przeszłości i daleko skłonniejszym do potępiania jej, niż do uniewinniania, spytam cię się wszakże — gdzie było inaczej? w jakim kraju było lepiej? Na dowód, że w Polsce nie musiało być gorzej, dosyć jest tego, że w niej wszakże było Żydów więcej niż gdzieindziej, że się tu osiedlali przychodząc zewsząd, a od nas nie wychodzili nigdzie. Wyjątkowo były prześladowania, ogólnie prawo osłaniało; fanatyzm religijny dopuszczał się często ucisku, ale gdzież podobnych przykładów nie znajdziecie?

— Zgadzam się na to wszystko — rzekł Jakób—wieleście wy, ale dużo i my sami winniśmy; dziś jest lżej nie dlatego, żeby nam sprawiedliwość oddać chciano — skutek to wieku, obyczajów łagodniejszych, naostatek tej zimnej obojętności, która,

według mnie, jest chorobą wieku. Nie prześladowają Żydów, bo w istocie oni Żydami być przestają, a wam też chrześcijaństwo z serc wystygło. Fana-tyzm przy ciemnocie był straszliwy, ale kto wie, czy dla ludzkości zgubniejszą nie będzie niewiara.

Dlatego myślę i płaczę myśląc, jakby od niej choćby mój naród, który pierwszy poznał prawego Boga, wybawić — jakby weni tętnąć odżywionego, religijnego ducha. Patrz — dodał — otosmy wczoraj mieli mały przykład żywota człowieka, który nie czuje nad sobą żadnego prawa obowiązującego i otrząśł się z wszelkiego wstydu i uczucia. Człowiek ten, porzuciwszy gdzieś chorą żonę, uciekł rozrywać się z najpospolitszą w świecie kobietą, pogardy godną. To jeszcze nic może, słabość głupia, powiesz mi,—ale czyś postrzegł w nim najmniejszy wstyd, gdyśmy go niespodzianie zaskoczyli? Jemu sie to zdawa o naturalnem, zupełnie usprawiedliwionem, zwyczajnem, prostem, prawie koniecznem. Mała to próba obyczajów wieku, jam już miał przed oczyma tysiące innego rodzaju w obejściu się z ludźmi, z rodziną. Ten człowiek, co nie poszanował towarzyszek swojego życia, poszanujcz ciebie, mnie, w innych stosunkach? Jeśliś mu potrzebny, chwilowo posadzi cię u stołu, przyjmie, ugości; gdy się staniesz obojętnym,—nie pozna, odepchnie... Z moźnym i znaczącym będzie uniżonym i pokornym, z małym i słabym, hardym i bezlitośnym. Tysiące usługnych teoryj znajdzie się na usprawiedliwienie braku serca i powiedzą ci, odpychając ubogich, że ich ubóstwo pochodzi z niedołęstwa,

z próżnowania, z nieopatrności nieuleczonej; że zasiłek, dany nędzy, demoralizuje; że współczucie jest szafunkiem sił niepotrzebnych i dowodem słabości.

Świat dzisiejszy, nasz i wasz—mówił Jakób—nie szanuje już nic, widok jego zakrwawia serce; potrzeba proroka, co by Izajaszową wymową wywiódł go z drogi omyłnej, z gościńców błędu..

To mówiąc, otworzył Biblię i czytał:

„Słuchajcie wszyscy, a pilnujcie narodowie z daleka Pan z żywota powołał mnie, z żywota matki mojej wspomniął na imię moje... I położył usta moje, jako miecz ostry, pod cieniem ręki Swej zakrył mnie... I położył mię jako strzałę wyborną... w sajdaku Swym skrył mnie. I rzekł mi:—Sługą mój jesteś, ty, Izraelu... bo się w tobie chlubić będę...

„A jam rzekł;—Próżnom pracowałem, bez przyczyny i po próżnicy strawiłem siłę moją, przetoż sąd mój z Panem, a sprawa moja z Bogiem moim...

„A teraz mówi Pan, który mnie utworzył z żywota sługą Sobie, abych nawrócił Jakóba ku Niemu, a Izrael nie zbierze się... I jestem wstawion przed oczyma Pańskimi...”

Ileż razy—szeptał po cichu—odczytywałem to miejsce, stosując je milcząco do siebie, zuchwały! Dziś od tych chwil pierwszych daleko... dla mnie upłynęła już ćwierć najdłuższego życia człowieczego, ja stoję w miejscu wkuty, nie uczyniwszy kroku, nie posunąłem się wcale... nie wiem już nawet dokąd iść... choć wiem, że potrzeba, abym szedł...

Gdyby powstał inny prorok — dodał — powłóknębym się w ślady jego, jako służebnik... Ale śmiechy rozlegają się po pustkowiu, biesiaduje Izrael z niewiernymi, z córkami Moabitów, pieści się i ucztuje z poganą i miesza się z pokalanymi... a Bóg mu nawet, wzgardziwszy nim, nie chce zesłać męża, co by nań zawołał... bo już może lud ten niegodzien jest wejścia Bożego, głosu Bożego i męża od Boga zesłanego.

I wyście nad nas nie lepsi — zawołał, unosząc się Jakób i powstając z ziemi — i wy, jak my, w strasliwym jesteście upadku: szaleni, pijani, rozpasani na szyderstwo. Gdzież Bóg wasz? gdzie jakikolwiek Bóg i jakakolwiek świętość w świecie dzisiejszym? gdzie wasza gwiazda przewodnia? Ciemności ogarnęły ziemię... zapalono lampy, przyniesiono dzbany, legli rozpustnicy na łóżach i ucztują Baltazary... nie warci, by palec Boży napisał im przestrożę na ścianie...

Sąż to ludzie, te istoty obleczone ludzkim ciałem, mówiące językiem człowieczym, a bez ducha, bez serca i bez Boga?..

Wiesz, przeszedłem świat stary ten... płynąłem na Wschód, zwiedziłem grody Palestyny i narody, pomiędzy którymi rozsypany jest Izrael, badałem Mahometanów i siadałem pod namiotem Arabów; wszędzie już wionął ten duch śmierci, zwątpienia, duch niewiary.

Tłumy jeszcze wloką się do Mekki, ale to szczątki ubiegłych wieków, niedobitki przeszłości. Starzy jeszcze czytają Biblię, ale to węgle ostatnie.

co iskrzą się pod kupą popiołów. Pomiedzy ehrze-scijanami więcej znalazłem frymarezących wiara, niż wierzących, religia stała się stronictwem, laską, na której opiera się kulawa polityka zardzewiałych ludzi: rachubą, spekulacją, towarzystwem na akeye, ale nie jest już dla nich świętością... Jej obrońcy są żołnierzem najemnym, bronią oni wiary po kon-dotiersku, ale sami jej nie mają... Vuillot się może nie spowiadać, a z pewnością się nie modli... ale za to jak plwa w twarz swoim antagonistom przeciwnego towarzystwa, akeyonaryuszom wolnego myślenia! Dla innych ludzi starego autoramentu, religia, to mundur należący do ich stami, który przy-wdziewają, aby widziano, że do niebieskiej krwi należą. Gdzie jest ten, co by wierzył dla siebie, po eichu, a głęboko?

W gruzy się rozsypuje tyle tysięcy lat trwającej porządek społeczny... coś nowego ma go wynagrodzić—ale dziś burzą się tylko stare gmachy, wywracają kolumny, łamią ołtarze i oczyszcza to pole, po którym, za wozem zniszczenia, przyjdzie nowy Mesyas, wybawca.

Nie dziwuję się, gdy czytam w waszych księgach przepowiednie końca świata, dla mnie on się widomie kończy, bo z rodu ludzkiego, co podlatywał ku aniołom... zmienia się człowiek w zwierzę cywilizowane...

Nielitościwym jesteś—odezwał się Iwaś powoli—ja także wierzę w nowy rzeczy porządek, ale nie sądzę, żeby miał być kataklizmem okupiony,

a gdyby tak nawet było—nie trwałby on długo i nie obalilby wszystkiego.

Jakób zadumany patrzył na morze.

— Mówmy o czem innym— rzekł—Bóg jeden wie przyszłość, my, nędzni, tylko bole terażniejszości znosić jesteśmy przeznaczeni.

— A zatem mówmyż o terażniejszosci — przerwał uśmiechając się Iwaś -- więc idziemy dalej, czy zostajemy tu?

— Zostańmy — rzekł Jakób prosząc — jestem dziś leniwy i potrzebuję się pokrzepić czytaniem, rozmową, myśleniem w pokoju... Będę słuchał morza, ono mi może co powie.

— Chory jesteś—odpowiedział towarzysz— żal mi ciebie, a po ludzku, choroba twa wzrosła, jeśli nie narodziła się z bardzo prostej przyczyny Uderz się w piersi, może ci żal, że nie zostałeś w Genui... gdzie tęskni twoja jedyna.

Jakób się smutnie uśmiechnął.

— Jakże ty mnie straszliwie po ludzku sądzisz—rzekł łagodnie — myślisz, że gdy jest sama, opuszczoną, jabym śmiał zbliżyć się do niej, aby ją narazić choćby na wewnętrzznego wstydu runienie? Mój ból nie z tego pochodzi, ale z przekonania, jak nikczemnym i niegodnym jej jest ten, z którym ją połączono... myślę, co ona z nim cierpieć musi?.. jakie jej życie z tem zwierzęciem?

— Na to nie poradzimy, choćbysmy najdłużej się tem gryzli —zawolał Iwaś—tam gdzie lekarstwa niema, po cóż się chorobie przypatrywać?

— Masz słuszność. Odwróćmy oczy, milczmy.

To mówiąc, zebrał książki rozrzucone na ziemi i powoli szli razem ku gospodzie. Jakób po drodze czytał w nich smutny i roztargniony.

Dzień przeszedł na obojętniejszych rozmowach: w miasteczku już śladu pana Henryka nie znaleźli, on i jego towarzysza wybrali się z rana, chłodem, w dalszą drogę, na Spezie. Może dlatego Jakób pośpieszać nie chciał i został.

Nad wieczór wyszli znowu i usiedli nad morza brzegiem: wszczęła się mowa o kraju, o życiu dalszem Jakóba, a Iwaś znowu skłonił go do opowiadania o sobie.

— Koniec końcem — rzekł — ja jeszcze życia twojego nie znam całego, jakes mi przyrzekł!.. Dajesz z niego tylko powydzierane karty.

— Bo wiele w tej księdze niezapisanych, a wiele czytania nie warto. Gdybym ci chciał ten żywot, ogołocony z wielkich wypadków, w którym największego znaczenia były moralne wpływy i postrzeżenia, określić cały, nie stałoby nam czasu, tobie szczególnie cierpliwości. Często w niem jedno wejście, ruch, słowo, wiele dla mnie stanowiły, a jakże ci ich tajemnicze znaczenie wytłumaczyć?

Pracowałem w kantorze pół dnia, część byłem niemal zmuszony poświęcić towarzystwu, stosunkom z ludźmi, choćby dla poznania świata; wieczory szczęśliwemi rozmawialiśmy z Tildą, część nocy czytywałem Biblię i Talmud. Bom sobie postanowił, wśród tego zubożenia ogólnego—nie dać zawładnąć nad sobą niewiarze i odrętwiałości. Od

pierwszych dni pobytu mojego w Warszawie, zwrócił na siebie oczy moje i pociągnął serce ku sobie człowiek jeden, którego potem spotykałem prawie codziennie. Był to brat mojego opiekuna, mój też krewny daleki. Zwał się on Symon Borah.

Bracia dwaj nie lubili się z sobą. Symon naprzód nie był wcale człowiekiem praktycznym, stracił znaczną część majątku, handel jego szedł źle i biednie. Opiekun mój, już dla tego samego, że z obowiązku familijnego pomagać mu i ratować go musiał, miał wstręt do niego: potem dwie też ich natury były z sobą sprzeczne, nieprzyjazne sobie. Symon, tak dobrze jak brat jego, nie miał żadnej wiary, ale był uczuciowym, fantastą: miał serce, przywiązywał się łatwo, był płochy, dziecinny czasem, a jedynym przymiotem, rehabilitującym go w oczach ludzi, był dosyć ostry dowcip, którym drugich i siebie kaleczył niełitościwie, nie oszczędzając naturalnie i brata.

Symon dwa razy był żonaty, postradał obie żony: kobieciarz był wielki, zepsuty, sceptyk; miał wszakże w sobie coś wielce sympatycznego, jak zwykle tego rodzaju egoiści. W towarzystwie miłszego, zabawniejszego nadeń człowieka, trudno było znaleźć, obawiano się go i kochano. Takim, jakim był Symon, przedstawił się jako ciekawy owoc wieku i społeczeństwa... nie miał wiary, a chwytął chciwie co nią tchnęło, urągał się wszystkiemu, choć gotów był pokochać wszystko... uniewinniał każdego w duchu, a z wszystkich szydził niełitościwie. Ze łzą na oku, a uśmiechem na ustach,

stary, szpakowaciejący dzieciak, dawał sobą miotać tym, co go nie byli warci, a miewał fantazyę burzliwą, jak słoń na uwieży, w których nie go pohamować nie mogło.

Symon pełen był sprzeczności, a jednak ściśle logicznym w sobie. Rzekłbyś, wybujałe drzewo, którem wiatr miota na wszystkie strony, a strząsać go nie może. Niekiedy Symon bywał wielbicielem chrześcijańskiej nauki, czasem zapalonym Żydem (na przekór zawsze tym, z którymi obcował). Człowiek pierwszych wrażeń, które przyjmował namiętnie, gwałtownie: nazajutrz po burzy straszliwej, pytał, ziewając, o to, co go poruszyło, z obojętnością niepojętą.

Miał jednak to do siebie, że nigdy nie kłamał, nie udawał, a gdy prawdy powiedzieć nie mógł, milczał, gdy nie potrafił zmilczeć, rzucał myśl swą, obwiniętą w sarkazm zręczny, tak, że wielu tylko jej szata zewnętrzna była przystępną. Owoc się bronił łupiną.

Trudno, bym ci charakter ten w pełni przedstawić i dać o nim zdołał wyobrażenie. Wystaw sobie pocziwego dziwaka, zjedzonego do kości niewiarą, która go boli. Opiekun mój, wielki wszelkich przyzwoitości (jedyne prawa, jakie uznawał) wielbiciel, chociaż byle ona powierzchownie była zachowana, o nic się więcej nie troszczył: nie mógł się nigdy pogodzić z tym człowiekiem, któremu wszelka niewola ducha ciążyła. Ile razy Symon do niego przyszedł, a przychodził często, widać było niepokój na twarzy gospodarza, zwłaszcza jeżeli

osób było więcej; obawiał się i nie bez przyczyny, tego straszliwego języka. Symon też, choć się nie popisывał z dowcipem, w pochwach go nie trzymał, dobywał z ochotą, jeśli mu się sposobność nastręczyła. Mały, chudy, żółty, żywy, niepiękny, miał fizyognomię zajmującą i wiele charakteru w twarzy.

Od pierwszych dni poznania, mimo mojej młodości i usposobienia religijnego, z którem się nie kryłem wcale, przylgnął on jakos do mnie. Dowiedziałem się, że po cichu badał potem postępowanie moje i musiałem dobrą jego, powziętą o mnie opinię usprawiedliwić, gdyż coraz czulszym był dla mnie. Nie wiem, jak bystre jego oko dojrzało nawet moje do Tildy przywiązanie, jakkolwiek ciche i osłonięte — wprzód prawie, niżelim się sam do niego przed sobą przyznał. Raz, gdyśmy przypadkiem byli sami, wpatrzywszy się we mnie i poklepawszy po ramieniu, rzekł z cicha:

— Słuchaj Jakóbie, jabym ci coś powiedział...

Zwykle zwano go, nie wiedzieć dlaczego, może przez antytezę, ojcem Symonem.

— Co, ojcie Symonie?—spytałem.

— Ale ba, tyś się gotów gniewać?

— Nie—odparłem.

— Tobie z oczów patrzy, że się ty kochasz... czy w Angielce guwernantce, nie wiem; są ludzie, co utrzymują, że przewiedłe kwiatki najwięcej mają woni—ale że w tym domu, to pewna...

Krew mi uderzyła do głowy, oburzyłem się.

— A widzisz, że się gniewasz—rzekł cicho.— No, no, to między nami, tylko cię przestrzegam słowy N. Pana—*Point des reveries!* Tatko jest człowiek praktyczny, a ręce ma długie.

— Ale cóż wy znowu marzycie, ojcie Synonie...

— No, no, nie kłam, kochasz się, serce.

— Gdyby nawet tak było, choć nie jest — rzekłem — miłość moja byłaby...

— No, no, cicho — przerwał mi — ja to wiem, wszyscyśmy to mówili... Co najlepszego masz do uczynienia, to się stąd wynosić. Nie igraj z ogniem... Ten ananas nie dla nas!—dodał, kiwając głową.

— Nigdy nawet nie marzył o tem — rzekłem.

— Tak się to mówi — odpowiedział — nawet przed sobą samym... ale przestrzegam cię—dałbyś temu pokój.

Zamilkł i nie wspomniał o tem więcej, potem wyjechał zagranicę, do wód, a powróciwszy, zastał Tildę narzeczoną. Gdyśmy się po jego powrocie pierwszy raz spotkali, patrzył mi w oczy chciwie, badawczo, z politowaniem, wyczytał w nich rezygnację i cierpienie dobrze ukryte; ścisnął mi rękę, ale już nie rzekł ni słowa.

W parę dni potem spotkaliśmy się na ulicy.

— Jest to prawo święte—rzekł mi na ucho— że najśłodsze wiśnie wróble jedzą.

I poszedł spieszenie dalej.

Kochał bardzo Tildę, przeczuwał jej losy, ale z bratem, wiedział dobrze, że nawet mówić nie

było można: miał wolę żelazną, a uczucia nie wchodziły nigdy w jego rachunki.

Pracowałem ciągle gorliwie, nie dając znać po sobie, ile wewnątrz cierpiałem. Tymczasem najnie spodziewańska czekała mnie zmiana losu, mająca upragnioną obdarzyć swobodą.

Będąc na łasce opiekuna, musiałem oddać się praktyce życia po jego myśli i słuchać jego rozkazów: nauka ciągnęła mnie, ale się jej poświęcić wyłącznie, swobodnie, nie miałem prawa. Była mowa o wyprawieniu mnie zagranicę, dla dokończenia fachowego wychowania i zajęcia biurowego u jednego z korespondentów naszego domu, jam wzdychał, żeby mózdz podróżować swobodnie, uczyć się i badać, ale pomyśleć o tem nawet nie śmiałem.

Uważałem to i uważam za wskazówkę z góry, że mnie Pan Bóg cudem uwolnił z więzów i pozwolił, bym się oddał temu, ku czemu powołanym się czułem. Jednego dnia, w kilka dni po ślubie Tildy, gdym pracował nad sobą, aby tęsknicę i niepokój mego nie dać poznać, w niezwyklej godzinie odebrałem od opiekuna bilecik, wzywający mnie natychmiast do niego.

Sądziłem, że niespodziewany wypadł interes, gdy wszedłszy, znalazłem go chodzącego z dosyć kwaśną miną po pokoju. Popatrzył mi w oczy.

— Czy już wiesz? — zapytał.

— Ja? O niczem, zdaje mi się, nowem, nie jestem uwiadomiony.

— No, to ci pierwej powinszuję... choć może dla ciebie niema czego. Daleki wasz krewny, Mo-

ses Hermann z Berlina, jak ci wiadomo, bezdzietny... umarł i zapisał ci cały majątek... Zaprawdę jednak niepewny jestem, czy ci tego winszować, czy nad tem ubolewać. Ja tracę w tobie człowieka, którego chciałem wykształcić wedle mej myśli.

Stałem, jak osłupiały.

— Co myślisz? — zapytał mnie.

— Ja jeszcze sam nie wiem — rzekłem — to pewna, że oddawna pragnąłem podróżować, wyjadę więc, nie zwlekając. jeżeli pan zechcesz mnie uwolnić.

— Jesteś najzupełniej wolny — rzekł mi kwaśno. — Bardzo rad jestem, że wypadkiem dałem ci wychowanie właściwe majątkowi, który otrzymujesz tak niespodziewanie. Moses, nie wiem, czy cię tu raz widział... nie rozumiem tego...

Ruszył ramionami.

Potrzebując ochłonać, przyjsię nieco do siebie, zebrać myśli, wyszedłem wprędce. Po mieście już wieść o tem była gruchnęła: ludzie, co wczoraj mnie nie znali, lub lekceważyli, przychodzili do mnie z oświadczeniami i uściskami upokarzającemi.

Mann wyciąłował mnie publicznie w oba policzki, prorokując mi wielką przyszłość, chciał nawet prosić na śniadania, czego dotąd przykładu nie było; inni starali się mi dowieść, przekonać, że mnie od niepamiętnych czasów kochali tajemnie zawsze. Stałem się naraz bohaterem, gościem pożądanym i z niczego—człowiekiem. Wszystko to sprawił ów nagły spadek po Mosesie, którego ja w istocie prawie nie znałem.

Kilka miesięcy temu, stary przyjeżdżał do Warszawy; był to bliskim krewnym mej matki, aleśmy go po raz pierwszy w życiu widzieli.

Opiekun mój, wiedząc, iż był bezdzielnym a bogatym, przyjmował go nadzwyczaj uprzejmie. Chociaż Moses miał lat blisko siedmdziesięciu, że był wdowcem, zdawało się, iż miał jakąś myśl tajemną wydania za niego córki, ale to mu się zupełnie nie powiodło. Przez czas jego pobytu w Warszawie, niemal codziennie go widywałem i o ile poznać mogłem, bo był milczący i skryty w sobie, zdawał mi się człowiekiem jeszcze przeszłego wieku, więcej Żydem, niż dziś są wszyscy. Wychowany i zamieszkały w Niemczech, przedstawiał typ, u nas całkiem nieznaną, człowieka wykształconego, który się przecież rodzinnego nie wyrzekł charakteru. Był wszakże Niemcem potroszę z pewnych względów. Wiadomo, jak poważną rolę w literaturze, ruchu uniwersalnym, polityce nawet niemieckiej, odgrywają Żydzi Niemcy. Należał on do tej grupy ludzi myślących, pracowitych, poważnych, w których praca nie zabiła ducha: lubił poezję, sam je pisywał, ale nie w rodzaju Heinego, którego wszakże talent wynosił. Kilka razy wpadliśmy w rozmowę na przedmioty z bliska nas obchodzące, na los Żydów, na ich stan dzisiejszy, wygaśnięcie religijnego ducha. Opiekun przy nim wyśmiewał mnie, jako zagorzałego talmudystę (choć nim nie byłem i nie jestem), mówiliśmy więc o tym przedmiocie dosyć z Mosesem i byłem, jak zwykle, aż do zbytku może otwartym, wypowiadałem mu się z przekonań i programu

mojego. Chwila jedna, w której się poczułem szyderstwem rozbudzony, wyrwała mi z ust całe moje marzenia, nadzieje, pragnienia...

Moses mnie wysłuchał z uwagą, nie rzekł słowa potem, nie widzieliśmy się nawet więcej, gdyż niespodziewanie wyjechał.

Można więc sobie wystawić zdumienie moje, gdyś dowiedział się że ten, prawie nieznaną krewny, naznaczył mnie spadkobiercą swoim. Testament z zapisem tym nie łączył żadnych warunków, był prosty i krótki.

Wszyscy jednak, jak ja, zrozumieć go nie mogli—pojąłem go ofiarą uczynioną idei, którą podzielał. Opiekun mój, podobno spodziewający się sam tego znacznego spadku, z goryczą odzywał się o starcu, nazywając go niewdzięcznym, i nitki na nim pocziwiej nie zostawił.

Spotkałem się tegoż dnia i z ojcem Symonem.

— Co to za szkoda — rzekł — żeby był pocziwy Moses miał rozum umrzeć na kilka miesięcy wprzód! Rozumiesz? Ale dziś — łyżka po obiedzie — Nigdy się na świecie nic w porze nie robi! A może to i lepiej! Winszuję ci, ale zarazem przestrzegam, nie upij się pieniędzmi.

W istocie czułem sam, że mnie to, mimo woli mej, poilo, ale zarazem przypatrując się z nowego stanowiska ludziom, obrzydliwość do nich miałem, tak mi się podłymi wydali, znajdując mnie teraz innym zupełnie, niż dla nich byłem nbogi. Zaproszeniom wystarczyć teraz nie mogłem, czułościom

się opędzić: broniłem się od nich wewnętrzną pogardą.

Jak tylko opiekun mój oznajmił mi, że wolny, w samym interesie tego spadku, postanowiłem wyruszyć natychmiast i musiałem.

I otóż jak wyjechałem z kraju.

Od tego czasu, oprócz Europy, zwiedziłem Egipt, Palestynę, Turcję. Syryę... włożyłem się, przypatrując moim współwyznawcom, a teraz, jak widzisz, powracam do kraju, nie wiedząc jeszcze, co pocznę z sobą, ale z mocnem postanowieniem być moim i krajowi pożytecznym..

Iwaś westchnął.

— Szczęśliwy jesteś - - rzekł — swobodny, bogaty, nieskrępowany niczem, ileż to w istocie dobrego przy stosunkach twych, charakterze i mocy ducha uczynić możesz!

— Słuchaj — odezwał się Jakób, biorąc go za rękę—razem się będziemy o to starali, by być użytecznymi, pójdziemy oba zaprządz się do pracy; znajdziesz mnie do niej gotowym zawsze.

Iwasiowi oczy błysnęły na chwilę, ale wprędce się powstrzymał od wybuchu uczucia, błądy półśmiechu przeleciał mu po ustach.

Dziękuję ci—rzekł—zobaczymy. Na to potrzeba naprzód, żebyśmy oba do kraju powrócili, gdzie wielkie zdają się gotować rzeczy... Chciałbym już co żywiej pospieszyć...

— I ja—odpowiedział Jakób —ale nie podzielał twych przeczuć, więcej jest pewnie rzeczy, którym zapobiegać potrzeba, niż tych, które robić należy. Pomówimy o tem innym razem...

Rozmowa przerwana została.

Nazajutrz ruszyli w dalszą drogę: ale nim się dostali do Pizy, obu niepokój wewnętrzny zmusił przyspieszyć pochód. Już ze Spezyi pojechali dyliżansem, a dostawszy się do kolei, nie zatrzymując się więcej, przebyli resztę Włoch i dostali się tak do granicy kraju, do której nikt, nawet obcy, bez obawy zbliżyć się nie może. Jest to dziś jedyne państwo w Europie (jeśli europejskiem nazwać się je godzi), w którym nikt bezpiecznym nie jest, gdzie każdemu fantazya urzędnika, podejrzenie, niechęć lub doniesienie fałszywe, grożą gorzej niż śmiercią, męczarnią, wywłaszczeniem, grabieżą... Nie wiem, czy nie lepiej dostać się w ręce włoskich bandytów, niż moskiewskiego urzędu.

Kraj, w którym niema praw innych nad prawo silniejszego, gdzie rządzi tłuszcza zaledwie okrzyszanych, nieoświeconych ludzi, chciwych łupu, a lekceważących człowieka, godność jego, wiek, zasługę, cierpienie, wygląda wjeżdżającemu jak krata więzienna... po za nią inaczej się oddycha, żyje inaczej, nieszczęśliwy, co tam wpadł, jest na łasce oprawców... Z tej strony granicy był jeszcze człowiekiem, tam jest już poddanym i niewolnikiem nie jednego autokraty, ale tysiąca rozjuszonych i głodnych despotów, z których każdy w swem miejscu przedstawia cara i jego nieograniczoną siłę... Na rogatkach moskiewskich stoi ów napis *Panta: Lasciate ogni speranza voi ch'entrate.*

Było to w małej miejscinie pod Warszawą, w szerokim a pustym jej rynku, którego jeden bok stanowił schludny, nowy kościół i długi mur otaczającego cmentarza. Naprzeciw niego, rzędem, wyciągały się domy drewniane i murowane: starsze i nowe, po większej części gospody, zamieszkane przez Izraelitów. Wpółśród nich porządniejszy, o piętrze, dom murowany, znany w miasteczku pod imieniem kamienicy *per excellentiam*, na którego dole był sklep korzenny i norymberski, białął świeżo wyrestaurowany. Na facyacie jego, w pamięć tego odnowienia, dwa lewki, kształtów przypominających stare asyryjskie rzeźby, trzymające wazon z kwiatami, na którym był rok 1860, dawały się domyślać, że dom musiał do możnego Izraelity należeć. Cały jego dół zajmował ów sklep i biuro handlowe, około którego kręciło się kilku żwawych Żydków. Było to w piątek nad wieczór, a zatem w całym domu odbywały się uroczyste przygotowania do obchodzenia świętego dnia, dnia królowej—dnia Sabbathu.

Zapasy żywności wszelkiej już były wcześniej zniesione do kuchni, która przedstawiała obraz przy-

gotowań, niezmiernego ruchu i krzątania. Kilka kobiet zwijało się około ryb, gęsi pieczonej, łoszy-
nu, ciast i różnych pokarmów, przyrządzano po-
trawy, piec gorzał wielkim ogniem. W izbach mie-
szkalnych oczyszczano, zamiatano, osadzano świece
w lichtarzach, a stary Jankiel Mewes, zamyślony,
ubiera się, wróciwszy z łaźni, w świąteczne szaty,
choć słońce jeszcze było dosyć od zachodu da-
leko.

Ściśle przestrzegając prawa, mało co jadł przez
dzień cały, aby uczte wieczorną pożywać istotnie
spragniony; myśl jego przebiegała czynności całego
tygodnia i szukała w nich winy, aby je w głębi
duszy zmazać pokutą.

Jankiel Mewes był prawym, starych obyczajów
Izraelitą; chociaż rozsądkiem i otarciem się o ludzi,
mógłby zająć inne stanowisko w świecie, nie zrzu-
cił wszakże, dla wdarcia się w cywilizowańsze to-
warzystwo, ani sukni, ani wiary.

Szmer gadatliwych kobiet dochodził starego
z kuchni, gdzie, jak on podżyła, rumiana i dosyć
otyla jejmość, pani Rachel Mewes, właśnie trzy
białe przygotowywała chleby, zachowując, wedle
prawa, osobno oddzieloną częśćkę ofiarną Challah.
Sama staruszka, obmywszy ręce, wyjęła kawałek
ten ciasta i zmówiła modlitwę, przepisaną przy tym
obrzędzie:

„Bądź pochwalony Jehowah. Boże nasz, Królu
„świata, bo przez Cię jesteśmy poświęceni przyka-
„zaniem Twojemi... i Tyś nam rozkazał Challah
„oddzielać.“

Ponieważ jedna była rodzina i jedno pieczywo, jedno też tylko Challah oddzieliła stara Rachel i rzuciła je w ogień, poczem trzy białe bułki, wielkie, wstawiono w piec już gotowy.

W innym piecu stały przygotowane nadziewane szczupaki, które są nie tylko ulubioną, ale wedle tradycyjnego wykładu, nakazaną potrawą Sabbatu (Mojżesz 4. 11. 22); rodzaj pasztetu, pieczone i obfite jadła, bo na ten dzień wesela, niczego się nie skąpi.

Sam gospodarz wyszedł rzucić okiem na świeżo pomyty sprzęt, poczyszczzone noże i błyszczące misy cynowe; godzina się bowiem zbliżała, gdy miał rozpocząć modlitwy, przygotowujące do święta: rozdział prawa mojżeszowego, po hebrajsku i chaldejsku; jeden rozdział proroka, przypadający na ten dzień roku i psalm dziewięćdziesiąty trzeci.

O jakże smutnie brzmi w uszach uciśnionego narodu ta pieśń psalmisty, obiecująca mu pomstę Bożą, a zalecająca cierpliwość.

„Bóg, pomsty Pan. Bóg pomsty wolno poczyna “

Odmawiając psalm, Jankiel rozmyślał nad losami swojego narodu, oczekującego wiecznie i dokończył go głosem przejętym i drżącym:

„Zasadzą się na duszę sprawiedliwego, a krew niewinną potępia.

„I stał mi się Pan ucieczką, a Bóg mój nadzieją obrony mojej.

„I odda im nieprawość ich a we złości ich wytraci je, wytraci je Pan Bóg nasz.“ *)

Odmówił potem Jankiel kilka nadto modlitw, które prawo na ten dzień nakazuje, a że czas mu jeszcze zostawał, otworzył Talmud i padł los na następującą powieść z księgi Berachot:

„Pogański cesarz zakazał Izraelitom, pod karą śmierci, zajmować się nauką ksiąg świętych; ale nieustraszony Rabbi Akiba zebrał gorliwszych i odważniejszych około siebie i dalej, jako wprzód, nauczał otwarcie.

„Niejaki Papus, także Izraelita, mąż, który za wielce mądrego był mianu, zbliżył się doń cały drżący i rzecze:

„— Nierozsądny, czy się nie lękasz gniewu pogan? Porzuć naukę prawa, a ratuj się.

„— O! — odparł z niechęcią uczony—tyżes to jest, którego sławiono z rozumu? Rozum więc twój niczem innem nie jest, tylko głupotą. Posłuchaj bajki mojej, a osądź potem własną rolę.

*) Radziłoby należało rządowi moskiewskiemu, ażeby przepuścić przez cenzurę nie tylko Psalmy, Stary Testament, ale w ogólności całe Pismo Święte. Ewangelie i niektóre podejrzane słowa Chrystusa, pełne aluzji do uciskających i uciskanych, obietnic pomsty i innych „nieprzyzwoitych“ wyrażań. Wogóle Ewangelia tchnie duchem buntowniczym, pomimo owego. — Oddajcie cesarzowi! — Nawet w tem słówku co za gorzka ironia—każe oddawać tylko pieniądze, a nie sumienie i cześć... Żli ludzie gotowi Bóg wie jak to rozumieć i wykręcać. —Dla Rosyi dosyćby było katechizmu o czci cesarza, Pan Bóg jest tam pod władzą N. Pana.

P. A.

„Raz lis zobaczył przy brzegu strumienia ryby, które się w wodzie tam i sam miotały.— Co za niebezpieczeństwo was przeraża?—zapytał je. — Chęć nas tu i tam wyłapać—rzekły ryby—rozpięte w wodzie sieci nas przestraszają. Biedne! —zawołał lis— czemuż nie ratujecie się tu, na ląd, byłbyście zupełnie bezpieczne. Rzućcie te wody szkodliwe, chodźcie na ziemię, będziemy żyli w zgodzie, jak niegdyś ojcowie nasi.— Jesteś ty ów lis—zawołały ryby—ktorego przebiegłość chwalili wszyscy? Piękna przebiegłość! Tu, w wodzie, żywiole życia naszego, żyjemy w ciągłym strachu i obawie, a żądasz od nas dla uspokojenia, abyśmy na ląd wyszły, który jest dla nas śmiercią?

„— Pomyśl Papusie—dodał Akiba: prawo święte jest żywiołem naszym, a ty chcesz, byśmy je porzucili, dla szukania życia w innym?“

Zamyślił się nad tą przypowieścią Jankiel i przebiegłszy myślą wieki prześladowania, zapłakał, składając Bogu dzięki, że mimo wygnania, rozproszenia, ucisku, nędzy, ocalił przecie naród w sposób cudowny i zachował go, aż po dziś, bezpiecznie.

— Cóż to sprawiło, jeśli nie zachowanie prawa?

Po skończonej modlitwie, obyczaj chciał, aby gospodarz zajrzał jeszcze do przygotowań uczyty, a choć był pewien, że Rachel wszystko starannie obmyśliła, zachowując dawny obrząd, wszedł do kuchni i dotknął półmisków, w myśli pokarmy błogosławiąc.

Potem wrócił znowu do swej izby i odczytał Pieśń Salomonową.

Słońce już zachodziło, światła zapalano, uroczysta godzina przyjscia królowej się zbliżała.

Wszystko też było w gotowości, stół nakryty, izby poumiatane, Rachel włożyła suknię jedwabną, muszki i perły dziedziczne, córki jej postroiły się choć skromniej, ale starannie, sługi nawet przywdziały odzież odświętną.

Zastukano w okienice, czas był do domu modlitwy: Jankiel też już schodził ze wschodów, a za nim słudzy, stara Rachel, z ogromną księgą pod pachą, jej córki, młodsza rodzina, wszyscy, kto żył, bo gospodarz ściśle przestrzegał dopełniania obowiązków religijnych, nawet u swej czeladzi.

W tej chwili dziedziniec przed synagogą i wnijsie pełne były cisnących się z całego miasteczka, bogatych i ubogich, Izraelitów... Śpiewak rozpoczął właśnie modlitwę Aszre.

Nabożeństwo trwało czas dosyć długi, Jankiel pozostał jeszcze chwilę zamyślony, gdyż widocznie boleść miał ciężką na sercu, a powróciwszy do domu, mimo dnia wesela, czoło zachował chmurne i pofałdowane jakąś troską, wzrok jego często, mimowolnie, padał na młodszą córkę Liję, która ze spuszczonei oczyma, drżąca, stała w dali, czekając na matki rozkazy. Było to śliczne dziewczę, młodziuchne, z wyrazem niewinności i głębokiego uczucia na twarzy: w oczach jej, które rzadko śmieiej podniosła—błyskało życie młodości—ale znać było,

że się już i łzy przez nie przelały. Teraz z trwogą jakąś spoglądała na ojca.

Racheł ze starszą swą córką, odmówiwszy modlitwę, zapaliła świeczniki i lampy, a podnioswszy ręce, zawołała:

— Bądź pochwalon, Jehowa, Boże nasz, Królu świata, któryś nas przykazaniami Swemi ubłogosławił i nakazał nam zapalać światła świąteczne.

Nastąpiły inne modlitwy, ciche i głośniejsze, dom cały gorzał światłami i brzmiał śpiewy, kobiety także czytały z ksiąg.

Ale Jankiel wyszedł raz jeszcze do synagogi, niezbyt od domu oddalonej, a Rachel z córkami i sługami kończyła przygotowania do wieczerzy. Zasłany był biały obrus, zastawione talerze i misy.. wszystko się stroiło na przyjęcie królowej Sabbathu. Dwa z upieczonych chlebów sama gospodyni położyła na stół i pokryła je białym ręcznikiem. Było to przypomnienie manny, zesłanej na puszczy, pokrytej rosą, jak chleb osłonięty był płótnem białem.

Na stole stały już i dwa z woskowemi świecami lichtarze srebrne, starej formy, gdyż do świąteł w tym dniu szczególna przywiązuje się waga.

Stary pozostał znów dosyć długo w domu modlitwy, a gdy obrzęd poświęcenia wina dla obcych i przybyłych spełniono, skończywszy wieczorne modły, ukazał się nareszcie w progu domostwa swego, wymawiając słowa:

— Pełen chwały Pan, niech wam da wszystkim dobry dzień świąteczny i rok dobry...

Obie córki starego zbliżały się naówczas po błogosławieństwo. Jankiel wyciągnął ręce, składając je na głowie starszej córki, a gdy kolej przyszła na Liję, zadrżał, zatrzymał się nieco, lecz po chwili namysłu, złożył dłonie na pochylonem czole dziecka. Lija czuła, że ręka jego drżała mocno i głos drżał, gdy wymawiał powtórnie:

— Niech Bóg uczyni cię podobną Sarze. i Racheli, i Lii.

Córki poszły potem do matki, która je błogosławiła i całowała, a łzę otarła nieznacznie końcem haftowanego fartuszka.

Stary zwrócił się potem do stołu.

Pokój niech będzie z wami—rzekł—posłanicy aniołowie... anioły Najwyższego, który jest Królem królów, Świętym—niech będzie stokroć pochwalonym. Niech przyjdzie wasze będzie w pokoju, anioły pokoju, anioły Najwyższego... Pobłogosławcie nam w pokoju, anioły pokoju...

Powtórzywszy to wezwanie po trzykroć, dodał:

— On rozkaże aniołom Swoim, aby cię strzeegli na drogach wszelkich. Jehowah.. będzie strzegł wyjścia twego i wniścia twego, od teraz na wicki.

I jeszcze długą odczytawszy modlitwę, starzec skończył kantykiem Salomona i ułamkiem z księgi Sohar.

Nastąpiło, wedle starożytnego zwyczaju, poświęcenie wina (Kaddusz). - Jankiel powstał i odśpiewał wiersz z księgi Mojżeszowej głosem poważnym i znów czytał modlitwę, którą wszyscy za nim powtarzali po cichu.

— Bądź pochwalony Jehowah. Boże nasz. Królu świata, iżśś nas przykazaniami Swojemi ubłogosławił i upodobałeś nas Sobie, i dozwolił, byśmy to święto na pamiątkę dni stworzenia święcili, przez miłość i łaskę Swą...

Albowiem dzień ten jest pierwszym (przedniejszym) pomiędzy zebraniami świątecznymi i pamiątką wynijścia z niewoli egipskiej. Tyś wybrał nas i uświęcił nas nad inne narody. Twój Sabbat zostawiłeś nam na ziemi, na dowód pamięci i łaski... Bądź pochwalonym Jehowah, który dzień ten święcić każesz...

To wyrzekłszy, poniósł Jankiel do ust wino ofiarne i oddał je, aby szło wkoło, siedzącym przy stole. Znowu tedy, obmywszy ręce, zdjął sam nakrycie z Birchas (chleba szabatonowego) i położył je na niem, i błogosławił modląc się, a przytomni odpowiadali:—Amen. — Krajał potem po kawalku dla wszystkich przytomnych, a uczta się rozpoczęła wesoło i swobodniej. Ale mimo przykazu mojżeszowego, który w święto te wesołym być poleca, Jankiel próżno silił się na uśmiech; oko jego chmurne szukało i zwracało się ku Lii, która kręcąc się z dala, posługiwała przy stole.

Uczta, odprawiana wedle starożytnego obyczaju, miała w sobie coś wielce uroczystego, religijnego, była na pół ofiarą, na pół modlitwą; niepodobną była do trzpiotowatych bankietów dzisiejszych: tu ucztowano z Bogiem... przywoływano anioły, żywiono się chlebem i wspomnieniami razem... A gdy potrawy wszystkie z kolei spożyto, zakończyła się

nareszcie znowu uroczystą modlitwą, gdyż Jankiel nie opuścił nic, co wedle podań, dzień ten poczynający się Sabbatu uświęcić mogło. Już się byli wszyscy porozehodzili w cichości i stół sprzątnięto, zostawując na nim tylko część chlebów i wina, gdy stary, zamknawszy księgę, wyrzekł jeszcze ostatnie błogosławieństwo wieczorne:

„Panie świata, spojrzij, oto przebaczam wszystkim tym, którzy mnie do gniewu pobudzili i niechęci, którzy cześć moją, ciało moje, mienie moje pochwycić pragnęli, czy z musu, czy z dobrej woli, czy z błęd, czy z ochoty, słowy lub czynami; niech się im stanie teraz i we wszystkich duszy mej przejściach tak, aby nikt za mnie karanym nie był. O Jehowah, Panie mój, Boże ojców moich, pomóż mi, abym więcej przeciw Tobie nie grzeszył. A z tego, czem Cię obraziłem, rozwiąż mnie przez wielkie miłosierdzie Twoje, ale nie karą i męczarnią. Niechaj Ci słowa ust moich i uczucie serca mojego przyjemnemi będą, Jehowah, podpora moja, Zbawco mój, Panie, przebacz tym, którzy czynili nieprawość...”

I rozplakał się stary, mówiąc te słowa. Rachel, usłyszawszy w głosie jego łzy, stojąc we drzwiach izby, załamała ręce milcząc: czuła bowiem, że je wywołało nie przypomnienie doli narodu, ale zwrot jakiś myśli ku własnemu położeniu.

Ale nie śmiała wniknąć tam, gdzie się modlił, ani rzec słowa, gdyż stary wciąż jeszcze coś szeptał, aż nareszcie wstał, podszedł, dotknął ręką przybitego do ściany Mesusse i pobłogosławiwszy raz

jeszcze domowi, powoli, z głową na piersi zwieszoną, posunął się do alkierza, w którym nań żona niespokojna oczekiwała.

— Panie mój—rzekła starszka do niego, gdy usiadł, mając się rozdziewać z szat — niespokojną jestem, czyś nie chory? Nie jesteś, jak zwykle, spokojnym i wesołym, choć dzień Bóg dał świąteczny, dzień radości...

— Jeslim ja nie jest, jakimbym być powinien—rzekł Jankiel—to się staram być—nie fraszuj się o mnie zbyt—to minie...

— Ale ja wiem, co cię trapi...

— Więc nie mów mi dziś o tem—odrzekł zniżając głos Jankiel — nie mów mi nic: byłoby to dzień świąteczny smucić dobrowolnie. Módlmy się, myślmy o Bogu...

Racheł więc zamilkła.

Tak się skończył wieczór Sabbatu w tym domu starego obyczaju izraelskiego; ale mało już gdzie przestrzegano równie ściśle obrzędów, podaniem uświęconych.

Tuż naprzeciw domu starego Jankiela, był drewniany, dosyć porządny, Dawida Seebacha, ku któremu, przez okno ciemne, skierowały się z sypialni oczy pięknej Lii, nim się spać układała. Długo ona stała, z niepokojem i tęsknotą patrząc w oświetlone szyby przeciwnieległego domostwa, wzdychała, i ze spuszczoną głową, zadumana, zdawała się rozmyślać o boleści, która jej widocznie dojmowała.

Dawid Seebach, ojciec i syn, właściciele i mieszkańcy sąsiedniego domu, byli jakby bankierami

małej mieściny. W istocie Dawid ojciec od bardzo dawna zajmował się wypożyczaniem pieniędzy, tem, co dawniej lichwą zwano, dopóki ekonomia polityczna nie wytlumaczyła, że korzystanie z cudzego nieszczęścia jest zupełnie prawem i prawem, wysokość procentu połubowną umową, a więc godziwą zawsze. Jankiel stary, który się zajmował handlem, oddawna miał jakiś wstręt do tego człowieka, nadskakującego mu aż do uprzykrzenia. Dom to był ni żydowski, ani chrześcijański, a choć niby dla oka trzymano się w nim praw i zwyczajów dawnych, w istocie nie przywiązywano już do nich żadnej wagi, czyniono to tylko dla oka, z obojętnością, z szyderstwem... Dawid sam, z Żydami obcując, udawał Żyda, ale z obcymi Kuthärami, z Goimami, prześmiewał Żydów i chwalił się, że dawno pozbył się przesądów; jadał wszędzie, gdzie mu wypadło, często w drodze bywał czasu świąt; słowem, nie mając w sobie nic, czemby brak wiary zastąpił, rzucił ją, lekceważąc, dlatego, że mu była niewygodną.

Syn Dawida, Dawid, także młodszym zwany, wychowywał się w Warszawie. potem zagranicą, i całkiem już z siebie startł ślady pochodzenia. Był to młody człowiek, na pozór wychowany starannie, w istocie ostatecznie zepsuty, do robienia grosza tak zajadły, jak ojciec, i nie przebierający w środkach. Kochał też jedynaka i pysznił się nim niezmiernie pan Seebach, prorokując mu wielkie losy.

Tegoż dnia gdy Sabbat, uroczyste obchodzono w domu Jankiela, u pana Dawida zaświecono

wprawdzie świeczniki, nakryto stół wieczorny. ale ofiara chleba i wina nie została spełnioną, ojciec żadnych modlitw nie czytał i nikogo nie błogosławił. Oddawna owdowiały, oprócz syna i sług nie miał nikogo w domu, siedli więc do stołu we dwóch, a rozmowa wcale nie była budującą. Dawid. zawsze żartobliwy. gdyż nawet w najkrytyczniejszych życia chwilach posługiwał się żartami, jako bronią dosyć łatwą do wywijania, z synem także lubił dowcipować. To go uwalniało od ściślejszego rozbioru spraw i rzeczy. Syn był nie z usposobienia, ale przez swą mądrość, z jaką się chciał światu pokazać, daleko poważniejszy; miał postać i usposobienie wzgardliwe. Chytrym był na inny sposób, niż ojciec.

Dawid, jakkolwiek całkiem obojętny dla wiary i usiłujący ją nawet przedrwiwać, szczególnie przy synu, który żadnych nie zachował przesądów, krył w sobie jednak coś niewytłumaczonego. Gdy nadeszły wielkie dni świąteczne, gdy prawo dopominało się od niego spełnienia jakichś form, czuł w duszy jakby zgryzotę jakąś z ich zaniedbania; był niespokojny, czasem ukradkiem, cicho, w ciemności, szeptał modlitwę, z której szydził przed ludźmi. Zdawało mu się, że to odwróci od niego jakiegoś nieszczęście... Nie słuchał już starego Jehowy, ale jakoś się Go jeszcze obawiał, nie chcąc przed światem strachu okazać po sobie. Tego dnia, mimo przytomności syna, którego szyderstw się lękał, Dawid bardzo zręcznie umył ręce kilka razy, i modlitewki, jakie mógł zapamiętać, wyszeptał, cho-

dząc po kątach: zrobił coś naksztalt święcenia wina i podał szklankę synowi. Ale wszystko to odbyło się w sposób kradziony, ukradkowy i wcale nie uroczysty.

Syn zdawał się tego nie widzieć. Był to młody człowiek, dosyć przystojny, na którego twarzy głównie jedno malowało się uczucie: duma i zadowolenie z siebie. Ojciec je podsycał pochwałami, miłością dziwną, bałwochwalczą, a syn mu się wcale uszanowaniem za to nie wywdzięczał: był obojętny, niemal pogardliwy, przynajmniej lekceważący ojca, któremu przy każdej sposobności jego niewykształcenie i nieświadomość rzeczy wyrzucał. Ojciec, zdumiewając się mądrości syna, tłumaczył się, uniewinniał przed nim pokornie.

Dawid junior siedział u stołu w wyszywanym szlafroku, z cygarem w ustach, mimo szabasu, w okularach złotych na nosie. Okulary te, które często podnosił, bo mu w istorie zawadzały do patrzenia, teraz miał wykręcone na czoło.

Na stół podano rybę, reszki obyczaju dawnego, piczyste jakieś i herbatę. Dawid starszy ukroił chleba, nawet coś poszeptując nad nim, ale się powstydzil i modlitwy resztę połknął, syn bowiem coś zaczął nucić pod nosem z intencją szyderską.

Długo siedzieli milczący, ojciec w oczy patrzył dziecku, syn, nogi założwszy na krzesło, podśpiewywał ciągle.

No, no, o czemżeś się to tak zadumał? — zawołał nareszcie ojciec—czy nie o świętości Szabatu?...

— O! o! co ja wiem o Szabbacie królowej, ledwie pamiętam, żeśmy go dawniej obchodzili inaczej... Dziś to już śmiesznie takie ceremonie wyprawiać. Jak ten stary, głupi Jankiel... ale on się z siebie śmiać nie da!

— No co? a tobie się chce śmiać z niego? — zapytał ojciec.

— Czemu nie? stare durne Żydzisko! Ktoby to powiedział, ktoby temu uwierzył, że ten stary widocznie z jakąś niechęcią, jakby ze wzdargą patrzy na nas... prosty Żyd...

— No! no! a co nam to szkodzi?—zawołał Dawid starszy. Czy to my od tego schudniemy? czy zubożjemy?

— No, zapewne nie. nicbym sobie z tego nie robił, gdyby tak ładnej córki nie miał.

Dawid starszy plasnął w rękę.

— Co to jest? co to jest?—zawołał chmurno—nie zapominaj, że... choć z żoną nie żyjesz, żeś żonaty... Na co tobie ta bieda? Ty jeszcze o tem głupstwie myślisz... Mało to takich i piękniejszych kobiet na świecie? Czy to ty sobie, dawszy rozwód tamtej, nie wybierzesz z między nich... A waj! No! no! gdybyś chciał potem wziąć choćby córkę obywatelską, czy to nie bywało podobnych przykładów?... Jak tylko tamtej dasz rozwód, musisz się ożenić porządnie, na co mnie te proste Żydy? ja tego nie chcę... Czy to my zawsze tymi Żydami być mamy? Ty wiesz, że gdybym ja chciał, kupiłbym dziś dla ciebie taki majątek, jakiego tu żaden nie ma szlachcie naokoło.

— Oh!—rzekł syn—a na co nam majątek? Na co nam ten kłopot? Żeby te pieniądze, co przynoszą teraz dwadzieścia i trzydzieści, dawały nam cztery?

— Po co! po co!—przerwał stary—to jest prawda, ale i nieprawda. Pieniądz daje w obrocie dwadzieścia i trzydzieści, ale ty przecie wiesz jak? im więcej on ma dać, tem większy o niego strach... Żle, kiedy już procent duży! Kto się dorobił, jak my, ten całego kapitału nigdy nie ryzykuje... A co z nim robić? co? Dać bankierom naszym? Zapłacać cztery i jeszcze w nocy spać nie będę, żeby z nich który nie zbankrutował. Kupić papiery? Czy to one jutro nie mogą spaść? A nuż jaka wojna?

Ziemia, Dawidzie, to jeszcze najlepsza hipoteka, choć ona daje cztery, i dlatego ona więcej nie da, bo ją każdy łapie...

— Albo to ziemi zabrać nie mogą?

Kto?—spytał ojciec przestraszony.

Młodszy pokręcił głową.

— Albo to my we Francyi, albo w Anglii, gdzie własność jest święta? czy to u nas nie może się tak trafić, że rząd zechce kupić chłopą, a sprzedać pana? Czy to on będzie ceremonie robił?

— To jest bardzo rozumne i bardzo głębokie polityczne słówko, to, co ty teraz powiedziałeś — odrzekł ojciec, kiwając głową—to jest złote słowo! Ty jesteś wielki polityk! Ale gdyby ziemi zostało pół tylko, ona pójdzie w górę, ona musi pójść w górę, bo idzie ciągle, wszędzie... Jeszcze się ka-

piatału nie straci... A na papierach! a waj! jedna godzina...

Ale ja miałem o czem innem mówić — dodał stary po chwili — o twojem przyszłem ożenieniu. Tamto pierwsze, z tą paskudną Żydóweczką, to jest nie! na to plunąć! ty jej dasz rozwód! Na co tobie znowu ta Lija w oko wpadła? he? już ja to widzę! Na co tobie te Żydówki? Tfu! ona bardzo jest ładna... no to co? to co, że ładna? Pojedź do Warszawy, zobaczysz, co to tam są za kobiety, a wszystko można wziąć... bez wielkiego kłopotu... A tu! a waj! Co ty masz życia tracić dla takiej mizernej dziewczyny, która jak będziesz wielkim panem, tobie w salonie sięść, ani zagadać nie potrafi! Tobie trzeba wielkiej edukacyi, ty rozumny, ciebie los czeka, twoja żona musi być z wielkiego domu i wychowana choć na królewski dwór... No! a Lija? co to jest? co to jest? Pomywaczka!

— A ja myślę, jeśli się będę miał drugi raz żenić — rzekł ziewając Dawid — ja sobie myślę, żonę dla siebie wybrać nie do salonu. Wolałbym prostą, niezepsutą dziewczynę, niż najsliczniejszą taką warszawiankę, do której się jedenastu umizgało, nim się dwunasty ożenił...

— At! at! to gadanie jest! — odparł Dawid z miną nieukontentowaną — to gadanie na wiatr!.. toby było nawet rozumne, gdyby nie było bardzo głupie... Tak może gadać prosty, pospolity Żyd, który wedle Biblii chce mieć sobie dzieci... a nam czego innego trzeba. Żona to jest także kapitał! Ty jesteś tak wychowany i bogaty, ja tobie mówię, że

ty musisz być wielkim człowiekiem. Ja znam takich, co twojej pięty nie warei, a karetami jeżdżą i orderę noszą. No, a jak zostaniesz wielkim człowiekiem, co ty wówczas będziesz robił z taką Liją, która się tylko kugła piec i łokszyn siekać nauczyła? He? co? A gdzie ty ją poprowadzisz? na bal do resursy, czy na teatr? A ona jeszcze może zechce muszki włożyć, a zagada do niej jaki wielki pan, to ona sobie fartuszkciem oczy zakryje... Tobie trzeba co innego! Jaka ona będzie, to będzie, aby była wychowana po niemiecku lub po francusku, a nie po żydowsku...

Wstał nareszcie z krzesła stary i rzekł aforystycznie:

— Co to gadać! to jest Żydówka, a my już powinni przestać być Żydami, mamy już tego dość.

Dawid młodszy, nie przecząc temu, ziewał... i wyciągał się.

Siadł i stary po chwili, zamyślił się.

— Ty wiesz — rzekł — do czego możesz dojść z twoją głową i z mojemi pieniędzmi? Ty możesz być ministrem... at! at!

I machnął ręką, a machnięciem tem zgasił świecę. Zrazu porwał się ją zapalić, ale sobie przypomniał Sabbat i jakiś go strach zabobonny ogarnął... a tu znowu się wstydził przed synem pokazać swoją obawę... Sięgnąwszy już rękę, cofnął ją.

— I tak dosyć jasno! — szepnął po cichu.

Po ustach syna przebiegł niepostrzeżony prawie uśmiezek, wstał powoli z krzesła i zebrał się

na cywilne męstwo zapalenia świecy, poczem usiadł, skonfundowawszy tak ojca, i palił cygaro spokojnie.

Dawid starszy, choć bardzo lubił tytuł, i tej nie miał pociechy, w szabat się bowiem od niego wstrzymywał, ale nie przyznając się do zachowania prawa, mawiał, że głowa go boli. lub coś podobnego.

— Więc... więc ani tobie myśleć o tej Lii dodał stary, patrząc jeszcze z pewnym strachem na zapaloną świecę.— Co ona może mieć? Ja tobie policzę na palcach.. Starego Jankiela handel cały, żeby go już jak najwyżej szacować, i dom, i fabrykę, i sklepy, to—co tu może być? Nu... sto!.. sto dwadzieścia tysięcy rubli... A co to jest? Plunąć na to takiemu człowiekowi, jak ty!

— No! a kiedy my mamy dosyć!

— Jakto może być dosyć?—pochwycił stary, zdziwiony bardzo. — Co to jest dosyć? Czy kiedy może być dosyć? Jakto—ty, taki rozumny człowiek, możesz *takiego* głupstwa powiedzieć? Kiedy pieniędzy ma być dosyć? Pieniądzem robi się wszystko, a bez niego największy rozum głupi. Ja tobie już drugą żonę sam wyszukam... Lija to jest w sam raz żona dla Mortchela lub dla Judki. Daj ty temu pokój!

— A gdybym ja ją bardzo kochał? — spytał śmiejąc się młodszy.

— Co to jest?—zawołał ojciec. — Jakto, ty, tak rozumny człowiek, możesz być tak strasznie głupi? Bo to jest nierozum oddać kobiecie życie za jej piękne oczy... Człowiek taki, jak ty, musi wie-

dzieć, że kochanie to jest ogień słomiany: im się *jemu* jaśniej pali, tem *jego* prędzej zgaśnie.

Syn się począł śmiać niezmiernie, a ojciec zdumiony i szczęśliwy tym rodzajem uznania, choć w formie niebardzo milej, napuszył się aż i widocznie był uradowany.

Na tem jednak przerwała się rozmowa i byliby zapewne poszli spać, oba radzi z siebie, gdyby w tej chwili nie zapukano do drzwi.

Było w tem coś tak niezwykłego przy ~~sobie~~ ojcie i późnej godzinie, że Dawid starszy zerwał się z krzesła prawie przestraszony, a zdumiał się niezmiernie, ujrawszy po chwili wchodzącego dorodnego, pięknego, wyniosłej postaci i szlachetnej twarzy mężczyznę, którego zrazu poznać nie mógł.

Wstał, przypatrując mu się zakłopotany, a syn jego ledwie się podniósł z kanapy, ujrawszy gościa; dopiero gdy go lepiej obejrzał i poznał w nim przyzwoitego człowieka... po ubraniu i z postawy — dźwignął się, mycki i okularów poprawił.

— Przebaczysz mi, szanowny panie Dawidzie Seebach, natręctwo moje, a do tego w takiej porze i w dniu tak uroczystym.

— A! po głosie dopiero pana Jakoba poznaję— zawołał ojciec—ale skądże o tej godzinie?

— Przebaczenie mi, wytłumaczę się, rzekł żywo Jakób, gdyż on był tym spóźnionym gościem—Prawo nasze zabrania wszelkiego interesu i sprawy w dzień modlitwie i Bogu poświęconym, ale powiedziano jest w tem prawie, że ratować

i w szabat się godzi, choćby ginące zwierzę, co dopiero człowieka!

Szanowny panie Jakobie podchwycił Dawid starszy — przecież my już nie należymy do tych zabobonistów, co w szabat boją się ognia dotknąć i u kieszuli guzik oberwać. No! no! at! at! Ale proszę siadać! Co to jest? czem mogę służyć?

A! przepraszam — dodał — mój syn, Dawid... a to pan Jakob... nasz daleki krewny i którym pewnie wiele słyszałeś.

Dawid młodszy z wielką słyszał tylko jedno, że po bankierze berlińskim, Jakob odziedziczył znaczny majątek, ale to było dostatecznem, aby go przyjął bardzo grzecznie. Zaproszono powtórę siadać. Jakob, choć widocznie się czegoś niecierpliwiąc, usiadł.

— Możecie i nie jedli jeszcze? — spytał gospodarz domu.

— Przybywszy trochę późno do waszego miasteczka — odpowiedział gość — najprzód odprawiłem nasze nabożeństwo, byłem w synagodze, modliłem się, potem z gospodarzem moim zasiadłem do stołu. Nie jestem głodny.

— A! a! to wy chodźcie do szkoły? — zawołał Dawid starszy zdumiony. — No! widzisz Dawid — zwrócił się do syna — jak to jest pięknie! Człowiek tak mocno wychowany, jak pan Jakob, tak tego rozumny... a zawsze swoje prawa trzyma!

Jakob, tak wymownie pochwalony, spuścił głowę, syn się uśmiechnął, ruszając ramionami, nic nie odpowiedział.

— Jestem Żydem — rzekł, po krótkim przestanku Jakób — i pozostanę nim. Wiele zapewne w niewoli i ucisku potworzyliśmy sobie obrzędów i prawideł, których nie było w prawie mojżeszowem, ale to są wspomnienia święte dla nas i mile.

Dawid starszy widocznie był z tej mowy bardzo rad, syn się wciąż półgębkiem uśmiechał.

— Zostawmy to sumieniu każdego! — rzekł wreszcie.

Jakób zamilkł.

— No, no, ale cóż to za taki interes—zawołał starszy — żeście aż wspomnieli o niebezpieczeństwie... Co to jest?

— Udaję się do was—mówił Jakób — dlatego, żeście, chociaż dalecy, ale zawsze krewni ufam więc, że mi pomocy swej nie odmówicie... Rzecz jest taka. Podróżując po Włoszech, gdyż świeżo powracam z podróży, spotkałem młodego Polaka, który, chociaż wygnaniec, dobrowolny emigrant, zatęsknił tak za krajem, że koniecznie chciał do niego powrócić. Chłopak był znękany, ubogi, słaby, serce i sumienie kazały go ratować. Uciekł on z Polski przed kilku laty, z powodu, że był w jakąś polityczną sprawę wmieszany..

— Ach! waj! — przerwał stary, kręcąc głową i machając ręką — polityczną! polityczną! To jest zła rzecz! to jest już bardzo zła rzecz!

Młody patrzył w sufit i mileżał.

— Dostał on sobie paszport jakiś—mówił dalej Jakób — i uparł się, mimo niebezpieczeństwa, z nim do kraju powrócić... Dowiozłem go prawie

do granicy, byłbym go i dalej prowadził, gdyby on sam, przez szlachetną obawę, aby przypadkiem schwytany, mnie nie skompromitował — nie porzucił mnie cichaczem i nie pojechał przodem. Poczciwy chłopak; przebył granicę szczęśliwie jakoś, ja po nim w parę dni także przejechałam ją. Ale cóż? Oto właśnie, gdym przejeżdżał komorę, nadeszły o nim widać jakieś doniesienia, rysopis, nazwisko w pasporcie wymienione... rozkazy ściągania go i chwytania.

Dawid stary krzywil się okropnie.

— Szczęśliwym przypadkiem — mówił Jakob — dowiedziałem się o tem; pospieszyłem więc w poгон za nim, ażeby go ostrzedz, póki pora.. Domyśliłem się, jaką pojedzie drogą. Udało mi się go napędzić, zwrócić z gościńca, na którymby był niezawodnie ściągany i poszukiwany... i tu z sobą przywieźć.

Gospodarz aż się z krzesła porwał, ale pomiar-kowawszy się, usiadł znów spokojnie.

— Idzie mi więc o to — mówił spokojnie, pełen zaufania gość — żeby go tu gdzie ukryć i przechować, póki mu się albo amnestya nie wyrobi, albo nie obmyśli jakiś środek... ubezpieczenia go... Inaczej biednego chłopca gdzieś na Sybir wypchną... i zginie, jak tylu innych.

Kończył opowiadanie swe Jakob, a dwaj Dawidowie milczeniem głębokiem okazywali, że zupełnie radzi nie byli tej wiadomości i wezwaniu: stary coś złowrogo odchrząkiwał, młodszy podśpiewywał tylko.

— To jest bardzo delikatna, bardzo niebezpieczna sprawa — odezwał się starszy — taka bardzo delikatna! Co to gadać! Panie Jakóbie, ja z panem, krewnym naszym, muszę być szczerym.

— Bardzo proszę.

— To jest ze wszystkiem zły interes — odparł Dawid — i to nie jest żydowska sprawa... Nam się w to wdawać nie potrzeba, na co nam *tego*? To nie nasza rzecz! Nas rząd nie prześladowa, albo przynajmniej nie tak, jakby mógł, on ma nas za swoich nam z tem dobrze, po co my mamy sobie psuć u niego opinię, broniąc tych, co nas przez tyle wieków cisnęli.. A i dziś, choć rękę podają, to pewnie nie ze szczerego serca. Żydzi w politykę wdawać się nie powinni.. obywatelami nie jesteśmy. To do nas należy! A wa! — dodał Dawid.

— Kochany panie Dawidzie — odparł Jakób powoli i chłodno — otóż co do *tego*, różnimy się w zdaniach zupełnie... Jeżeli obywatelami być mamy i chcemy, wszystkie obywatelskie ciężary, wspólnie z innymi, ponosić powinniśmy.. Tem się tylko dorobić możemy uznania, równouprawnienia i zgody. Rozumiem to bardzo dobrze, że rząd nas jak wiesniaków, zechce i będzie próbował użyć przeciw szlachcie i inteligencji. Ale czy godzi się nam, zrodzonym na tej ziemi, wykarmionym jej chlebem, trzymać z tymi, co ją uciskają i są w niej najeźdźnikami? Przypomnijcie sobie, czem dla Żydów była niewola?

Czekajcie — przerwał Dawid — wszystko to bardzo jest piękne, ale Żydzi, jak wy sami mówi-

cie, muszą trzymać swoje prawo, a prawo nakazuje nam, żebyśmy siebie i narodu swojego bronili... Naszym interesem nie jest iść z nimi.

— Jakże, skąd wy to wiecie?—spytał Jakób.—Możecież wyprorokować przyszłość? Wiercie mi, nigdy taka wielka niesprawiedliwość, jaka się stała narodowi temu, nie może trwać niepomszczona wieki. Bóg dopuścił karę na naród ten za grzechy jego, ale miara tej kary się wypełnia, czara już łez ich i czara krwi ich, po brzegi pełna.. Przyjdzie sprawiedliwości dzień, bądźmy w tym dniu sądu straszego lepiej z tymi, co mieć będą za sobą miłosierdzie Boże, niż z tymi, na których paść musi pomsta Boga.

O! o! zawołał Dawid —pozwolicież się i mnie zapytać skąd wy to wiecie? Duchem proroczym? Czy policzyliście grzechy tego narodu pogańskiego? A czy myśmy cierpieli od nich i ile jest winy niezmazanej na tych niewiernych!!

— Dawidzie —przerwał Jakób —nie zapominajcie, iż grzechu wieków, wspólnego wszystkim ludom, na nich jedynie kłaść się nie godzi... Jak tu, tak było w zędzie, a w wielu krajach było gorzej daleko.

— Ale co tu długo o tem gadać —odezwał się, porywając z kanapy, młodszy — co tu gadać. proszę pana? My się w żadne polityki mieszać nie chcemy... to ich sprawa... Co nas to obchodzi, który z nich panować tu będzie? Proszę pana, ja nawet nie wiem, co lepiej dla nas. Ja z Moskałem wiem co począć, ja jego kupuję, ile razy chcę; on mnie wy-

łaje, wypchnie, zbezczęści, on zwierz, on gbur, ale pieniądz weźmie po cichu i ja zrobię, co mnie potrzeba... A z tymi patryotami polskimi, to co?

Jakób posmutniał widocznie, czoło mu się namarszczyło, postać wyszlachetniała gniewem wewnętrznym, ale gniewem uczciwym, obrażonem uczuciem zacnem.

— Ponieważ to jest wasze przekonanie niezmienne — rzekł — ja nalegać nie będę, smućę się tylko, że ludzie, jak wy, więcej wykształceni nad innych, tak fałszywej trzymacie się polityki, ciągnąc zawsze za siłą, a nie za sprawiedliwością.

— Sprawiedliwość! a wa! — szydersko ozwał się stary Dawid. — A byłaż ona kiedy dla nas? A oddaliż nam ją ci.. panowie kraju tego?

— Przypuszczam, że nie — gorąco przerwał Jakób — ale jestże to słuszny powód, ażebyśmy my mazali się ich występkiem? Nie należyż narodowi wybranemu mieć więcej cnoty nad inne i być innym przykładem?

Dawid młodszy głową pokręcił i zaśpiewał.

— No! no! — przerwał, skończywszy rиторnelę swą — proszę pana, co to mówić o cnocie i sprawiedliwości pod te czasy? kto to o tem już mówi? Na świecie teraźniejszym jest jedna rzecz: interes. Któryż dziś naród czego innego słucha, za czem innem idzie? To są wielkie słowa... ale w nie nikt dziś nie wierzy.

Stary ojciec, usłyszawszy tę, tak mądrą, syna mowę, począł aż głową kiwać z podziwienia i uwielbienia dla wielkiego jego rozumu... ręką

wskazując nań Jakóbowi, jakby chciał mu powiedzieć:

— Słyszysz? Aha! A coż ty na to?

Ale Jakób, niezmieszany wcale, zimnem wej-
rzeniem zmierzył od stóp do głów młodego Dawida,
i rzekł powoli:

— Na nieszczęście, trafnie pan bardzo oce-
niasz to, co dziś panuje i jest... ale to, co jest, nie
zawsze jest tem, co być powinno... Prawo nasze ma
tysiące lat i nie zestarzało się: zajrzyjcie do tych
ksiąg, a znajdziecie tam prawdy, które nie prze-
stały być prawdami i będą niemi do końca świata.
Ludzie się psują, wiara wygasa, ale Bóg wejrzy
i zmieni to... Myśmy powinni być wierni staremu
prawu, a nie nowemu zepsuciu. Żal mi was szcze-
rze, jeśliście nie więcej nad to nie wynieśli z euro-
pejskiego wychowania... Szczerze was mi żal.

To mówiąc, wstał, a stary Dawid, widząc go
tak niezmieszanym, pewnym siebie, syna zaś jakoś
przykro się uśmiechającego i nieumiejącego się ode-
zwąć: bo nie wiedział, co odpowiedzieć—zmieszał
się sam i pogniewał na Jakóba... Burzył mu on
jego bożyszcze...

Pomimo to, spokoj, z jakim przybyły przema-
wiał, urok prawdy i wiary, który wiał od niego,
dziwne na nim uczyniły wrażenie — zląkł się i za-
chwiał; sam nie wiedział, co począć, tak, jak przed
chwilą z ową zgasłą świecą szabasową.

— Panie Jakóbie — odezwał się pierwszy Da-
wid młody, równie pewien siebie znowu, odzyskaw-
szy nieco przytomności po strzale, który go nie za-

bil, ale stając się zręczniejszym, w miarę, jak poznawał lepiej przeciwnika. — Nie gniewajcie się, proszę, każdy ma swoje zdanie. Pogadajmy jeszcze, może się co da zrobić, jeżeli można, bezpiecznie i bez ryzyka.. To ważna rzecz, trzeba się namysleć...

— Dziękuję wam odparł przybyły — dziękuję bardzo, to rzecz dawno skończona! Jużby mi przykro było żebrać dla tego biedaka opieki, kiedy mu ją tak niechętnie dać macie. Sądziłem, że innego jesteście przekonania.

Rzecz jest jawna, że kraj przysposabia się, lub jest pchany gwałtem, do jakiejś nowej walki. Że ta walka może być zgubną i daremną to nie ulega wątpliwości, dla nas chłodniej, rozważniej patrzących na te sprawy. Ale z dawna chcieliśmy się wkuć w obywatelstwo tego kraju... oż pora musimy je zyskać krwią i ofiarą... Inaczej się ono nie zdobywa...

Tak mnie się zdaje, a wielu z naszych współwyznawców podziela moje przekonanie...

— Mówicie, że wielu? Jak wielu? — podchwycił gorąco Dawid. — No jak? no co? no kto? Cóż gadają zagranicą? A coż sobie myśli cesarz Napoleon? A jak rachuje Palmerston? No, mówcie, co gadają Rotschildy?

— Wiem to tylko — zimno odpowiedział Jakób — że u nas... u nas, rozsądniejsi, poważniejsi ludzie, są tego zdania.

— A bogatsi? — zapytał Dawid.

— Najbogatsi! — zawołał, uśmiechając się mimowoli Jakob.

— No! toby się może potrzeba namysleć — rzekł ojciec — trzeba by się naradzić, to jest sprawa ważna.

— Ale to, z czem ja do was szedłem — rzekł Jakob — rzecz skończona, ani radzić, ani się namyslać nie potrzebujecie. Przepraszam tylko, że przyszedłem tak pozno i spoczynek wam przerwałem.

To mówiąc, skłonił się i chciał już odechodzić, gdy stary Dawid go powstrzymał.

Ale poczekajcież, poczekajcież, usiądźcie, wypijcie kieliszek wina. Dawid, podaj Bordo... na trzy ruble. Wypijcie więc... to jest wina... es, es, es. Nie żałujcie mu gęby! My tu na wsi siedzimy, my nie wiemy, nie o czemu nam nie dali znać skąd wiatr wieje! To my tu sami możemy się domysleć. A żadnego zaka... nie było.

To już do mnie nie należy — odparł Jakob, zatrzymując się niechętnie — pojedźcie, dowiedzcie się i róbćcie, co się wam podoba...

Ach! te Polacy — zawołał Dawid — oni pewnie już znówu jakie głupstwo robic myślą.

Nie nie wiem... — rzekł Jakob, spiesząc, aby ich pożegnać — zdaje się, że tego głupstwa chcą i starają się je przyspieszyć. Moskale sami, aby u siebie coś podobnego nie dopuścić. Mogą oni do wybuchu jakiegos podbudzić... bo i u nich stan kraju od czasu emancypacyi groźny, chłopci podrażnieni, knowania rewolucyi coraz gorętsze. Aby niebezpieczeństwo odwrócić, rzucą może ogień na Polskę...

a gdy międzynarodową nienawiść rozjątrzą, będzie miała czem lat kilka żyć Moskwa... i nie pomyśleć o przewrocie u siebie.

— A! a! — krzyknął Dawid, biorąc się za głowę—co to jest za mądrość! co to za polityka! I jak to z takim narodem nie trzymać? Oni muszą zwyciężyć...

— Nie zaprzeczam temu — odezwał się Jakób poważnie—ale i my także, Żydzi, byliśmy zwyciężeni nie jeden raz, a przecież nie trzymaliśmy za zwycięzcami, ale z Bogiem naszym...

To mówiąc, Jakób się sklonił i znowu chciał odejść, ale Dawidowi starszemu zrobiło się jakoś niby wstyd i niby żal.

— No, no—rzekł—a o cóż to chodzi?

— Rzecz mała. Miasteczko nasze na ustroniu, trzebaby tego młodego człowieka tu przechować czas jakiś.

— Widzicie—przerwał młodszy—w miasteczku małem, pustem, jak nasze, to najtrudniej: mieszkający znają się wszyscy, każda nowa postać uderza, zwraca oczy...

— W tem macie słuszość — odezwał się Jakób — ależ ja o to już was nie proszę.. Przepraszam, przepraszam...

I cofał się ku drzwiom. Dawid jeszcze coś mruczał, ale gość stanowczo już wychodził, nie dając po sobie poznać gniewu. Wstrzymać go już nie było można.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie, gdy się drzwi za nim zamknęły.

— To był wielki interes — rzekł starszy — no i to jest niedobrze, że się to jakoś nie dało uławić. Jakób ten ma bardzo wielkie stosunki, co on na nas gadać będzie!! On nas ogłosi za takich... owakich...

Syn ręką machnął.

At! można było i zrobić to... ale się stało.

Rozeszli się oba pochmurni. Jakob wrócił do gospody i nie dając nic znać po sobie, leżał, nie spać, ale myśleć. Iwas, znużony, zasypiał już oddawna.

Nazajutrz był dzień szabasowy i Jakób poświęcił go modlitwom, zakławszy przyjaciela, aby się z domu na krok nie ruszał. Musieli czekać wieczora, nimby się nowe jakieś kroki przedsięwzięć dały. Gdy w synagodze ukończono modlitwy, a święto odeszło, jak u nas pospolicie mówiono, Jakób, który słyszał o starym Jankielu, choć go osobiście nie znał, poszedł wprost do niego.

Stary czytał jeszcze w księdze, gdy się gość zjawil. nie przerwał też dla niego ostatniej modlitwy, aż ją ukończył. Jakób z uszanowaniem czekał, podali sobie ręce i przybyły począł rozmowę od tego, że się powołał na osoby wspólnie im znane, które z Jankielem były w stosunkach. Powiedział mu, że o nim wiele słyszał, że z tego powodu, mając interes w miasteczku, z ufnością przychodzi do niego.

Z pierwszych słów starzec poznał młodego człowieka i jego usposobienie, położył mu rękę na ramieniu i mile przypatrywać się zaczął.

— A, to ty jesteś — rzekł — ty, o którym ja też wiele słyszałem. Jako o mężu wielkiej nadziei dla narodu naszego. Ty coś mimo nauki nie utracił wiary, i prawo trzymasz ściśle, i starszych szanujesz, i innej młodzieży naszej podobnym nie jesteś... Niech cię Bóg Izraela i Jakoba błogosławi, bo mało dziś mamy tobie podobnych. Mądrych jest wielu, ale pobożnych braknie: w pogardzie jest prawo i obyczaj narodu naszego — plują na groby ojców, co je w sereu chowali... na to, cośmy przez wieki szanować przywykli.

Jakób milezał, — stary był ożywiony i wesoly, widocznie rad, że spotkał człowieka po sercu swójem.

— Nie pochlebiam ja sobie, bym takim był, jakim mnie sądzicie — odezwał się gość — jakim pabłażający ludzie mnie czynią, ale się staram o to, bym narodowi mojemu wstydu nie uczynił.

Jankiel kazał podać wina i przekąskę, z serdeczną gościnnością zwracając się ku przybyłemu.

— Skądże nam tu przybywacie? — zapytał.

O! z daleka! zdaleka! Objechałem niemal wszystkie ziemie, wśród których naród nasz jest rozproszony i widziałem wszystką nędzę, jaką znosi, a gdybym miał łzy, wyplakałbym je wszystkie nad niedolą jego.

Byles i w ziemi ojców?

— Byłem — wzdychając mówił Jakób — i tam nielepiej. U siebie jesteście, jak obcy.

— Gdzie ta dawna wielkość nasza? — począł stary, składając ręce — gdzie Izraela potęga i sława?

I dodał słowa proroka (Jerem. 11):

— „Stał się Pan jako nieprzyjaciół, zrzucił Izraela, zrzucił wszystkie mury; rozwalil zamki jego i namnożył u córki Judzkiej mężonego i mężoną...

„I rozwalil, jako ogród, namiot Swój, skaził przybytek Swój, przywiódł zapamiętanie Pan na Syon uroczyste święto i Szabat, i na pośmiech, i na rozgniewanie zapalczywości Swój króla i kapłana ”

Zadumał się starzec i głowę opuścił na piersi, i łzy toczyły mu się z oczów, ale otarł je żywo

— Mily moj gościu — rzekł — wybacz, przyszło to wspomnienie minowoli, zawsze ten sam upadek i raż sama żałość aż do końca... Kiedyż zmiłuje się Bóg?

Jakób z cicha odpowiedział mu słowami Talmudu (Pesachim 119. a):

— „Ręce Niebieskiego Miłosierdzia zawsze rozciągnięte są pod skrzydlami Serafów, na przyjęcie „grzesznika pokutującego.“

Słowy temi ze starej księgi tak uradował Jankeła i zadziwił razem, że podniósłszy się, zaczął go znówu błogosławić. Przywykł już był do młodych ludzi, którzy z prawem i księgami dawnemi do czynienia nie mieli i przejęty był młodzieńcem, szczęśliwy, że go oglądał.

— No, mów — zawołał — jeżeli ci w czem użytecznym być mogę... uczynię. boby mi się rozradowało serce, gdybym ci dowieść mógł, jak cię szanuję.

— Tak jest, jakoście rzekli, że przychadzę z prośbą do was - ale nieśmiało głos podnoszę, bom z podobnem żądaniem udał się wczoraj do krewnego naszego, do Dawida... i zostałem odepchnięty.

Na imię Dawida czoło starego się namarszczyło, ale wprędce wypogodził lice.

— Mówcie no, mówcie, a nie zważajcie na nie — odezwał się.

Jakób począł tedy powtórnie opowiadać historycę swoją i przyjaciela, ale już nie śmiać żądać pomocy, prosząc tylko o radę starego, który wysłuchawszy, długo się zamyslił.

— Okoliczności są ciężkie — odezwał się po chwili - ale zgadzam się z tobą, że my z narodem tym nieszczęśliwym trzymać, a nie z gniotącymi go powinniśmy. Lepiej jest dla duszy być między uciśnionymi, niż wśród uciskających. Pomiedzy płakami, niema więcej prześladowanego od silniejszych, nad gołębia i synogarlicę, a Pan ma je za najmilsze sobie ofiary (Baba kama 93. a) — dodał, przywołując Talmud. — Biedny to naród! — powtórzył — biedny, a my zapomnieć nie możemy, żeśmy od lat pół tysiąca na jednej z nim ziemi rośli, razem żyli i umierali... i jedno cierpieli. Choć nie mają wiary, przecież Bóg i niewiernym źle czynić zakazuje: „Bądź pokojem z braćmi, z sąsiadą, z każdym człowiekiem, nawet z poganą.“ (Berachot. 17. a).

— A! piękne to są słowa — zawolał Jakób bogdajby wszyscy tak je pamiętali, jako wy... a byliby na ziemi inaczej!

— Nieszczęśliwy naród—mówił stary—patrzyliśmy, jako szedł na zatracenie i oczy nasze większe jeszcze zgrozy oglądać będą.

I jakby proroczym natchniony duchem, mówił:

-- Nie chcą nosić kajdan, a ilekroć kruszyć je zapragną siłą, ścisną się żelaza ich, bo Bóg skruszy od nich żąda i pokory. Dlaczego uwierzyli w ziemską siłę, a nie w miłosierdzie Boże, a dумы swojej zwyciężyć nie umieją? Biedny naród! ratować ich nie w mocy naszej... chyba ginąć z nimi razem, albowiem co Bóg rzekł i naznaczył, to spełnić się musi.

A po chwili dodał spokojniej:

— Gdzież macie tego biednego człowieka i co zamýślacie z nim czynić?

— Tu jest, ze mną—rzekł Jakób—ale co z nim zrobię, sam nie wiem, ledwie go powstrzymać mogę, aby nie popadł w ręce prześladowców... Chciałbym go gdzie przytulić, ukryć, dopóki co nie obmyślę...

— Ale gdzie? — spytał jakby sam siebie starzec—ale gdzie? A jest on ostrożny i cichy? A będzie posłuszny?

— Spodziewam się przekonać go o potrzebie—rzekł Jakób.

— Gdybyście byli o tem Dawidowi nie mówili wprzód, byłbym go mógł może przyjąć do mojego domu; teraz lękam się, ludzie są źli i nieopatrzni... Na strychu jest izdebka pusta, mógłby tam bezpiecznie pozostać czas jakiś, ale nuż jego

i mnie wydadzą! Ja się pieniędzmi obronię, on zginie...

— Nie macieź gdzie na wsi jakiego przytułku? dworu pewnego? znajomych?

— Czekajcie—rzekł stary—czekajcie, coś się znajdzie! Są ludzie poczciwi i lasy gęste... Jutro rano zajedzie bryka moja i stary Jankiel sam z nim ruszy, ale nauczcież go, niech będzie roztropny i ostrożny.

Jakób aż uściskał starego.

— Nie dziękujcie mi — odezwał się Jankiel wzruszony — czynię to z serca dla was i dla tych biednych ludzi, którym ich ziemia i swoboda tak miła, jak nasza Judea i one czasy, gdyśmy w niej królowali...

Ale na Boga—dodał po chwili—jeżeli macie cokolwiek u nich wpływu i mocy nad nimi, powstrzymajcie ich... Śmieją się zawczasu nieprzyjaciele, myśląc, jeśliby się porwali, o zniszczeniu i okrucieństwach, które się przeciw nim wyleją. Czyż tak płosi są, że pod swój dom ogień podkładać będą, aby się zeń pozbyć nieprzyjaciela, gdy we własnem jego mieszkaniu wszczęty pożar, prędzejby go wywabił?

— Rozumne są słowa wasze — rzekł Jakób — ale czyż zawsze rozum ludźmi kieruje? Czy cierpienie i nieszczęście nie są najgorszymi doradcami?

— Więc stanie się, jako zrządzi Bóg, który wie, co czyni — dodał Jankiel. — „Chwalmy Pana w doli i niedoli!“ (Talmud, Berachot 54. a).

Zatrzymując Jakóba i badając go, stary do późnej nocy przesiedział z nim na ławie w swojej izbie, a rozmowy ich były smutne, poważne, przecuciami wielkich wypadków przejęte.

Nareszcie potrzeba było wstać i żegnać się. Jakób spokojniejszy odszedł do domu i pośpieszył Iwasia pocieszyć nadzieją bezpiecznego ukrycia.

- Uczynilem — rzekł — co mogłem, teraz od ostrożności waszej zależy, byście się w ręce Moskali nie dostali. Oznajmię wam sam, gdy bezpiecznie wyjść z kryjówki waszej będziecie mogli.

Po kilkoletnim pobycie zagranicą powracający Jakób, zastał w kraju uderzające zmiany. Wszystko wrzało i kipiało jakąś oszalałą nadzieją, w której zapędach nie było miary. Najdziwniejsze wieści przyjmowano bez rozbioru; rozechodziły się po zakątkach i rozradowywały serca, oczy zwracały się znowu, po tylu doświadczonych zawodach, na zachód, ku tej Francyi, której serce z piersi wydarto, aby niem żyć nie mogła, a uczyniono z niej automat, posłuszny woli jednego człowieka, co uzdę na nią zarzucić umiał.

Dziwy też prawiono o Moskwie. Tam miały się także gotować wielkie wypadki, jakiś wybuch straszliwy; prądy gwałtowne parły ją ku rewolucyi, która płynęła już w krwi i myśli całego pokolenia. Inni, dobroduszni, przepowiadali dobrowolne przez nią zrzeczenie się Polski!

Umysłne przycichnienie Rosyi, która się wszystkim tym uczuciom rozżarzać dawała swobodnie, wybuchowi nie stawiając tamy, aby się nim ocalić od katastrofy, przewidywanej u siebie, łudziło lekkomyślniejszych; uważano za bezsilność, co było tylko chytrą rachubą; nikt tak obliczonych nie

przypuszczał następstw. Nieprzyjaciół udawał śpiącego, wzięto go za osłabłego... U steru stojący ludzie rachowali na wszystko, na namiętności, na słabości, na podłości ludzkie, na uniesienia i cnoty.

Jeszcze nie zaczęto zohydzać Polski, aby od niej Moskalów ślepych odstręczyć i ideom jej nie dać się szerzyć—czekano, milczano, sposobiono się. Tymczasem wzburzenie rosło, w miarę, jak go nie hamowano, a może podburzano tajemnie; rosło z tem przekonanie, że Polska ma siłę do przeciwstawienia osłabłej Moskwie, przyczajonemu jej barbarzyństwu.

— Moskwa lenieje—mówiono—zmienia skórę, nie ma siły.

Pozornie, dla utrzymania w tym błędzie, czyniono niby jakieś ustępstwa, wiodące do katastrofy żądanej i przewidywanej, któraby dozwoliła odwrócić na kraj skazany wszystkie okropności, których się u siebie lękano w domu. Przyznać potrzeba, że metoda była niezmiernie zręczną i przebiegłą.

Od Mikołaja już fermentowały na pognojach barbarzyństwa żywioły rewolucyjne, podsycane zakazanymi pismami Herzena, Bakunina, Ogarewa, Gołowina, Dołgorukiego. Moskwa z ciężkością mogła się obronić ich wpływom: przyszły wypadki w Polsce na szczęście jej, poczuło ich ważność, przedsięwzięto zrećznie je zużytkować, aby groźną burzę na nieszczęśliwy kraj odwrócić.

Całe postępowanie rządu moskiewskiego, aż po dzień dzisiejszy, cechuje ta myśl główna, umie-

jętnie pokryta w początkach, później coraz jaśniej występująca na jaw.

Rząd miał się podstawić sam na miejsce Herzena, poślubiając rewolucję i kierując nią.

Lecz w chwili, gdy Polska kipiała jeszcze nadziejami, dyszała niemi gorączkowo, nie było człowieka, co by tych sieci dopatrzył, co by tę przyszłość wyprorokował, wskazał i głosem potężnym wstrzymał na pochyłości naród nieopatrzny ale szlachetny, pełen młodzieńczego zapału i odwagi. Kierunek sprawy dostał się na ręce najgorętszego wieku, w którym grała latami nagromadzona namiętność, ćmiły mu wzrok złudzenia, a sercem miotała żądza ofiary, śmierci i odkupienia.

Biło to w oczy Jakóbowi, jak dalece społeczność, którą porzucił prawie spokojnie przegryzającą swe więzy trzydziestoletnie, dziś była zmienioną, rozżarzoną, rozgorączkowaną, silną, a codzień samoistniejszą. Mówiono, poruszano się, wyrażano, myślano inaczej: stan istniejący uważano za tymczasowy; przyszłość jakaś niepewna, ale jaśniejsza, roiała się i zdawała zapewnioną przeczuciami wszystkich... siłą, jaką w sobie czuł ogół.

Prawda, że ta siła nie obrachowywała naówczas wcale, z jakim rozpasanym dzikiem miała stanąć do walki. Znano Rosyę, ale Rosyę szanującą pewne prawa i zobowiązania, lub przynajmniej ich pozory, usiłującą uchodzić za kraj ucywilizowany, europejski: nie znano Rosyi cynicznie wścieklej, nieprzyjaciółki praw, wiary, traktatów i szydzącej ze wszystkiego, Rosyi Murawiewów i Katkowów.

Znano też Europę nie taką, jaką ją kilkadziesiątletni pokój gnuśny wyrobił,—Europę dawną, co przyklaskiwała Grecyi, sympatyzowała z Włochami, szanowała Węgrów. dźwigała Belgów, czuła się do posłanictwa swobody i postępu: a nie tę zgniłą i strupieszalą, która patrzeć miała ziewając, z krwią zimną, na męczeństwo Polski świętokradzkie!

Jakóba co chwila większe ogarniało zdumienie, nie dowierzał oczom ni uszom, ludzie mu się zdali przemienianymi do niepoznania, mowa ich inną, myśl zuchwalszą.

Wysiadłszy w hotelu, pobiegł zaraz nazajutrz rano do opiekuna swego, ale go w domu nie zastał: dowiedział się tylko, że był teraz podwójnie zajęty, gdyż liczne projekta nowych przedsięwzięć całkiem go pochłaniały.

Wracając nlicą ze spuszczoną głową, najnie spodziewaniej zetknął się, uderzywszy prawie o niego, z panem Henrykiem Segel. Zostawił go był we Włoszech z projektami długich podróży, zdziwił się, spotkawszy go na trotuarze Krakowskiego-Przedmieścia. Od chwili przypadkowego zjechania się z nim na drodze z Genui do Spezyi, w towarzystwie signory Gigante, Jakób powziął był nieprzewyciężony wstręt do tego człowieka. Nie lubił go nigdy, ale mógł wprzód szanować; straciwszy to uczucie, widział w nim chłodnego oprawcę istoty, która mu była najdroższą na ziemi, — brzydził się nim teraz.

Posłyszawszy nagle głos jego, zaczerwienił się cały i cofnął prawie ze wstrętem.

— A!—zawołał, śmiejąc się Henryk—prawda, że niespodzianka! Dziwi cię, że mnie i tu znowu spotykasz! A może więcej cię to zdumiewa, niż gdyśmy się ujrzeni na Aqua Sola? Ale cóż chcesz! to są czasy niepodzianek. Tilda jakoś nie smakowała w tych Włoszech, uparła się powrócić do kraju, mnie też to było bardzo na rękę, bo mi dano znać, że tu jestem dla interesów potrzebny. Otóż, widzimy się znowu, kochany panie Jakóbie... bardzo mi rad, rad serdecznie... Idę do domu właśnie... bądźcobądź zabieram cię z sobą, naprzód, żebym ci mój nowy dom pokazał, jak go sobie urządziłem... Wiesz, mam teraz dom w Alejach, zobaczysz! Cacko, komfort, smak! elegancya! choć Tilda go krytykuje... Powtóre, pomożesz mi też Tildę rozerwać trochę: jest znudzona, smutna, a mnie tem nudzi t smuci... Kobieta, której doprawdy nie rozumiem—na honor! Ale któż to kiedy zrozumiał kobietę! Ma wszystko, czego tylko dusza zapragnąć może, a wiecznie stęskniona i kwaśna... coś w niej chorobliwego. Otóż idziemy, nieprawdaż?

— Ale ja... w istocie... ja czasu nie mam... tylko co wysiadłem, tysiące interesów.

— Dajże temu pokój!—przerwał Henryk—interesa jeszcze nie wiesz, że przyjechałeś... Tilda się rozerwie... przecież dawni i dobrzy jesteście znajomi i masz u niej łaskę... co rzadko! Chodź! proszę.

Jakób byłby się pewnie opierał, ale pokusa była za silną... ją zobaczyć! Obowiązek kazał szukać,—serce zmuszało szukać. Na ten raz uległ sła-

bości. Henryk był tem natarczywszy, że spostrzegł wahanie się; porwał go pod rękę i powiódł gwałtem z sobą, wesół, roztargniony, do niepoznania gadatliwy.

— Nie rozpatrzyłeś się jeszcze w Warszawie?—rzekł.—Ja ogromne znalazłem zmiany.

— Ja je czuję—odpowiedział Jakób—ale sobie jeszcze wytłumaczyć nie umiem.

— Zmiany są ogromne, prąd w umysłach taki, że mu się oprzeć nie będzie podobna. Rewolnecya śmierdzi w powietrzu...

— Niech nas Bóg od niej uchowa!

— Zdaje się nieuchronna, lub ja się już na niczem nie znam... Proch czuć... Dla nas — dodał cicho pan Henryk, ściskając go za rękę — to nie złego. Naturalnie, ofiary będą, trzeba się umieć wyśliznąć, aby nas koła tej wielkiej maszyny, druzgoczącej wszystko, nie pochwytyły - ale ostatecznie to dla nas wygrana—ktokolwiek z nich zwycięży...

— Jakto?—spytał Jakób.—Nie rozumiem.

— Zyskamy najzupełniejsze uobywatelenie od jednej, czy od drugiej strony, to niechybna. Po wtóre, my się zawsze najmniej zrujnujemy, bo choćbyśmy miliony rzucili w tę otchłań, kapitały nasze mniej są dostępne, niżeli mienie szlacheckie. Ocaleję więc zawsze majątkowo — a to już wielka rzecz, to nam da siłę. Naostatek—niema wątpliwości, że Moskale ostatecznie wygrają, że żywiołów, nienawistny nam, szlachecki, zostanie zgębiony... Myśmy naówczas arystokracją, inteligencją—wszystkiem—kraj ten nasz!

Jakób wzdrygnął się.

— Rachuba może być proroczą — rzekł — ale jest okrutną... Z także zimną krwią patrzycie na te klęski, jakie w nią wchodzi?

— A mogę ja co na to poradzić? w mojejże sile odwrócić? — spytał Henryk. — Nie jestemże obowiązany korzystać z położenia? Wierzaj mi — przyszłość Polski cała dziś już jest w rękach Żydów. Wczoraj pogardzani, jutro panami będziemy.. Patrz na tę szlachtę, co to jest? Plemię bezsilne, w którym zostały fantazyje szlacheckie, buta starej szlachty, zachcianki, zepsucie, wesołość, wady... a żadnej starej cnoty. Jest to ród fatalnie przeznaczony na zgubę. Któż go zastąpi? Społeczność bez jakiegś... niby szlachty, ostać się nie może...

— Pozwolisz mi być szczerym — odparł Jakób smutnie — ja jestem też Żydem duszą i sercem całem, ale powiem ci, jeśli tak ma być, nieszczęśliwyż to kraj!

— Dlaczego? — spytał Henryk.

— Myśmy nie dorosli do ciężaru tej roli, jaka na nas spadnie — odpowiedział Jakób — nie zespoliciliśmy cię z tym krajem tak, abyśmy losami jego rozporządzać potrafili. Społeczność nasza, panie Henryku, jeśli mam wypowiedzieć wszystko, przejeżdżoną jest także i zgniła.

— Tak, ale jeszcze silniejszą od polsko-szlacheckiej.

— Ja tego nie widzę. Chorujemy inaczej, aleśmy też chorzy.

— Myśmy silniejsi—dodał Henryk—bo umiemy wyrobić i zachować tę siłę, której oni ani zebrać, ani użyć nie potrafili nigdy, a którą w wieku materalizmu jedynie coś zrobić można—siłę pieniędzy! siłę kapitału, woli cichej, pracy wytrwalej i jedności wewnętrznej!

Jakób się zamyslił.

— Trochę sobie pochlebiasz — rzekł — a może nieco masz słuszności. Bóg jeden wie, co będzie. Przed Żydami jest, lub być może, w istocie zadanie wielkie. Jedyny to kraj w Europie, w którym oni tak przeważną rolę odegrać będą mogli (choć w Niemczech mają też ważną), ale czy ją godnie pojmą i spełnią?

Henryk się rozśmiał.

— Ty jesteś żydowskim pietystą — zawołał — ty mieszasz do wszystkiego ideę Boga, wiary, ducha... a dziś, to stare łachmany, które w kąat poszły.

— Nad czem ubolewać należy — odezwał się Jakób. — Zrobiliśmy je łachmanami, ale w nich jest złoto.

— Gruzy to dawnej epoki, która już nie powróci — przerwał Henryk — nie mówmy o tem... A! otóż dom mój! Widzisz? To dom mój! Najprzód ci go pokazać muszę, kosztuje przeszło pół miliona, potem pójdziemy do Tildy.

Spojrzał na zegarek.

— Do kata!—zawołał—za pół godziny muszę być na giełdzie, ale starczy mi czasu na pobieżne pokazanie ci domu, a potem zostawię cię z Tildą...

i musisz na mnie poczekać. Powrócę, jak będę mógł najprędzej.

Dom, po którym natychmiast zaczął oprowadzać pan Henryk Segel gościa swego, był wistocie przepyszny, obszerny, urządzony ze zbyteczną, aż może wspaniałością, ale wspaniałością tą powszednią, bogatą, kosztowną, a bez smaku i charakteru, z którą równie dziś po pałacach, jak po hotelach spotkać się można. Zwierciadła w bogatych ramach złocistych, meble aksamitem kryte, opony kosztowne, posadzki wytworne, brzozy drogie, kryształ, chińskie porcelany, mnóstwo fraszek na wagę złota kupionych, kolory bijące w oczy... zbytek, jednym słowem, powszedni i złego smaku, oto, co znaleźli w tym domu niedawno zbogaconego człowieka, który nie miał żadnego artystycznego uczucia i złotem szafując, sądził, że za nie kupi, razem z towarem, ten smak, którego mu brakło.

Nierzadko, przy pokazywaniu, wyrywało mu się słowo:

— Wiesz? to kosztuje sto dukatów!.. Za to zapłaciłem tysiąc rubli!

Dom był pyszny, choć króla, zwłaszcza zde-tronizowanego, przyjmować, kapał od złota – ale od niego wiało pustką, smutkiem... Pokoje były jakby niezamieszkane, do ścian ich życie nie przylgnęło, zdawało się, że w nim ani się swobodnie obrócić, ani przemówić szczerze niepodobna.

Segel oprowadziwszy obojętnego dosyć gościa aż po kuchni, która była przepysznie urządzoną, do której sama woda szła, sama z niej odpływała,

która miała sadzawkę na ryby, mnóstwo wygodek i wymysłów, pobiegł go żonie oznajmić.

Jakób padł na sofę znużony i smutny temi oględzinami; na ścianach domu już było wypisane męczeństwo tej kobiety, tem straszniejsze, że w atłasy, złoto i erdredony obwinięte.

Po dobrym kwadransie, Tilda wyszła blada, powoli, ciągniona prawie przez męża; powitała staro znajomego swego uśmiechem miłym, ale nowo przecierpianych boleści jakichś pełnym. Nastraszył się jej oczów rozszerzonych, wpadłych, a blaskiem dziwnym iskrzących.

— A! i pan już z Włoch wróciłeś! odezwała się, podając mu rękę — jakże to dobrze! Ale i tu, i tam — zimno i smutno!

— Gdzież życie weselsze? — odpowiedział Jakób. — To natura życia, że kto na nie patrzy poważnie, smutnem mu ono wydawać się musi...

— Bo też nie potrzeba na nie tak patrzeć! — przerwał Henryk, podając kieliszek wódki — w ręce twoje, panie Jakóbie.

Wiecznie zapomniałem o gieldzie! Zakąsić mam ledwie czas! Kochana Tildo, zatrzymajże mi gościa koniecznie do mojego powrotu... proszę i wymagam... ja na godzinę wybiedz muszę... oddaję go w ręce twoje...

Zadzwonił.

— Są konie?

— Gotowe, proszę jaśnie pana — odpowiedział służący.

— A zatem bez pożegnania. Nie przepraszam, zostawując cię z nią—rzekł, w rękę całując żonę—w najgorszym razie, jeśli do rozmowy nie będzie ochoty, to ci coś zagra, posłuchasz. Masz tu gazety wszystkie... ale głupie — może zechcesz przetrzucić...

Zakręcił się i wyszedł, zostawując ich dwoje.

Przez długą chwilę stali tak naprzeciw siebie, spojrzeć sobie w oczy nie śmiejąc. Naostatek ona westchnęła, wyciągnęła doń rękę powoli i rzekła:

— Jakóbie, wszak staremi tylko będziemy, dobrymi przyjaciółmi? Nic więcej?

Pani—odpowiedział z uszanowaniem młody człowiek—znasz mnie, lub domyślasz się... że mnie czas zmienić nie był powinien. Chciej wierzyć, że zaufania nie zawiodę—nigdy.

— Tak, los sam zbliża nas znowu, gdy oddalaćby powinien... To próba, wytrwajmy godni siebie i naszej jasnej przeszłości.

Nie rozumiem — dodała po namyśle — co się stało Henrykowi? Henryk jest zwykle, to jest był zazdrosnym, aż do śmieszności, nie lubi mnie w męskim towarzystwie zostawiać. Nie rozumiem go dziś. Jest to dowód ufności, lub obojętności.

— Nie mowmy o tem. Wolę spytać, jak się pani czujesz po podróży? dlaczego dłużej nie zostałaś we Włoszech?

— Po co? Wszędzie się cierpi i wszędzie umiera—rzekła powoli—wożę z sobą tęsknotę i boleść od chwili ślubu naszego... Wszystko mi jedno, na jakim się one tle odbijają.

— Ale zdrowie?

— Ja chora nie jestem, dusza we mnie cierpi. A wy?—spytała, podnosząc oczy na niego.

— My? Ja... — odparł Jakób mężnie.—My nie mamy cierpieć ani prawa, ani czasu, mężczyzna musi żyć nie życiem uczuć, ale czynu... Dlatego myśmy biedniejsi i szczęśliwsi... W głębi nas tkwi wiekuiście cierpienie, gdy raz strzała w piersi za-
więźnie — ale myśleć o niej, pieścić się z nią... nie nasza rzecz... My, jak ranny żołnierz, do ostatniego tchu walczyć musimy...

— I tak dobrze jest—zawołała Tilda.

— Ale czemużbyście i wy, panie, na cierpienia tegoż samego nie szukały lekarstwa? Pracy, czynu!

— O mój Jakóbie drogi—rzekła—dla kobiety, co niema dziecięcia, jakże ograniczoną jest sfera pracy i czynów! Juściż, nie sądzisz, żeby mnie poduszka kanwowa lub wyszywanie na siatce nasycić i uspokoić mogło? Duszy czegoś więcej potrzeba...

— Książka, muzyka, sztuka, poezya —rzekł Jakób żywo—oto są źródła najczystszych rozkoszy na ziemi. Wierz mi pani, to jeden zdroj niezmacony, to jedno użycie, po którem na dnie duszy nie zostają męty, przesyt, żale i zgryzoty. Kto nie może sam tworzyć, może sobie przyswajać twory umysłów nieśmiertelnych. A! jest to wielką rozkoszą... jest to najsilniejszym zajęciem, odrywajacem od świata. Starożytność zostawiła nam przykład takiej namiętności nauki w Archimedesie, którego żołdak

zabił zgiętego nad rachunkiem... Nie wiedział on nawet, że gród jego ojczysty zdobyto...

— Slicznie to mówisz i wiele jest w tem prawdy—rzekła wzdychając Tilda — ale i do tego potrzeba inicjacyi, wdrożenia, nałogu.

— Nałóg się tworzy!

— Ja już, dzięki Bogu, mam jeden—zawołała śmiejąc się Tilda—jest nim muzyka... Bardzo ją lubię, ona mi słodzi, zajmuje, pożera dni... Ale muzyka mówi do jakiejś nieokreślonej, dusznej strony człowieka, karmi tylko jakąś jedną komórkę serca, a jego nie zaspakaja.

— Więc książka...

— Tak—odpowiedziała po cichu—książka ma znowu tę wadę, że zanadto świat nam i życie odtworza, przypomina, szczególnież książka, jaką my czytujemy: powieść, romans, dramat, poezya.

— Więc coś oderwańszego, poważniejszego!—rzekł Jakób.

— Probuje — rzekła Tilda, patrząc mu w oczy—i próbować będę. Ale dosyć już o mnie... Powiedzże mi, co pan.. ty... Jakóbie... o sobie. Z czem powracasz? co zamyślasz?

— Powracam z głową i sercem przepelnionem — odezwał się Jakób—daleko bardziej Żydem, niż wyjechałem może; wracam z marzeniami reform, pracy, poświęceń dla narodu mojego.. jestem aż zuchwały w mych planach, choruję na Bar Majmona.. Tyle jest do uczynienia! tyle! tyle!

— Sądysz—spytała po cichu, siadając i wskazując mu miejsce przy sobie — sądysz pan... sądysz

Jakóbie — poprawiła się — że są jeszcze Żydzi i że z tego rozkładającego się narodu, który długo od zepsucia ocet niewoli zachował, jeszcze dziś żywą całość na nowo stworzyć można?

— Tak jest! gdyby tylko siły po temu! Zadanie jest trudne, ogromne, przerażające—wołał z zapalem młody człowiek.—Naród ten przechował tradycję, wiarę w jednego Boga czystą, prawo i ideę niezłomności prawa od lat tysięcy... Na te ogromne, granitowe podstawy, przypadł pył pustyni i mchy a zgnilizny wieków, ale je oczyścić łatwo... jeśli się do odbudowania świątyni przystąpi z czystym sercem i rękami... A! gdybym mógł! gdybym umiał! gdybym miał siłę!

— Niestety—rzekła Tilda—patrzaj, co się dookoła nas dzieje. Ci, co są wierni prawu, razem z niem przechowują bałamutne powijaczce, w które je ludzie niezręcznie skrępowali dla przechowania... Ci odepchną cię, jak odszczepieńca, nowatora; reszta nie ma wiary żadnej, będą cię słuchali, jak poety, przyklasną ci, ziewną, ale nie wezmą do serca.

— Alboż to raz jeden—przerwał Jakób—procy przychodzili do tłumów obojętnych? alboż ich raz kamienowano? A jednak po każdym z nich zostały ślady na ziemi i posiane przez nich ziarno powschodziło?

— Masz więc odwagę męczeństwa? — spytała, rumieniąc się, Tilda — i wiesz jakie cię dziś czeka? Jeśli sądzisz, że cię namiętnie wśród rynku ukamienują — mylisz się. Będą cię kłuć szyderstw,

ogłoszą za waryata, odsuną się, wyśmieją... Będzie to męczeństwo salonowe, małe, śmieszne, a bolące. Niewiele ludzi, coby się dali ukamienować, znieść to są zdolni. Tych, których nie odstraszą kamienie, odstręczy sarkazm w białych rękawiczkach...

Jakób smutnie na nią spoglądał.

— Masz pani słuszność—rzekł—ale gdy oczy od blasku prawdy świętą ślepotą się zaćmią — wówczas człowiek nie widzi nic już, giną mu Pigmeje... mówi do tłumów, świat mu się małym wydaje.

Wstał poruszony i począł się przechadzać.

— Tak, pani —dodał — dużo nas poświęca się zbieraniu i frymarczeniu groszem, intrygom drobnym, nasyceniu ambicyi — powinien choć jeden myśleć o narodzie, o jego losach, a nadewszystko o duchowym spadku przeszłości. Czytamy jeszcze księgi Mojżesza, ale już ich nie rozumiemy.

— O! jakżebyś rada — nieśmiało ozwała się Tilda—być twoją uczenicą, ale niestety! za wysoka to mądrość dla mnie, co wiele zgaduję, przeczuwam, a nie nie umiem. Kiedyś ty napiszesz to; co mówisz, a ja gorąco czytać będę... i pójdę z tem do biednych niewiast naszego narodu, nieświadomych, odepchniętych, pozbawionych nauki Bożej i płynących z niej pociech.. zostanę twoim tłumaczem.

Ale, niestety, ty możesz w sobie czuć natchnienie Baraka, ja nie mam zapалу Debory!

Jakóbowi uderzyło serce, zbliżył się, chciał coś wyrzec, gdy wtem hałas się zrobił w sieniach, drzwi przedpokoju otwarły się nagle i z okrzykami radośnemi na podziw, wpadli razem: ojciec Tildy, jej mąż, Mann i ojciec Symon...

Henryk połapał ich gdzieś w miescie istnym wypadkiem, a wiadomość udzielona o powrocie Jakóba skłoniła ich, że wszyscy dali się na obiad zaprosić. Nawet poważny Mann, od którego musiano to uważać za wielki dowód łaski, gdyż zawsze był tak zajęty, że na nie czasu nie miał, dał się na ten raz pochwycić.

Dawny opiekun Jakóba podszedł doń pierwszy z otwartemi rękoma.

— A witajże, witaj nam! — zawołał — proroku, Rabbi Jakóbie!

Mann, obawiając się, aby go kto nie wyprzedził, podsunął się i poklepał go po ramieniu.

— No... jak tam podróż? Daj mi rękę! Dobrze wyglądasz... cieszę się.

To powiedziawszy i ledwie głową kiwnąwszy gospodyni, padł rozłożyście na kanapę, ale tak, jak pada księga na ziemię, bezwładnie, zajmując ją prawie całą i dysząc po trudach porannych.

Ojciec Symon, zawsze drwiarz, począł od uścisku ręki, ale już mu się w przywitaniu zbierało na żarty.

— No? jakże? — zapytał. — Bez obrazy, czy wracasz nam Akibą, czy ateuszem?

— Ani jednym. ani drugim — odparł Jakób — takim zupełnie, jak wyjechałem. tylko trochę więcej przestraszonym przyszłością.

— Nie było po co jeździć! — zawołał ojciec Symon — strachu byłbyś dosyć i w domu napytał... Ale przybywasz w porę właśnie, my tu rewolucję robimy...

— O! o! z tem nie żartuj, ojcie Symonie — rzekł Henryk.

— Ale ba! ja nie a nie nie żartuję — dodał szyderca. — Ja pierwszy sztyftuję pułk bachurów i dowodzić nim będę sam... w lektyce... Jest tylko kwestya, zamiast broni, co wziąć w rękę; czy parasol, którym wywijać umiem, czy kawałek kredy — tradycyjonalnej.

— Żart żartem — rzekł ojciec Tildy — wiesz, panie Jakóbie, że tu istotnie na coś się zanosi.

— Niestety! szepnął przybyły — codzień się bardziej o tem przekonuję.

— Widzę, że nie aprobowiesz, z twojego wykrzykniku — i cieszę się.

— Któżby to mógł pochwalać?

Ale co pomoże się opierać — cierpko zawołał Mann — to są, z pozwoleniem, wartogłowy, szaleńcy, z nimi gadać, jak do ściany... Trzeba o sobie myśleć i swoje ratować manatki.

— Tak, poły w garść i — znowu wedle tradycji — w nogi — rzekł ojciec Symon — do dziury, to bezpieczniej. My będziemy Mojżeszowi ręce podnosili... a oni niech się biją i tłuką.

— Juściż my razem z nimi bić się nie pójdziemy!—zawołał Mann.—Na co? za co? po co?

— Jeśli na seryo o tem mówić mamy — odezwał się Jakób—toby może inaczej rzecz tę rozważyć potrzeba.

— Ależ do katastrofy może jeszcze przyjść, a może nie przyjść — rzekł Henryk — zdaje mi się, że przecie są tam ludzie rozsądni...

— Pochlebca!—zawołał Symon. — Mów otwarcie... sami jesteśmy.

Mann porwał się z kanapy w ten sposób, jak chrząszcz, przewrócony na grzbiet, podnosi się czasem z wielkim wysiłkiem.

— Właśnie dlatego, że to głupstwo niezawodnie przyjdzie do skutku—odezwał się stanowczo.— To jest plemię skarłate, a dumne, a zarozumiałe, powodujące się namiętnościami zawsze, rozumem nigdy.

— Kochany Mannie — spytał Symon — a my? My nie dumni i olbrzymy? he?

— Więcej bez porównania jesteście warci, niż oni...

— Tak — odparł Symon seryo — oni są ślepi a my tylko kulawi... Wart Pac pałaca, a pałac Paca, mówi ich przysłowie. Żydzi są doskonali do spokojnej szachrajki i handelku, ale gdy na ulicy ter-tes, wołą sklepy pozamykać.

— A mają słuszość!— rzekł Mann.

— Tak mówił i nieboszczyk papa—dodał Symon -i ja!

— Ty zawsze żartujesz...

— Gdybyście wy choć raz popróbowali żartować, jabym przestał... Trzeba przecie, żeby ktoś za cały naród miał trochę dowcipu, bo powiedzą, że Heine nam zjadł wszystek... Kochany Mannie, nie uwierzysz co to za ciężka pańszczyzna mieć spryt za was wszystkich... Za ciebie jednego co to ja się nawysila!

Mann zrozumiał ukąszenie, nadął się chodząc i mruczał pod nosem.

— Jakże ci się kraj po powrocie wydał? — spytał ojciec Tildy Jakóba.

— Bardzo zmieniony... A jakże idzie z nami?

— Co to z *nami*? — podchwycił Symon — co to z nami? Cicho! sza! Połowa nas już się do *naszych* nie przyznaje...

— Nie żartujcie... ale ta sprawa drażliwa z gazetą... dziennikarska...

— Ubita... ogólna opinia za nami.

— Tak, pozornie — zawołał Mann — muszą się okazać niby liberalnymi, ale w gruncie feudały to niepoprawne, nadęte szlachciury...

— Słuchaj — przerwał Symon — gdy mówisz o nadętych, proś kogo, żeby cię zastąpił, tobie to nie przystoi...

Mann się ofuknął.

— E! ty stary trutniu!

— Truteń? zgoda! — rzekł Symon spokojnie. — Ale ty wyrzucasz im, że się dmą. Spójrzyjże się w lustro? Chybaś się nigdy nie widział! Czy u ciebie, kochanie, tak samo jak u tych feudałów, w przedpokoju nie potrzeba odbywać popasu, nim się do

salonu zajędzie, żeby w nim twoje fummy połykać? Czyś ty potulniejszy, przystępniejszy, bardziej ludzki od X., Y., Z., hrabiów i baronów? Ich mitry, a twoje miliony, skutek jeden... jak tranu rybiego i syropu z chrzanu z jodem...

— Nieznośny jesteś... milcz! — ofuknął znowu Mann.

Henryk i ojciec Tildy śmieli się, Mann na seryo się gniewał i przez zęby cedził.

— Trefniś! błazen!

— Kochany bracie w Izraelu—rzekł Symon—ile razy ci szlachta zaśmierdzi, powąchaj siebie... Tyś taki szlachetka bez szlachestwa... aż strach!..

— Ale dośćże mi tego!—zakrzyknął Mann.

— Nie, nie dosyć, muszę dokończyć, bo się udławię, a szkoda mnie będzie — rzekł Symon — i prócz tego możecie mieć kłopot z mojami długami. Otóż my, na wymówkę dumy, a raczej pychy, nie mamy ani ich tradycyi o jelenich rogach, ani trzystu lat rzeczypospolitej szlacheckiej... ale...

— Ale dość!

— No — dość!

Symon się usunął, Mann dąsał.

— Panie Jakóbie—zawołał pierwszy—co nam przywozisz z Jerozolimy? Jak to tam wygląda?

— Przywożę wam smutny jęk niewoli i niedoli — mówił Jakób poważnie — i wołanie narodu, abyśmy my, choć wygnańcy, a silniejsi, skupili całą moc do dźwignienia...

Mann ręką machnął.

— Daj ty sobie pokój — rzekł — co ty chcesz świat uczyć!

— Wcale nie mam pretensyi tej—odezwał się Jakób—ale wiecie, że i Akiba wprzód był pastuchem, nim mędrceem został, więc może i ja...

— Słuchaj — przerwał mu Symon — tobie nic nie pozostaje, jak zrobić na wywrót: on z pastucha został mędrceem, ty możesz z mędrca zostać pastuchem, jeżeli tak pójdziesz dalej.

Opiekun się rozśmiał.

— To prawda — rzekł—co ty chcesz świat naprawiać? Weź się do jakiej roboty: do handlu, do fabryki, do przemysłu, pracuj, a trud reform zostaw Panu Bogu.

— Bez Boga nic—odparł Jakób—ale myśmy powinni być posłusznymi narzędziami Jego... Do robienia grosza nie czuję powołania, mam go dosyć.

— Kiedy mu się zachciało być Akibą, na to niema rady — rzekł Symon — ale czy ty wiesz, że dziś, gdyby w istocie kto i zasiał Akibę, taki grunt, że się albo Börne lub Heine urodzi; a być Heinem w książce... ładnie, na świecie... niewygodnie.

— Ja nie cierpię Heinego!—zawołał Jakób.

Wszyscy krzyknęli ze zgrozą i oburzeniem przeciw świętokradcy.

— Dlaczego ty go nie cierpisz?—zapytał Symon. — On z Kladderadatschem najlepiej przedstawiają dzisiejszego ducha żydowskiego.

— I dlatego go nie cierpię—dodał Jakób—bo ten duch jest mi antypatycznym. Jakiż to duch?

Duch zniszczenia, rozpusta słowa, rozpusta myśli, zwątpienie, sceptycyzm, szyderstwo, chłód, dowolne upodlenie. Choć ubrane w perły i dyamenty dowcipu i talentu, są one chorobą i zgnilizną. Z tego to stanu właśnie radbym was wywieźć, bo jest przepowiednią śmierci, bo jest konania chrypką.

Symon stanął naprzeciw niego i głową kiwał.

— A zatem *Finis Judaeorum*?

— Tak — mówił Jakób — *Finis Judaeorum et Judaismi finis*. Ale nie na pobożowisku chwaleb-
nym rozwiążą się losy nasze: na śmieciskach cywilizacyi. Naród nasz podobny jest temu, co tysiąc mil niósł skarb do domu, uratował go od rozbójników i złodzieji, a do progu nie dodźwigawszy go, rozsypał w kalużę. Jeśli kiedy, to dziś nasza wiara i moralność...

— Ale, kochanie moje—rzekł Symon—co ty gadasz o przedwiecznych rzeczach, o wierze i moralności? Czy myślisz że one jeszcze gdziekolwiek są?

— Trzeba je wskrzesić!

— Dostał bzika — szepnął Mann, machając ręką.—Słuchaj—dodał, zbliżając się—idź ty do Mejsela, siadaj nad Biblią i kiwaj się, czytając, a nam daj pokój. Zostaniesz podrabinem.

— Gdybym był istotnie godzien nim zostać—odparł Jakób—bylbym z tego bardzo dumny.

— A ja ci radzę—dodał Symon—poświęć się ty ważnemu przedmiotowi, badaj zakazane potrawy żołądkom Izraela. Majmonides liczy ich tylko dwadzieścia cztery, to mało... mógłbyś, podługawszy

się w Talmudzie, dojechać do trzydziestu! Zawsze to rzecz piękna!

— Ojcie Symonie—bronił się Jakób—możeby to wielu... choć od obżarstwa uratowało...

— Kochanie—rzekł Symon wzdychając—gdybyś ty wiedział, jak kielbasa jest smaczną! Wiesz, że hrabia wołyński Gr.....i, który z naszych pochodził, ile razy się jej objadł, zawsze się tłumaczył tem, iż za wszystkie pokolenia antenatów izraelskich, które jej nie kosztowały, odjadać musiał.

— Otóż rozmowa, dzięki wam i kielbasie — odezwał się Henryk—poszła na lepszą jakoś drogę.

— Pozwólcie mi tylko powozić — podchwycił Symon—a zobaczycie, jak z nudnego, prostego gościńca powagi, natychmiast zboczę.

Mann, któremu się już niezmiernie uprzykrzyły uwagi Jakóba, a może i dowcipy Symona, przerwał:

— Uważaliście tego... wróbla... jaki sobie sprawił powóz i konie?

— Naturalnie—wyrwał się niezmordowany Symon—myśląc zbankrutować, trzeba mieć wcześniej czem uciekać.

— Jak stoi z giełdą?

— To, co zawsze...

— Byłeś u hrabiego?

— Byłem...

— Przyjął cię?

— Spodziewam się!

— Cóż mówi?

— To co zawsze: i nie wiele, i nie nowe. Ich teorię znamy. Chcą, ażeby Żydzi dosługiwali się obywatelstwa, jak czeladnik wyzwolenia.

— Do pewnego stopnia mają słuszość — zawołał Jakób.

— Jakto słuszość?—oburzył się Mann.— Niemamyż my, jako ludzie na tej ziemi zrodzeni, tych praw z natury, co i oni? Czem ci trutnie lepsi od nas? Alboż upokorzeniami, bez liczby znoszonymi przez wieki, jeszcześmy się nie nie dosłużyli?

— Za pozwoleniem—przerwał Jakób.—Z prawa natury wszyscyśmy równi, to prawda, ale przy prawach stoją tuż—obowiązki... Jeśli wspólnych z całym społeczeństwem nie ponosimy ciężarów... sami się praw wyrzekamy...

— Jakto nie ponosimy? — ofuknął Mann.—My się nie uchylamy od niczego. Wieszże ty, że szlachta nas od Towarzystwa Rolniczego odpycha i przyjmować nie chce?

— Ależ my dotąd z rolnictwem niewieleśmy mieli wspólnego—odezwał się Jakób.—Zresztą szlachta źle robi.

— Spodziewam się, że źle! — zawołał Mann.—A co znaczą domy spółki? Chcą nam odebrać handel...

— Może nam tem wielką wyrządzą przysługę—oparł się znowu Jakób — bośmy przy tym handlu jednym, który nas w niewoli trzyma—zmaleli, znikczemnieli... Jeśli zmuszą nas z niego wyjść i szukać innej pracy, tem lepiej. Zresztą, jeśliśmy wpra-

wniejsi, zdatniejsi, dlaczegoż się ich konkurencyi obawiać mamy?

— Ale handel stanie się ich monopolem!

— Tak! tak! to są straszni ludzie — przerwał Symon — nadewszystko w handlu! Dowodem przysłowia ich... zamienił stryjek siekierkę na kijek, wyszedł, jak Zabłocki na mydle... Że ten stryjek nie nasz był, na to ofiaruję *Szebuoss haddajunin...* (przysięgę sądową), lub i—*hesses...*

— Cichoż bo ty z tem żydostwem! — począł gniewnie ojciec Tildy zniecierpliwiony.

— A! prawda! przepraszam, zapomniałem, że już oddawna nie jestem Żydem... więc... słowo *onoru!!*

— I przerwałeś rozmowę, co gorzej — dodał Mann.—Te domy spółki są wymierzone przeciwko biednym Żydom, to Towarzystwo Rolnicze jest także konspiracją szlachecką na nas... Stara ich nienawiść trwa w najlepsze.

— Nie widzę—przerwał Jakób—żebyśmy i my ich bardzo kochali...

— Dalipan, bo niema za co—odezwał się Henryk. — Pomimo grzeczności, uprzejmości ich, zbliż się do nich nieco, choćbyś był najlepiej wychowanym, nie dopuszczą cię do ściśniętego koła swego; nie pozwolą zawiązać poufalszego stosunku... nie dowiesz się od nich prawdy, nie doznasz przyjaźni.

— A my? a my?—spytał Jakób.

-- Co my? co my? — rzekł Mann— My mamy prawo być takimi, jakimi jesteśmy... mamy powody do nienawidzenia ich...

— O tak! — dodał Symon — my mamy prawo ich nienawidzieć, a oni za to powinni nas kochać serdecznie, na to oni goimy... toć to przecie ich nauka i prawo... Damy im w pysk, muszą nastawić drugi policzek...

Spojrzeni po sobie wszyscy w milczeniu, Symon był poważny.

— No, ale z tego wszystkiego cóż wyrosnie? — zapytał ojciec Tildy.

— Spytaj raczej, co się wywróci? — poprawił Symon.

— Waryaty są, a zatem rzeczy rozumnej zrobić nie mogą — mruknął Mann. — Klęski, nieszczęścia, krew, pożoga. nic więcej. Wystawcie sobie, że oni wierzą w cesarza Napoleona, w Anglię, we Włochy, w Węgrów, w Turcyę, w Szwecyę, niektórzy nawet w jakąś rewolucyę niemiecką.. kartoflaną... a ostatni w moskiewską... na tem wszystkim budują coś dla siebie... Widział kto podobną głupotę? Symon się uśmiechnął.

— Szczególniej dobrze sobie wybrali cesarza Napoleona. to człek fundamentalny, bo i nigdy nie zmienia opinii, i zawsze kieruje się uczuciem.

Wszyscy spojrzeli po sobie, zdawał się mówić seryo.

— Ale co będzie, to będzie, a myśmy — dodał ojciec Tildy — w bardzo przykrem położeniu. Iść z nimi, czy przeciwko nim, równie niebezpiecznie. Wygrana będzie przy Moskwie, to nie ulega wątpliwości; ale w chwili nieładu oni nas mogą zgnieść i nasze uobywatelenie na długo odsunąć.

— Mylisz się — rzekł Henryk.

— Mylisz się—powtórzył Symon. — Siądziemy na dwóch stołkach, jeśli się jeden usunie, drugi zostanie.

— Niema wątpliwości — potwierdził pierwszy.

— Dla mnie—odezwał się Jakób—jedna tylko rzecz jasna. Jakkolwiek przewidziana jest klęska, potrzeba szczerze iść i podzielić losy narodu; ofiara, to najlepszy środek nabycia praw obywatelstwa. Cokolwiek wypadnie, zasługa nasza musi być uznana... Chwalimy się dziś jednym pułkownikiem Berkiem...

— W tem trochę ma Jakób słuszności—przerwał Mann—do pewnego stopnia rozumuje nie głupio. Niejedna z wielkich rodzin ich, zawsze w stanowczych chwilach dzieliła się tak, że niektórzy jej członkowie szli z królem, drudzy przeciw królowi, jedni z rewolucją, drudzy z rządem trzymali. Mieli w ten sposób w obu obozach swoich popleczników, a ktokolwiek wygrywał, oni zawsze ocaleli... To przykład dla nas, jak zrobić powinniśmy. Nie możemy ginąć dla nich, ale niepodobna wystąpić przeciw nim. O tem wartoby obszerniej pomówić jeszcze.

— Szczerze, szczerze, otwarcie — przerwał Jakób—iść z krajem i dzielić jego losy!

Mann głową pokiwał i klapnął go po ramieniu.

-- Jesteś młody—rzekł—poczekaj...

— Tak, jesteś młody—wyrwał się znowu Symon—będziesz radził, gdy wystygniesz, bo do rady

trzeba chytrłości!. poczciwości nie... przeszkadza ona. My, stare łajdaki, naradзим się, a wy, młodzi poczciwcy, wykonacie.

Otwarto podwoje, służący w białych rękawiczkach oznajmił, że dano do stołu. Tilda, która była odeszła, ukazała się w progu. Ojciec poprowadził ją do stołu, Mann pochwycił drugą rękę niby żartem, ale w istocie obawiając się pozostać w tyle, reszta poszła za nimi.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad wspaniałością stołu, nad wytwornością kuchni pana Henryka. Umiał on obejść się kawałkiem chleba i kieliszkiem wódki, mimo swojego państwa, ale gdy potrzeba było wystąpić, a miłość własna w grze była, nie znał rzeczy za drogich i niedostępnych. Obiad, za który wcześniej przeproszał, że miał być improwizowany, o którym mówił, iż prawdziwie nie wie, jaki będzie, za który z góry gospodynię obwinił (zupełnie obcą kuchni), okazał się dyplomatycznym obiadem. Wyspieszono nawet ciele na różowym papierze, w srebrnych ramkach.

Tyle razy mówił gospodarz o tej improwizacji swego obiadu, że Symon w końcu zmuszony był powiedzieć:

— Wiesz co, kochanie, ty tak improwizujesz, że i Deontyma lepiej nie potrafi...

Mann, który udawał, że niewiele stał o przeptych i umyślnie przybierał grubiańskie maniere, aby w nim braku wychowania istotnego znać nie było, zatknął serwetę pod brodę i zabrał się jeść milezący. Rozmowa ślizgała się po najrozmaitszych

przedmiotach, zabawach, plotkach miejskich i wiejskich wypadkach.

— No, mospan Jakób—odezwał się po polsku Mann — zjadłszy sztukamięse — jeżeli już jesteś takim prawowiernym Żydem, to powinienes wiedzieć, że jedno, bardzo ważne prawo złamałeś i jesteś w wielkim grzechu...

— A! tyłkobyście państwo temu żydostwu dali już raz pokój! — zawołał przestraszony gospodarz po francusku — wstrzymajcie się od tego, choćby dla lokajów, którzy posługują.

Mój kochany—rzekł Symon—bądź pewien, że gdy ty otwarcie o tem mówić nie będziesz, oni tem więcej po cichu się z tego naśmiewać muszą.

— Ale o czemże mowa?—przerwał Jakób—żadnegoby praw łamać nie chciał!

— A łamiesz, szkaradnie łamiesz, bezwstydnie, zuchwale — rzekł Mann — naigrawasz się z niego... nie możesz się nazwać człowiekiem, na którym spoczywa błogosławieństwo Boskie.

— Cóż to jest?

— No masz lat... ile?—spytał Mann,

— Dwadzieścia i...

— Widzisz, i kilka! Więc, co najmniej od ośmnastego roku życia jesteś w grzechu, boś się zapomniał ożenić... Jako Izraelita prawowierny, powinienes co najprędzej pomyśleć o żonie, obowiązek to jest, bo cię Dumah za kark w ogień wrzuci.

— Nie przeczę, że to jest obowiązkiem — odparł Jakób—ale sądzę, że prawo w tym względzie

cierpi niektóre wyjątki... Nie mam najmniejszej do ożenienia ochoty.

— Radzibyście mu co najprędzej chomąto włożyć na szyję — przerwał Symon — wy, co w niem chodzicie. Czuła troskliwość! Ale przekonywam się, że Jakób, choć hasyd, mądry przecie.

— Gdy się zakocham, to się ożenię — odpowiedział Jakób rumieniąc się i mimowolnie wejrzenie jego poszło ku Tildzie, która siedziała z głową spuszczoną.

— Otóż w tem jest właśnie grzech — zawołał Symon poważnie—że wam tego cukru, kochania, potrzeba teraz koniecznie do małżeńskiej potrawy... W tem jest rozpusta! Chcecie tam szczęścia, delikatesów, przysmaków, gdzie jest obowiązek i brzemie—rozkaz i ofiara.

Jakób się zmieszał i obrócił do niego.

— Tak przywykliśmy do twych żartów, ojcze Symonie — rzekł—że i to, coś teraz powiedział, za żartby ująć mogło... chociaż wypowiedzieliście prawdę wielką! Tak, macie słusność, człowiek jest rozpieszczony, rozmarzony... Ale nie wolnoż mu na ziemi szukać choć jednego błysku, jednej chwili szczęścia—nie jestże godziwą miłość i możliwem szczęście?

— Nie—romanse was popsuly — odpowiedział Symon—małżeństwo chcecie sobie zrobić taką ucztą, jaką naprzykład, zrobiliście stół i jadło wasze. Jedzenie jest poważnem zaspokojeniem potrzeby ciała; bywała uczta prawie obrzędem, ale skromnym, rozpoczynała się modlitwą, nią i błogosławieństwem

kończyła; dziś jest smakoszostwem, rozpustą... Tak samo małżeństwo...

— Słowo honoru—przerwał Mann—ten Symon, kapcan, ma czasem pomysły oryginalne.

Jakób milczał zamyślony.

— Ojcie Symonie — rzekł — darujcie człowiekowi, że wszędzie w tem życiu smutnem szuka poezji i poezję sieje. Wystawcie sobie to życie surowe, zwierzęce niemal, pierwotne — czyżbyśmy niem dziś zaspokoić się mogli? Obudziły się z cywilizacją w człowieku pragnienia nowe.

— Których nigdy zaspokoić nie potrafi — dodał Symon.

— Ale one same są rozkoszą — rzekł Jakób.

— Żyd, mój kochany — odparł Symon—nigdy o poezji mówić nie powinien. Naszą sprawą—rachunek... dwa a dwa... pięć, jak mówi El... Miał słusność: gdyby było tylko cztery, oczywista strata procentu... Ale wracam do ożenienia.

— Lepiej może nie wracajmy do niego — szepnął Jakób.

— Ja cię będę nudził, aż się musisz ożenić—rzekł Mann.—Nie mam już córki na wydaniu, ostatnia zaręczona, ale ci znajdę *fein* dziewczynę i sto tysięcy rubli posagu.

— Pomyśl tylko—dodał Symon—dziewczyna, jak sobie chce, ale sto tysięcy rubli, to piechotą nie chodzi! to jeździ kareta... i z liberyą...

— Dziękuję za kareta i za ożenienie — bronił się Jakób.

— A zatem nie masz prawa nazywać się uczciwym Żydem. Jesteś Meszumat, póki pod Szuppe nie pójdziesz!

Zaczęto się serdecznie śmiać.

— Ale doprawdy, kuzyn ma słuszość—wmieszała się Tilda, spoglądając czarnemi oczyma na zmieszanego Jakóba—trzeba pana koniecznie ożenić.

— I pani chcesz więc do tego spisku należeć?—spytał smutnie Jakób.

— Tak, bo chcę, żebyś pan był spokojny i szczęśliwy...

— Doskonałe lekarstwo!—szepnął Symon.

— Pozwólcie mi zostać, jak jestem...

— Tak! tak! dajcie mu asaństwo pokój — dokończył Symon — zrobi się to i bez was, niech-no się matki dowiedzą, panny rozpatrzą, dadzą mu one radę bez pomocy niczyjej... To nie nasza rzecz, go-tów później proces wytoczyć nam, broń Boże jakiego nieszczęścia, o ubytki... lub o przybytki—dodał ciszej.

Jakób był bohaterem dnia, rozpytywano go, badano; mógłby się być domyślać, gdyby w naturze jego było więcej podejrzliwości, że go chciano wy-badać i poznać lepiej. To ten, to ów, zadawał mu pytania, jakby pragnął wyświecić jego sposób myślenia w różnych przedmiotach.

Mann, przy deserze, który był niemniej wspa-niały od całego obiadu, odezwał się do Jakóba;

— No, cóż teraz myślisz robić?

— Zdaje mi się, że to już mówił: chcę się poświęcić głębszej nauce naszego prawa i naszej wiary.

— No! no! to choroba młodości i nie starczy na życie... ale to przejdzie.

Jakób zamilkł, zaczął mówić o muzyce, ruszono się od stołu. Przy czarnej kawie wszyscy, prócz przybyłego, skupili się w kątku, a ojciec Tildy spytał Manna:

— No! cóż o nim myślicie?

— Człowiek niepospolity, mógłby nam być bardzo użytecznym, ale ćwieka ma we łbie, tę religię... Ja sam—dodał—uznaje, że ona potrzebną jest dla gminu, ale oświeceni ludzie krępować się tem nie powinni.

— Tak, po staremu —odparł Symon—masz religię za zupą rumforską... karmisz nią ubogich, sam jednak wolisz *turtle*...

No, tak jest —rzekł Mann — to nie nowina.

— Mnie się zdaje, że jemu to bałamuctwo religijne odejdzie—rzekł Henryk—to młodość, poezya i pietyzm razem... trzeba go tylko wprządz do pracy, bardzo się przydać może.

— Przyda się niewątpliwie... To jest dobre, że choć się Żydem głosi, Żyda w nim nie znać... gdyby tylko tak często o tem nie wspominał!

— Tego się oducz!

Podano cygara. przybyli nowi goście poobiedni, Jakób zasłuchał się przy fortepianie Tildy... Szumiało mu w głowie tą długą, a dziwną rozmową...

Gdy się to działo we wspnianiałym domu w Alejach u pana Henryka, o kilkadziesiąt kroków stamtąd, spisek, który odgadnięto przy stole, mówiąc o małżeństwie, spisek na serce i swobodę Jakóba... zawiązywał się potajemnie...

Przedzielony dwoma czy trzema ogrodami tylko od pałacyku Segla, stał bardzo ładniutki domek, cały w bluszczach i winnych latoroślach dzikich, z werandą od przodu, z kolorowymi oknami, z ozdobami wymyślnymi z drzewa i kamienia, które, choć już nie pierwszej świeżości i nieco uszkodzone od wilgoci, wszakże go jeszcze dosyć oryginalnie przystrajały.

Dom ten miał właściciela, który w nim nigdy nie mieszkał, dlatego właśnie, że nadto nań wyłożył; zrujnowawszy się na fantazye dziecinne, poszedł na suchy chleb pokuty. Jakaś administracya najmowała to cacko pierwszemu lepszemu na lato, przez zimę stał niezajęty i nieopalany. Patrzyło mu też z oczów to sieroctwo, ten brak pana, któryby go kochał i pieścił, choć niegdyś był kochany i pieszczony. Na ten rok właśnie domek zielony najęła była pani Wtorkowska z córką.

Pani Wtorkowska było wdową po kupcu i spekulancie, któremu interesa poszły jakoś nieszczęśliwie; miał bowiem mnóstwo nałogów, nabytych w chwilach szczęśliwych, które go zrujnowały, gdy się cokolwiek zachwiał w interesach. Wtorkowski, zręczny bardzo i sprytny neofita, dorobił się był z razu fortunki żywo, ale żywiej jeszcze ją stracił. Skąpy był z początku wściekle, potem nagle stał się rozrzutnym, zachorował na państwo, a umarł niemal żebrakiem... Żona, jak powiadano, wiele temu była winną, bo przykryła coś fartuszkciem od wierzycieli i tak ocaliła dla siebie część majątku, a wielu biednych spadło z należnościami. Żyła ona teraz z tych tajemniczych resztek, zawsze jeszcze z elegancyą, ale już nie pierwszej wody, zawsze w pretensyach do wielkiego świata, z nieustanną francuszczyzną na ustach, nie mogąc się obejść bez kamerdynera, Spa, Ems i Paryża: a troszcząc się bardzo o przyszły los córki, którą wychowała na istne cudo...

Panna Emma była w istocie zachwycającą, ale miała już lat dwadzieścia i dwa, wedle rachuby przyjaciół (matka dotąd przyznawała się tylko do dziewiętnastu i pół), a nikt dotąd jeszcze po to cudo sięgnąć się nie ważył... Matkę to codziennie bardziej niepokoić zaczynało, była najpewniejszą, że się o nią dobijać będą, jeśli nie książęta krwi... to choć krewni książęcy.

Widząc, że nawet prości obywatele bez mitr nie zgłaszali się po ten skarb, że dla szlachty perła ta była za wytworną, za kosztownej wymagającą

oprawy, pani Wtorkowska (z domu Wejnberg), zbliżyć się zaczęła do krewnych w Izraelu, niepłonną żywiąc nadzieję, że bogaty jaki panicz jej narodu przedziej się o drogi kleynot spokusi, choćby dla ozdoby salonu.

Przyjęłaby była jakiego hrabiego z ochotą, ale postrzegła też, że hrabiowie wogóle nie byli posażni, a tyle już ucierpiała, walcząc z niedostatkiem, który potrzeba było pokrywać wystawą, że zaczynała oceniać zalety bogatego bankiera...

Emma godną była najświetniejszego losu, - tak utrzymywała matka, tak ona sama przekonana była w duszy.

Naprzód była w istocie piękną, jak tylko na obrazach bywają idealne Zuzanny i Rachele. Ciemna blondynka, z oczyma czarnemi. biała jak śnieg, rysy miała marmurowe, wejrzenie pełne niezgłębionych eluzyńskich tajemnic, usta, które mówiły, co chciały i jak chciały. Sztuka zwodnictwa niewieściego do wyższego stopnia w nikim może posuniętą nie została, jak w tej kobiecie, która od dziecka już kokietką, od pieluch komedyantką była. Matka, osoba pełna przymiotów światowych, znająca wagę tego, co człowieka uzewnętrznia, jeśli się tak wyrazić godzi, chowała ją na artystkę; sama nią będąc w najwyższym stopniu... Do złudzenia umiała udawać literatkę, choć prawie nic nie czytała; muzyki lubowniczkę, choć na muzyce nie znała się wcale; kobietę większego świata, choć ten świat widywała tylko w negliżu u wód i w kilku salonach podejrzanej dystynkei. Nareszcie wybornie

grała rolę bogatej i elegantki, choć była ubogą i z natury, powiedzielibyśmy, pluchą, gdyby wyraz nie był za brudny. Rachujmy więc, że się tego nie powiedziało.

Pod okiem takiej matki, czulej o przyszłość, wychowana Emnsia, którą potem dla oryginalności nazywano Musią, a naostatku Muzą, zaczęła naukę od francuszczyzny, tej mowy eleganckiego świata, od gam na fortepianie i lekkich solfegiów. Moralność, wielce uproszczona, ograniczała się kilku jasnymi, ale gruntownymi przepisami... Z tem nieładnie, to śmieszne... tamto szkodliwe... tego mówić nie potrzeba lub nie wypada. Z postępem czasu, wtajemniczyła ją matka w wielką sztukę udawania, zręcznego kłamstwa bez zarumienienia i perfumowanego, śmiałego fałszu... Uczenica była nader pojętną... natura pod tym względem uposażyła ją instynktem cudownym!.. Dość było lekkich wskazówek... Jak tylko nauczyła się czytać Muza, czytała, co chciała — matka przestrzegała tylko jednego... aby książka była po francusku i dobrym stylem...

Przy obfitych darach Bożych, można miarkować, jak się wykształciło śliczne dziewczę. Że ją od lat sześciu zaczęto na wirtuozkę hodować, mając dwanaście, popisywała się publicznie, w ośmnastym zyskała sławę niezrównanej pianistki, drugiej Clary Wieck... później już nikt nie wątpił, że Chopin nie miał ukochańszej nad nią uczenicy, że Liszt, gdyby nie księżna i książstwo... byłby może się z nią ożenił (dawano do zrozumienia pod osłoną)...

Muza występowała zawsze wytwornie i oryginalnie ubrana, dla ściągnięcia oczów—na to matka nie żałowała. Nie wierzyła ona w teoryje fatalistyczne, że panna czekać powinna losu w domu, starała się, gdzie mogła, Muzę wprowadzać, pokazywać w teatrze, produkować ją na koncertach dla dobroczynnych zakładów, czasem starając się nawet—przez trzecie osoby—o pochlebną, zentuzjazmowaną wzmiankę w Kuryerze. Pilnowała wszelkich możliwych ekspozycyj niewieścich, aby na żądnej córki jej nie brakło.

Muza zwracała oczy, pociągała, rozmarzała, ale najzapaleńsi jej wielbicieli po trzeciej wizycie jakos stygli... Matka, jakeśmy powiedzieli, zaczynała być niespokojną.

Miała wprawdzie paru naiwnych konkurentów (nazwanie to sama im nadała), jednego szalenie zakochanego, ośmnastoletniego młodzika; drugiego, poddeptanego dobrze marcowego kawalera—obu ubogich... ale nie szło naturalnie o to, by tylko po prostu pójść zamaż, jakkolwiek taki fenomen, jak Muza, musiała zrobić partyę świetną..!

U wód, jak na loteryę stawiać córkę, jeszcze żadnego nie była w stanie przywabić, nawet z tych książąt i hrabiów z łaski atramentu, którzy swe tytuły wywożą zagranicę, a ciężar ich zrzucają w domu.

Muza w cztery oczy odzywała się, wzdychając, że wostatku... tak ogromnie płacono artystkom, że teatr... Matkę to niepokoiło; być zmuszoną tak spaść... tak spaść, żeby pójść śpiewać za pieniądze!

Emma miała głos prześliczny, metodę doskonałą, dramatyczne usposobienia znakomite... ale na samą myśl takiego upadku, pani Wtorkowska płakała. A tu—trzeba już wyznać wszystko—fundusze tak były obrachowane, że na życie zbyt kowno-elegancko-brudne, jakie prowadzono — ledwie do roku dwudziestego trzeciego Muzy... wystarczyć mogły. Matka sobie powiedziała, że ją zamaż wydać musi świetnie i przy niej zamieszkać.

Powiedziała sobie, że to nastąpić musi przed fatalnym kresem i zupełną ruiną — a tu nie było nikogo, nikogo!

Muza dawniejszych lat bywała niekiedy i z mamą, i z guwernantką, w domu ojca Tildy, była niby przyjaciółką, towarzyszką młodości pani Henrykowej: po ogródku tym pamiętnym chadzała nieraz z Jakóbem i Jakób się jej naówczas dosyć podobał, ale *cas redhibitoire*... ubogi. Naówczas lekko sobie, z wysokości swego położenia towarzyskiego i nadziei, postępowała z młodym chłopakiem... później—żałowały obie z matką, że nie potrafiły przeczuć nic... Jakóba stracono z oczów, ale nie był dotąd żonaty, pani Wtorkowska dowiadywała się, czatowała, uparcie jeła się myśli wyswatania mu córki. Jej zdaniem, z trochę dobrej woli, wspomnienia owe młodzińcze, suche i zimne, można było odgrzać i uczynić płomienistą zorzą...

Matka i córka teraz dla siebie już żadnych nie miały tajemnic, były to dwie dobre przyjaciółki, spiskujące wspólnemi siłami.

Tegoż dnia, gdy Jakób, powróciwszy, zaciągnięty został na ów obiad do państwa Henrykowskiego — do domku w Alejach wpadła sama pani Wtorkowska, powracająca z miasta, zadyszana, i zastała córkę przy oknie na szeszlągu, czytającą romansidło Févala.

Zatrzymawszy się nieco we drzwiach, matka *con amore* patrzyła na swe dziecko.

— Śliczna mi dziś jesteś! — zawołała z radością. — A to dobrze! mam ogromne plany na myśli.. coś olbrzymiego i co się udać powinno... Teraz zwyciężyć musimy — lub umrzeć.

— A! cóż się stało? — zrywając się, rzucając książkę i oczy kierując ku zwierciadłu, zawołała Muza. — Co się stało?

— Dowiedziałam się w tej chwili, wystaw sobie, że Jakób, wiesz, ten twój dobry znajomy... ten, ten Żydziać, co to go ojciec Tildy wychował... co mu ten bankier berliński całą fortunę zapisał, powrócił z długiej podróży... do Warszawy... jest tu...

— Jakób! a! wiem! wiem!

— Mam przecucie, jestem prawie pewna, że on dla ciebie przeznaczony.

— Ale moja mamó...

— Przecie! rozumiesz? Serce matki! — żywo poczęła zdyszana, otyła i łatwo się męcząca pani Wtorkowska. — Ja wiem... ja chcę... *et ce que femme veut...*

— *Le diable le veut aussi!* — dodała córka po cichu, uśmiechając się.

— A! to bardzo dowcipnie!.. Ale użyj tego kiedy w salonie... to zrobi efekt, nie ekspensuj się dla mnie...

— O! niech mama będzie spokojna... ja jużem to parę razy rzuciła, zawsze z wielkim skutkiem...

Pocałowała ją w czoło matka.

— *Vous êtes sublime d'esprit.*

— Ale słuchajże — dodała — Jakóba potrzeba znać. Trafiło mi się najszczęśliwiej, dostałam o nim wieści... musimy postępować ostrożnie, bacznie, z wyrachowaniem... z godnością...

— Niech mama będzie spokojną... ja, choć go bardzo dawno nie widziałam... znam go na wylot... pamiętam doskonale i mam, nie pochlebiając sobie — szepnęła Muza — instynkt wielki... Nic zagram z fałszywego tonu...

— Czekajże — przerwała matka niespokojna — z nim uchowaj Boże być zanadto *brillante*, za wesołą, za dowcipną: potrzeba powagi, skromności, poezyi... poezyi, ty wiesz... ideału!..

— Wie mama, ja doszłam, że on się kochał.

— On, w kim?

— W Tildzie!.. albo ona w nim... to wszystko jedno, coś było między nimi... Nie wiem jeszcze, czy to wywietrzało.

— Ale tyle lat! Ona bez czasu zwiędła, zbrzydła, zameźna! Co to nam ma szkodzić? Owszem, to tylko dowód, że się zakochać może. A wiesz, dziś ci obrzydliwi mężczyźni, to wszystko chodzące lody. Żaden się nie zachwyci taką, jak ty, czarodziejką. Te lorety, ten *demie-monde* pochłonał ich.

— Moja mamó — odparła Muza — oni lgną wszyscy, ja to wiem najlepiej, ale sama myśl ożenienia ich odstrasza... To w duchu wieku...

— O ile wiem od dobrze poinformowanych osób, powtarzam ci—dodała matka—Jakób jest człowiek poważny, uczuciowy, nawet trochę pietysta żydowski... rozumiesz... Potrzeba dla niego nosić na czole piętno tysiącletniej tęsknicy wygnania, coś o tem mówić, wzdychać, trzeba być poetyczną, bardzo poetyczną i poważną.

— Ale, moja mamó, czyż mnie potrzeba uczyć? — z urazą odezwała się Muza.

— Dziecko moje, ja to wiem aż nadto, że dla ciebie dosyć wskazówki, dosyć jednego rysu — ale serce matki! — westchnęła — Jestem pełną obawy... Lepszej partyi dla ciebie znaleźć trudno, nużby się nam wymknął! Potrzeba użyć wszelkich środków, wsunąć się tam, gdzie on bywa, niby wypadkiem go spotykać... Musimy go zapraszać... lubi muzykę, to wiem... damy parę wieczorów, zaproszę Kątskiego... przyjdzie Dobrzański... zrobimy trio... wystąpię z kolacją.. ty mi się ubierzesz..

Muza ruszała ramionami.

— Mama nicch robi ze swojej strony, co należy do mamy... i co uważa za właściwe, a już z resztą proszę się na mnie spuścić.

Słuchaj— poczęła po cichu, zbliżając się do córki zarumieniona Wtorkowska — nie będę przed tobą taić, czegoś się sama domysleć była zresztą powinna... my jesteśmy prawie zrujnowane, gonimy ostatkami, gramy o śmierć lub życie. Z tego,

co wiem, co czuję, pewna jestem, Jakób uczciwy człowiek, sumienny... z nim (ale tylko z nim jednym!) moja Emmo... można dojść nawet... do ostatecznych środków, aby go niejako zmusić i związać... Jest młody, musi być namiętny... Obudzić w nim pasję przyjdzie ci łatwo... ty mnie rozumiesz... Z nim, powtarzam ci—ale tylko z nim, można pójść daleko...

— Moja mamó! mama mnie ma za dziecko!—odpowiedziała Muza z urazą — czyż ja tego nie rozumiem?

Ruszyła ramionami niecierpliwie.

— Powiem mamie, to jest heroiczny środek, ale tylko z bardzo uczciwym człowiekiem uciec się do niego można. Myśl mamy jest istotnie genialna...

Matka się zaczerwieniła cała, bo jej samej już tej szkaradnej myśli genialnej, wypowiedzianej przed dziećciem—wstyd było.

— Emusiu — rzekła smutnie—taką myśl rozpacz tylko poddać mogła.

— Bo mama aż do zbytku się troszczy... Nie mamyż ostatniego rekursu... w teatrze?

— A! nie mów mi o tem! Ty w teatrze! na scenie! aktorką!

— Ależ Malibran, Pasta, Patti, Schröder, Grisi Sonntag, hrabina!

— Ja tego nie chcę, ja wolę...

— Niech tylko mama będzie spokojną...

— Mam już pierwszy plan, jak wystąpić... Jakób jest dziś na obiedzie u Henrykostwa, ty z nią w przyjaźni... to stąd o trzy kroki... Ubierz się, niby

nie nie wiedząc, trochę słaba, trochę smutna... pójdź ją odwiedzić... zaraz po obiedzie... Dla zamaskowania tego kroku, idź sama, beze mnie, poufale, weź tylko lokaja ze sobą... Ale trzeba się tak wyrachować, abyś przyszła zaraz po obiedzie, bo się oni rozejdą... na deser, lub czarną kawę... Po obiedzie *on est un peu monté*—zrobisz wrażenie, on będzie śmielszy... Ubrać się jak najskromniej... Gdy zobaczysz gości... bo tam jest Mann, ojciec Symon, jej ojciec... udawaj, że się chcesz cofnąć... naturalnie, będą prosić, żebyś została... no! a reszta... to twoja rzecz!

Muza zerwała się żywo, jak żołnierz ochoczy, którego trąba wzywa do boju, uścisnęła matkę, która, pracę i pośpiechem wywołany pot ocierała starannie z błyszczących policzków.

— Na Boga tylko, Emusiu kochanie, — nie bierz już tej *poudre de ris*, to niepotrzebne tobie, a daje się domyślać braku świeżości... Ty często w niej przesadzasz... I powiedz mi jeszcze, jak się ubierzesz?

— Ale czarno, czarno, skromnie, poetycznie, włosy gładko... Już ni to proszę zostawić... I książkę jaką wezmę w rękę...

A! to będzie może jakoś zbyt wymuszone, zużyte...

— Mama słusznie to mówi... wezmę robotę, *c'est plus simple*.

— A! niech Bóg broni! Prozaiczne! niemieckie! pończocha!

— No to nie, pójdę tak sama z sobą! Bądź spokojną...

Wyszła Muza. Matka padła na kanapę w głębokim zamyśleniu... Niedopowiedziana myśl owa genialna trapiła ją, gryzła, zdawało się jej, że wygadała się nadto, wyrzucała to sobie... Możnaż było przewidzieć następstwa...

-- Ale nie! nie! — zawołała uspokajając się — Emma jest nadto rozumną, ona nie skorzysta z tego nierozważnie...

Przestrach ją jednak ogarniał, zabobonna, jak zwykle ci, co w nic nie wierzą, zobaczyła w tej chwili pajaka i wzdrygnęła się... Ale zegar wskazywał już więcej niż dwunastą...

W pół godziny później, pani Wtorkowska z okna swojego dojrzała niesione z kuchni do pałacyku Henryka... wedle wszelkiego prawdopodobieństwa... pieczyście... potem poznała lody, po wysokiej, piramidalnej ich pokrywie... Pobiegnęła do córki.

— Musisz iść!.. bo wielki czas... mogą się rozejść... deser... lody ponieśli... Jakób ma pewnie interesa, pilno mu...

Spojrzała chciwie na córkę... Muza mogła służyć za wzór dla malarza do *elegii* współczesnej. Wesole jej, rozbudzone zwykle, rysy twarzy, jakoś dziwnie steżały; przed zwierciadłem studyując, nabrała, wyuczyła się wyrazu, jaki mieć chciała.

A była prześliczną... z nieporównaną sztuką umiała pokryć sztukę samą, wydawała się naturalną, była sobą, niktby jej o odgrywanie roli, głę-

boko obrachowanej, nie posądził... Była młodą, smętną, ale świeżą... a już rozmarzoną, roztesknioną, pociągającą urokiem niezbadanych tajemnic wiecznego łona...

Dwoma wdziękami najmocniej pociągają kobiety ku sobie: wesołością i dowcipem, na którym wiele budować nie można i tajemniczością. Człowiek niczem się tak pochwycić i usidlić nie daje, jak urokiem zagadki. Gdy z tej księgi, którą jest kobieta, ostatnią kartkę przeczyta, musi być arcydziełem chyba nowa księga, aby ją znowu od początku chciał studyować. Muza była żywym Sfinxsem... a tak cudownie pięknym, tak skończenie doskonałym, tak pewnym arcydzielnosci swojej, że nawet oko sceptyka wady w niej odkryć nie mogło.

Strój miała prawie zaniedbany, czarną, lekką, skromną sukienkę, bransoletę z koralem i broszę podobną, w rękę zmiętą chusteczkę białą i kwiatek... Była niezrównanie piękną... matka załamała ręce z podziwu... pod tą formą jeszcze córki nie знаła... Ofelia!!

— Nigdy cię jeszcze taką nie widziała!—zawołała.—Byłaś może nieraz świetniej piękną, wspanialej cudowną... ale taką, jak dziś! tak nową! tak inną! A! ty kochany mój kameleonie!

Tyś czarownica!

Dumnie uśmiechnęła się Muza, skłoniła się matce, nie zmieniając wyrazu twarzy... wyszła spokojna... jak gdyby na przechadzkę, nie na tę walkę,

nie na ten bój, w którym idzie o zdobycie serca ludzkiego.

Serce jej jeszcze nigdy nie kochało; dziwiła się mężczyznom, że nie zdolni byli nawet do szalonej namiętności, ale i ona również nie rozumiała, czym jest miłość, czym namiętność. Żyła głową, w głowie paliło się czasem... ale pożar ten nigdy do piersi nie schodził. Gdy marzyła o miłości, zawsze ją sobie wyobrażała w atlasach, brylantach, w salonie pańskim, na dworze królów...

Czy biło jej serce w drodze... wiedziała tylko czarna sukienka, ale na twarzy nie powstała najmniejsza niepokoju oznaka... Rachunek chronologiczny matki był tak szczęśliwy, iż Muza trafiła właśnie na czarną kawę w salonie, a że drzwi wchodowe były naprzeciw fortepianu... Tilda postrzegła ją, gdy się ukazała i chciała niby wycofać. Wstała, pobiegła i wejść zmusiła. Jakób stał tuż... Muza udała, że go z razu nie poznaje...

— Wszakże to dawny znajomy!—odezwiała się Tilda—pan Jakób.

— A! doprawdy! Jakto? powrócił? Ale jakże się... zmienił... nie byłabym może poznała! A! jakże mi miło!

Szło jej nadewszystko o zamaskowanie zupełne pierwszego kroku... Wypadało okazać się z początku obojętną... odegrała tę rolę dobrze... Na Jakóbie nie zrobiła najmniejszego wrażenia, stała obok Tildy... a potem... są instynkta serca w człowieku i póki nie rozchodzi się brzydka zwierzęca namiętność, coś go ostrzega o niebezpieczeństwie.

Wydawała mu się bardzo piękną, ale jakby nieżywą...

Panowie, pijący czarną kawę w salonie, z dala wcale inaczej poglądali na czarodziejkę — tam ona, po szampanie i likworze, obudzała nadzwyczajne zachwyty i uwielbienia!..

To jest cudownie piękna dziewczyna—rzekł Mann — kąsek królewski... Co za ramiona! kąsek królewski!

Henryk także był zachwycony, ale przy ojcu Tildy, nie śmiał się z tem odzywać.

Ojciec Tildy, wielki miłośnik płci pięknej, cmokał.

— Warta — mówił po cichu — słowo daję... warta... tysiąc dukatów!

— To mało—rzekł Mann.

— Nie licytujcież jej, dopóki przynajmniej zamąż nie pójdzie—przerwał Symon—potem...

— Oj, to kute baby—dodał Mann—kute baby... Wtorkowska nie ma złamanego szeląga, a żyje, jak... pójdź, zobacz... jak mieszka, jak się ubiera, jakie apartamenta... *jak u nas!*

— Żeby ona tylko nie myślała na Jakóba polować!—rzekł Symon.—Coś mi już ta wizyta nawet widzi się podejrzaną...

— Ale mieszkają o trzy kroki! — przerwał Henryk.

— Tembardziej, a szkodaby tym Harpiom Jakóba—dorzucił Symon.

Gdy ci panowie tak szepcą, Muza obojętnie przystąpiła do fortepianu, przeglądając nuty, z któ-

rych Tilda grała przed chwilą. Było to coś Schumana. Zaczepiła z lekka Jakóba, aby mu się nie dać zaraz oddalić. Jakiś smutek zimny, znudzenie wiało od niej; niby chłodno, ale ciekawie przypatrywała mu się, niby mimowolnie wlepiła weń oczy dziecinnie, naiwnie szukające... czegoś upragnionego.

Jakób w głębi nie poczuł nawet wzruszenia, jakie rodzi wspomnienie lat młodszych.

— Pamiętasz pan nasze z Tildą przechadzki? — spytała po chwili Muza. — Czy pan zawsze jesteś tak poważnym, jak byłeś w młodości?

— Zawsze tak nudny, jak byłem — rzekł Jakób z tą różnicą może, iż z wiekiem przymiot ten jeszcze wzrósł we mnie...

Tilda, słuchając rozmowy, sama nie wiedziała czemu serce jej biło gwałtownie. Z dala patrząc, ojciec Symon kręcił głową, miał przyjacielskie dla Jakóba serce, odwiedziny te go niepokoiły. Począł przechadzać się, lawirować, stanął przy fortepianie; kobieta instynktem poczuła w nim nieprzyjaciela, dywersję jakąś zrobiło to, że ją zaraz gwałtownie napadnięto, aby grała.

— A! ja tak lubię muzykę, że mnie nie potrzeba prosić! — zawołała, rozrachowując, że dać się długo błagać, byłoby zbyt pospolitem.

Usiadła do fortepianu.

— A! to mój ukochany Schumann!

I poczęła jedną z tych dziwnych fantazyj marzyciela, z których nut, jak krwi strugi, boleść płynie... i tryska...

Grała cudownie, z wyrazem wielkim, komedya w niej obejmowała nawet muzykę, umiała odegrać uczucie wybornie, choć go w sobie nie miała.

Oklaskami żywemi okryto wirtuożkę, a Tilda, która sama grała doskonale, znalazłszy w pojęciu znanego utworu myśli nowe, nie mogła się nią nacieszyć.

Jakób chwalił, ale był zimnym.

Ojcie Symon, ująwszy go za rękę, powoli odprowadził na bok.

— Znasz Mużę?

— Widywałem ją dawniej.

— A znasz matkę Muzy?

Bardzo mało.

— Więc trzeba, żebyś wiedział, na wszelki wypadek, że to jest najniebezpieczniejsza z kobiet... Córka, wychowana na dziedziczkę milionów, bez grosza, poluje na bardzo bogatego męża... Strzeż się... mam jakieś przeczucie, że one cię tu poczuły i rozstawiają sieci.

Ścisnął go za rękę: Jakób się rozśmiał.

— Wczoraj dopiero przyjechałem.

— Matki tego rodzaju są to republikanie *de la veille*, one czują przybycie młodych ludzi wprzód jeszcze, nim przyjechali... Powiadam ci, strzeż się, jest cudownie piękną i wystylizowaną doskonale...

— Ja nie lubię kobiet zbyt pięknych...

— Umie ona i potrafi być taką, jaką zechcesz... a odgadnie nawet myśl twoją...

W tej chwili siedząca przy fortepianie z gospodynią domu Muza, spojrzała tylko i odgadła, co

Symon mówił... Zdało jej się, że słyszy rady mentora, nie mogła dopuścić, aby ją z uroku odzierał i zawołała sama ojca Symona.

— A! mam do pana prośbę — rzekła żywo — jak to dobrze, żeśmy się spotkali...

— Do mnie?—spytał zdziwiony stary.

— Ale tak... prośbę bardzo nieśmiałą—rzekła Muza — moja mama tak jest rozkochana w panu i w jego niezrównanym dowcipie, tak stęskniona za nim... a pan nigdy nie raczysz nas odwiedzić nawet...

Sądziła trochę za gorąco, że go weźmie na to grube kadzidło, ale ojciec Symon się skłonił, uśmiechnął, coś pomruczał i odszedł.

— Palnęła mi w nos trybularzem — rzekł do Jakóba — ręczę, że na twój rachunek, czuła, że o niej mówił. A zatem dodam ci tylko jedno, Kochany Jakóbie... to Syrena, uszy pozatykaj bawełą, oczy zamknij i—w nogi... To jedyny sposób.

— Niema dla mnie Syren i czarownic!—rzekł Jakób wzdychając.

Symon popatrzył nań długo i znowu ścisnął mu dłoń milczący.

— A!—rzekł—to trwa!

I odszedł.

Nie wypadało Jakóba wabić jej samej, więc zręcznie Muza nastawiła na to Tildę, udając ciekawą. Jakób przyszedł posłuszny, wsparł się na fortepianie, rozmowa poczęła się żywa, ale niestety, ta marmurowa lalka gasła przy bladej, smutnej, ukochanej twarzyczce biednej męczenicy. Muza

czuła, że nie czyni wrażenia, nie chciała się wyczerpywać napróżno, wstała, by odejść, odchodząc tylko odezwała się z prośbą, aby Jakób kiedy je odwiedził. Uczyniła to obojętnie, zimno, wskazując mu blizki dom, w którym mieszkały.

— Nadaremnie ty mi się srożysz! — rzekła w duchu — wezmę cię ja, zimny człowiecze i musisz być moim... A o tę chwilę upokorzenia porachujemy się później.

Skromnie, cicho, bojaźliwie się prawie wysunęła. Tilda przeprowadziła ją i wróciwszy, poczęła głosić jej pochwały, ale te echa nie znalazły.

— A pan—spytała Jakóba—jak ją znajdujesz?

— Cudownie piękną—rzekł Jakób—ale niestety chanie odstręczającą i niemiłą.

Wszyscy zakrzyknęli.

— Nie znam kobiety, któraby na mnie robiła wrażenie sztuczniejszej istoty, a kobieta—dodał—jako ideał, musi być samą prawdą i szczerością.

Symon przyklasnął.

— To ślicznieś rzekł, ale mało ci się kobiet podoba.

Tilda zamyśliła się.

Gdy w salonie tak rozmawiają, mąż jej, pan Henryk, jako gospodarz, kilka kroków dalej jeszcze odprowadził Muzę; z oczów jego rozplamionych znać było, że mu się ta perła lepiej jeszcze podobała, niż signora Gigante. Ale Muza potrzebowała gwałtownie iść zamaż i choć jej się też pan Henryk bardzo podobał, choć sympatyzowały z sobą dwa duchy, dwie dusze dla siebie stworzone, nie

mogła się kompromitować z człowiekiem żonatym. Henryk pożegnał ją u furtki takim wejrzeniem znaczącem, że prawie jej ono za obojętność Jakóba zapłaciło.

Matka oczekiwała na nią w progu, ale po twarzyczce zamysłonej, poważnej, odgadła niepowodzenie.

— No cóż?— spytała — zastałaś go?

— Zastałam.

— I jakże?

— Ale, moja mamó, preludya zawsze, jak sama mama mówi, są nudne. Odegrałam mu Schumana fantazyę prześlicznie, byłam natchnioną, starałam się być ponętą i obojętną razem, zaczętałam wzrokiem badawczym, ni nadto chłodno, ni nadto gorąco, z wyrachowaniem największem starałam się go osnuć... usidlić...

— Ale jakże ci się zdaje, będzie to skutecznem?

— Wie mama co? Otóż mi się zdaje, że z tego nic nie będzie... Tam u niego, w sercu, już coś jest... ja to czuję...

— Ależ... ty mała moja czarodziejko, czyżbyś nie potrafiła wyrugować z tego serca... to, co je zajęło?..

— Spróbujemy—mówiła Muza, rzucając kapełusik na kanapę i przypatrując się sobie w zwierciadle. — Tego człowieka żadnym wdziękiem nikt nie weźmie, tylko sercem... a serce odegrywać... o! to najtrudniej...

Westchnęła powtarzając:

— Spróbujemy!

— To tylko źle—łamiąc ręce, dodała matka— że ty, ty odrazu zdajesz się wątpić.

— O! jeśli zechcę, potrafię go pochwycić... ale będę się musiała skompromitować. Nie w ten sposób, jak mama z rana mówiła — dodała chłodno — ale w oczach ludzi, afiszując się.

— Toby go może związało...

— Ale nie... nie... Zresztą, moja mamó, to tak, jak hrabia Alfred powiada o polowaniu; nigdy z góry planów osnuwać nie potrzeba, wśród samej walki plan się rozwinie... zobaczymy... Powiem też mamci dla rozrywki co innego... Henryk jest we mnie zakochany... szaleje...

— Jaki Henryk?

— Przecież... sąsiad nasz... Segel...

— On? Cóż to znowu! Śmiały!

— Mówię mamie! postrzegam to oddawna... Jest aż śmieszny... bo co on sobie myśli? Teraz, odprowadzając mnie do furtki, tak ścisnął rękę moją, tak się patrzył... tak wzdychał...

— Do czegoż się to zdało! Żonaty!

— Tak! żonaty... ale Tilda... Tilda bardzo kaszle... Mówią, że z piersiami jej źle, wcale źle... Niema jeszcze lat 25... w tym wieku suchoty... broń Boże nieszczęścia...

— W istocie—cichuteńko szepnęła matka—ty jesteś genialna i przewidująca!.. Jeśli go można trzymać w odwodzie... zapewne... Wołałabym wszakże Jakóba... Tacy ludzie, jak Henryk, nie kochają się...

to co innego jest... Wiesz, że on co rok prawie ma inną kochankę w teatrze.

— A! moja mamó! to są zwykłe fantazyje męskie—odpowiedziała panna spokojnie.

— Lepiej się trzymaj Jakóba... to coś okropnego, być zmuszoną na grób rachować...

— Zrobię, co tylko będzie w mej mocy — odpowiedziała Muza—mnie tak żalby było Tildy! Ale jej z oczów śmierć patrzy...

— Cichoż—przerwała matka —myśl lepiej o Jakóbie.

— Zrobię, co tylko będzie możebne, ale do prawdy, za skutek ręczyć nie mogę.

— Emusiu, bylebyś ty chciała, to ja ręczę.

— Zobaczymy! — szepnęła córka, rzucając się na sofę zamysłona — co do mnie, wołałabym Henryka...

Matka w milczeniu ruszyła ramionami.

Jeszcze tegoż samego wieczora, Jakób, w interesie przyjaciela Iwasia, musiał pójść wyszukać kogoś z jego towarzyszków dawnych uniwersyteckich, człowieka, który przeważną grał rolę pomiędzy różniakami swymi, chociaż na oko bardzo podrzędne zajmował stanowisko. Zyskał on był sobie więtość i uznanie niepospolitemi darami umysłu i szlachetnym charakterem. Niestychanie czynny, energiczny, a nadewszystko umiejący objąć i wypowiedzieć każdą stronę tej sprawy narodowej, która wówczas najgoręcej obchodziła wszystkich, był on, jeśli nie wybranym wodzem stronnictwa jednego, to czynnym we wszystkich działaczem, i każde z nich niemal na niego rachowało. Stanowczo wszakże nikt oznaczyć nie umiał, czy Kruder (było to jego nazwisko), należał do rewolucjonistów gorących, do legalistów i konserwatystów, czy był biały, czy czerwony, za ruchem, czy przeciwko ruchowi.

Z ludźmi zapaleńszymi mówiąc, dorównywał im prawie zapalem, z chłodnymi będąc, prawie się stawał jak oni chłodnym, rozsądnych prześcigał rozsądkiem; zarówno niemal zaspokoić i pozyskać

umiejąc każdego, choć po ścisłym obrachunku nikt z pewnością powiedzieć nie mógł, czy go z sobą pociągnie, czy przeciw sobie mieć będzie.

A jednak był to znakomity ze wszech względów człowiek, łatwo umiejący się do ludzi i pojęć różnych zastosować; pełen talentów, ożywiony, czynny, niezmordowany. Zdaje się, że myślą jego tajemną było utrzymać się w pośrodku, aby doczekać chwili, w którejby nie zmarnowała się praca jego, nie zużył nadaremnie talent; w duszy ambitny, ale uczciwy, oszczędzał siebie do czasu; badał ludzi, chcąc całą swą siłę na wielkie, stanowcze wystąpienie zachować. Tymczasem trzymał się na przemyku robót politycznych z nabita bronią i czekał.

Niebardzo widocznym będąc dla nie wtajemniczonych w roboty, u ludzi ruchu i u tych, co ruch zatamować pragnęli, równe posiadał zaufanie, jedne obudzał nadzieje, oba stronictwa równie go ciągnęły, w obu obozach miał przyjaciół wielu—ale do-
tąd nie przechylił się widocznie na żadną stronę.

Tak zwani Czerwoni, mieli mu za złe jego wahanie się, ale przecież dłoń skwapliwie mu podawali; na rozsądniejszą młodzież wpływ miał wielki. Rozległe stosunki dawały mu możność wiedzenia dokładnego o wszystkim, co się działo wkoło, często działania samemu to w jednym, to w drugim kierunku, ale z nadzwyczajną ostrożnością, aby się żadnym krokiem nie związać.

W chwili, gdy do niego Jakób przybył, Kru-
der zajmował jeszcze mniej oznaczone, niż później, stanowisko, skupiał około siebie młodzież, wpływ

swój na nią starał się wzmocnić; hamował nieco zapędy, ale nie wyrażał się nigdy jasno i stanowczo, co w przyszłości uważał za konieczne i zbawienne.

Kruder mieszkał w zakątku, zapewne dla nieściągania na siebie oczów i podejrzeń - do dziesiątej rano ledwie bywał w domu, przez resztę dnia już go nikt nie zastał, wychodził do biura, potem do późna był w mieście. Gdy się z kim widzieć potrzebował, naznaczał mu schadzkę w cukierni, kawiarni, lub najczęściej w cudzym domu.

Jakób też musiał go szukać u jednego ze swych współwyznawców, młodego Izraelity Bartolda, zwanego poufale Małym. Bartold był właścicielem handlu żelaznego i fabryki, miał dom otwarty i nikogo nie dziwiło, że u siebie wiele osób w różnych dnia godzinach musiał przyjmować.

Znakomicie wykształcony, lecz nie zepsuty, młody Bartold należał do dawnych i najmilszych Jakóbowi przyjaciół. Mało różniły się ich usposobienia, charaktery i przekonania, tem głównie, iż Bartold był chłodniejszy, nie miał wcale religijnych skrupułów i wiarę swą utraciwszy, zachował w niej jednak moralność rozumowaną, popartą wrodzoną mu szlachetnością charakteru. Nieco starszy od Jakóba, doświadczeńszy od niego, jak on, nie przestał być jawnie Żydem, chlubił się swem pochodzeniem i mawiał:

— Jeśli arystokracji europejskiej wolno się wywodzić od krucyat i chlubić kilkuset latami starożytnego rodu... pozwólcie, że i ja też pochwalę

się mogę kilku tysiącami lat przodków moich, pochodzę bowiem z pokolenia Levi... a to mi stanie za herb i pargaminy średniowieczne. Moi przodkowie stali u Arki Przymierza w świątyni Salomona, *excusez du peu...* I ja jestem arystokratą.

Miał w tem najzupełniejszą słuszość. Bartold, zmuszony będąc, teraz szczególnie, gdy ruch umysłów i stan kraju wszystkich do czynności jakiejś pędziły przyjmować osób mnóstwo; miał na to wyznaczonych parę pokoiów na dole w domu, swoim, którego górne piętro zajmowała żona jego i dzieci. Ofiarowywał też często to neutralne miejsce dla narad swoim znajomym, zmuszonym szukać gdzieś bezpiecznego kąta; sam zaś gorący w nich brał udział, bo w duszy czuł się Polakiem i obywatelem kraju, równo, jak się czuł Izraelitą. On i jego młoda żona, nie czyniąc popisów z patryotyzmu, mieli go w sercu istotnie, nie chlubili się nim, ale się go nie zapierali.

Bartold był mężczyzną około lat trzydziestu, zdrów, czerstwy, barczysty, z oczów mu bił jasny rozsądek, z czoła uczciwy spokój człowieka, który idzie drogą prawą i czuje, że spełnia obowiązki. Wesół, swobodny, Bartold bywał czasami aż do zbytku żartobliwy, ale to udane szyderstwo kryło w nim duszę czułą i wrażliwą, która się tylko na zbyt ze swą słabością wydawać nie chciała...

Na widok Jakóba, o którego powrocie jeszcze nie wiedział, Bartold z okrzykiem wybiegł ku niemu.

— Nigdy—zawołał, ściskając go—bardziej nam w porę przybyć nie mogłeś... bądźże pozdrowiony!

Jak się masz? Spójrz na mnie całemi oczyma... niech się w ciebie wpatrzę, czy dosyć silny nam przyjeżdżasz... do roboty.

Oprócz Bartolda i Krudera, był jeszcze jeden młody człowiek, do najgorętszych należący, wszyscy Jakóbowi znani po trosze i witający go z radością.

— Skądże?—zapytał gospodarz.

— Z Jerozolimy... przez Włochy!

— Nie pytam, co słyszeć w Jeruzalem, ale cóż Włochy?

— Włochy wychodzą na coraz porządniejsze państwo... strzelają powoli do garibaldczyków...

— A! co pleciesz!

— Przekonacie się sami.

— Nie uwierzę, by nie mając jeszcze Wenecyi, wyjść już mogły na zachowawcze — rzekł Kruder.—Później, nie mówię, bardzo być może.

— I bez Wenecyi już konserwatyzm przemaga; tymczasowo Neapol, Romania, Umbrya, Toskania, zaspokoily głód...

— Myślicie, że się tam nic nie ruszy?—zapytał, uśmiechając się, zapalony chłopak.

— Jestem tego pewny...

Młodzieniec szydersko śmiał się i ruszał ramionami.

— A Garibaldi? --zapytał.

— Powoli wychodzi też na porządnego gospodarza, zaokrągla się na Caprerze, kupuje grunta, sieje coraz więcej pszenicy, pocziwy stary... i wiodcznie sięga po emeryturę, która mu się należy.

Wszyscy zamilkli.

— Widzę, żeś i ty powrócił konserwatystą — przerwał Bartold — gdy my tu właśnie dyabło zaczynamy być rewolucyjni...

— Dla kuracyi wysłałbym was na wędrowną po Europie.

— A! — dodał, widząc, że Kruder bierze za kapełusz — ja do pana przychodzę, za wami gonię...

— A! za mną? spytał, wpatrując się w niego pierwszy.

— Tak jest, mamy kilka słów do pomówienia.

— Jeśli to nie rzecz osobista, mów otwarcie i głośno, jesteśmy między swymi — rzekł Kruder.

— Więc dobrze, znacie Iwasia?..

— Iwasia? doskonale! niegdyś to mój towarzysz uniwersytecki z Kijowa, dobrzem go znał... ale uszedł zagranicę... Cóż się z nim stało? gdzieście się z nim spotkali?

— Wypadkiem, we Włoszech na drodze. Biedne, poczciwe chłopię, rady sobie dać nie mogło, tułał się, szukał chleba, znalazł gorzej niż głód, bo tę zimną obojętność, którą zarażona jest cała Europa, zwątpił, upadł na duchu... Poznałem go bliżej w drodze... byliśmy długo razem. Zapalony i zrozpaczony Iwaś, zatęsknił gwałtem za krajem i koniecznie zapragnął doń powrócić. Napróżnom się starał go niebezpieczeństwem odstraszyć, niepodobna było myśli tej wybić mu z głowy...

— Cóż zrobił?

— A! zrobił, co chciał, uparł się i powrócił?

— Dokąd? gdzie jest? — zapytał przestraszony Kruder.

— Przede mną jeszcze przebył granicę za fałszywym podobno pasportem, ale też w ślad za nim wysłano wiadomość o nim i jego pasporcie... Szczęściem, że nie pochwycono go... czasowo potrafiłem ukryć go na wsi, o ile sędzę, bezpiecznie. Ale Iwaś z równą gwałtownością, jak się napierał do kraju, wyrывa się do Warszawy... Jak sądzicie, czy niema dlań niebezpieczeństwa?

Kruder się zamyślił długo.

— Wątpię, żeby go po kilku leciech niebytności poznać miano — rzekł powoli — niewielu też osobom był bliżej znanym... w Warszawie łatwo by go teraz, mimo czujności policyi, ukryć było można. Ale należałoby, żeby wziął jakikolwiek pasport od wójta gminy i żeby się trochę zmienił na twarzy.

— Mógłby nam tu teraz być bardzo użytecznym — wtrącił młody człowiek — niech przybywa, my go weźmiemy i ukryjemy. Ja już słyszałem o nim... Młot mi powiadał... On jest z zabranego kraju i tam go zapewne wysłać wypadnie. Bardzo nam to na rękę... dawajcie go...

— Z jakimiż usposobieniami przybywa — spytał Kruder — bo my tu, jak pan widzisz ze słów Bartolda i jakieś się sam mógł przekonać, ogniem technemy...

— No, i jemu też na ogniu nie zbywa — odparł Jakób — ale to zły ogień, mojem zdaniem, to płomień rozpaczy... to prąd, co pcha do nierozważnego czynu...

— Tak!—podchwycił blady, młody człowiek—tak! a Panowiebyście wszystko chcieli oprzeć na rachubie, na rozwadze, my na szaleństwie! Heroizm nie jest czem innym, jak szalem i szalem tylko można zwyciężyć.

— Nie jestem ja tak bezwzględnie obrońcą chłodnego rozumu—powoli odparł Jakób—przynajmniej nie tak, jakbyś pan mógł sądzić ze słów moich. Rozum tak dobrze myli, jak szal zawodzi... ale ani jednym rozumem, ani ostatecznym szalem, w rzeczach, obchodzących losy kraju, powodować się nie godzi. Chyba kto idzie za samym rozumem i kto na sam szal się spuszcza.

— A więc coś pośredniego, jakieś *mixtum* szalu i rozumu! — rozsmiał się szydersko młody człowiek.

— Zgadłeś pan—odpowiedział Jakób—tą mieszaniną jest właśnie natchnienie... instynkt narodowy...

— Wybornie! Ależ instynkt narodu chce rewolucyi i czuje w niej zbawienie...

— Mylisz się pan, o ile ja o kraju z tego, co widzę i słyszę, sądzić mogę—przerwał Jakób—jest agitacya rewolucyjna, ale w głębi ducha jest przeczucie ropaczliwości tego kroku i klęsk, jakie spowodzi.

— A! tak pan sądzi!—uśmiechnął się młody człowiek—no—to żegnam pana!

Wymówił te wyrazy zapalczywie, groźnie—Jakób go za rękę pochwycił.

— Wilku — zawołał Kruder — nie odchodź w gniewie... stój! zaklinam!

— Przepraszam pana—dodał poważnie Jakób—dwa słowa jeszcze. Ja tak sądzę, jakem powiedział—ale muszę dorzucić. że gdy naród cały wstanie do śmiertelnej walki... ja z nim pójdę na bój i śmierć... Na to daję panu słowo uczciwego człowieka.

Wilk popatrzył mu w oczy gorąco.

— No, to nie żegnam pana—rzekł rzucając czapkę—mówmy.

— Mówmy otwarcie.

— Siadajcie — zawołał gospodarz — dadzą herbatę, i ty, Kruder, nie masz się czego spieszyć.

— Ale mam być jeszcze w dziesięciu miejscach.

— No, to natomiast będziesz w pięciu tylko.

Kruder liczył coś na zegarku.

Otóż masz... posiedzenie u hrabiego! Sesya Towarzystwa, konferencya u pana Tomasza w sprawie uniwersytetu, pomocy naukowej, wydawnictwa ksiąg ludu.

— Jesteś prawdziwie uniwersalnym człowiekiem—rzekł Bartold—ale gdybym był tobą, połowę bym tych narad z karku zrzucił. To są czeze gadaniny, popisy retoryczne, walki miłości własnych lub niezręcznie stawiane wezykatorye na odciążenie zapalenia patryotycznego. Ty chcesz wszystkiem kierować, a koniec końcem, ani się opatrzysz, jak z ciebie zrobią narzędzie, które się powoli stępi.

Kruder kiwnął głową, jakby mówił:

— Jeszcze nie!

Ale poczuł, że była w tych wyrazach prawda. Po chwili rozmowy obojętnej, on i Wilk wyszli razem. wprzódę się jednak umówiwszy, gdzie Iwaś miał znaleźć schronienie w Warszawie, do kogo miał się udać przybywszy. Wilk ofiarował się to wszystko urządzić i ręczył za to, że nikt Iwasia nie zaczepi.

Kruder z Wilkiem poszli razem i nie tracąc czasu, wzajemnie się usiłowali nawrócić. O ile się to im powiodło, nie wiem, to pewna, że w końcu Kruder na zasadę rewolucyi się zgodził, ale możliwość jej zostawił do chłodniejszego sądu i na odległe terminu.

Bartold i Jakób, po ich odejściu zostawszy sami, uścisnęli się naprzód serdecznie. Nie mieli dla siebie tajemnic i byli z sobą, jak rodzeni bracia. Jakób znowu, po raz już nie wiem który, usłyszał zadane sobie pytanie:

— Z czem powracasz?

I znowu odpowiedział na nie z głębi serca, snując marzenia o odrodzeniu religijnem.

Bartold słuchał go z zajęciem, ze współczuciem, ale smutnie.

— Żal mi cię — rzekł — gdy skończył — wiek głębokich przekonań religijnych minął, epoka nasza jest przeważnie racjonalną, zewsząd walą się te kryształowe gmachy średniowiecznej budowy, w których skrzydlate mieszkaly Cheruby, nawracać dziś na jakąkolwiek wiarę jest szaleństwem, wywracać tylko można. Na budowanie czas jeszcze nie przyszedł,

trzeba podobno, żeby się wszystko wprzód obaliło, żeby nowi barbarzyńcy zalali Europę, zgasili światło, przemienili kościoły w bałwochwalnie i popiołem posiali pola wycieńczone.

— Ja też nowego gmachu wznosić nie myślę—rzekł Jakób—a gdy mówię w imię prawa Mojżeszowego, odzywam się w myśl i duchu wieku. Dla mnie są dwie rzeczy oddzielne, duch *prawa* Mojżeszowego i tradycye narodowe izraelskie, pierwsze uważam za rzecz potężną, nieobaloną, bo i chrześcijaństwo zasad tych nie naruszyło, choć je rozszerzyło —drugie za rzecz serca, miłości, obowiązku pobożnego dla pamięci, bądźcobądź, wielkiego narodu.

Posłuchaj mnie. Rozważałeś kiedy głębiej to *prawo* Mojżeszowe, te księgi zakonu?

Co króluje w nich? Oto idea *prawa*. Sam Bóg Izraela był uosobieniem prawem niezmiennem. Godzę się zupełnie z tymi, co widzą w pierwiastkowej doktrynie Mojżesza główną ideę prawa niełomnego tylko, nadanego światu i człowiekowi.

Nieprześlągane jest to jego prawo; sam Bóg raz je nadawszy, zmienić go już nie może. W tej nauce niema cudów, niema łaski, niema miłosierdzia, a pokuta jest w samym już grzechu i od niej nie uwolnić nie może. Każdy czyn przez naturę swoją prowadzi za sobą karę lub nagrodę, w nim samym jest nasienie przyszłych jego skutków dla duszy, gdy z niej wychodzi, dla ciała, gdy ono w nim uczestniczy.

Oto najprostsza treść księgi prawa pierwotnego. W niem żyje tysiącami lat wyprzedzające filozofię, prawa późniejszą, nowe teorye — pojęcie istnienia bezwzględnego *prawa*. Człowiek prawo odkrywa, ale nie tworzy. Jako Jehowah jest tym, który jest, nie mogącym się zmienić nigdy — tak prawo Jego jest nienaruszone. Otóż cała nasza wiara wedle ksiąg Mojżeszowych. Zdaje mi się, że nic innego nie podaje nam i dzisiejsza filozofia. Wszystko, w co dogmat jednobóstwa przyodziwiał, aby go uchować, Mojżesz; w co uzbraja swój naród, aby dając mu posłanictwo wielkie głoszenia jednego Boga i jednego prawa, nie dał mu się mieszać z poganami i zatracić wiary; wszystko, co ma Izraela oddzielając czystym uchować, zapobiedz jego mieszanii się z poganami — stanowi okładzinę tej wiary naszej, szatę zewnętrzną, która dziś, gdy nasza wiara i posłanictwo stały się niemal całego świata własnością, może być już mniejszej wagi. Ale dla nas jest to droga spuścizna, jest to pamiątka z lat tysięcy. Jakże nie spełnić obrzędu, który nas z praojcami łączy i do nich przybliża, przypomina ojczyznę i czasy szczęśliwsze? Cóż, że się komu wyda śmiesznością i zabobonem praktyka moja, gdy ona mi z oczów łzy wyciska?

Patrzę z pobłażaniem na tych, co się uwalniają od ciężkich często wiary obowiązków, ale ze smutkiem razem. Tracąc cechy narodowości naszej, zlewamy się dobrowolnie z tą masą kosmopolityczną, bez przekonań, wiary, charakteru, ojczyzny, dla której *ubi bene, ibi patria*. dla której grosz jest

Bogiem, interes bodźcem, cnota rachubą, a występpek głupotą.

Wierz mi — dodał z zapalem Jakób — pozostańmy sobą; oczyśćmy tę wiarę naszą z tego, co w niej wieki nieświadomości i ciemnoty naprószyły; ale zachowajmy jej treść, wynieśmy z ruin arkę przymierza. Jesteśmy pierwszym narodem, co uczuł Boga jedyne; mamy się czem pochlubić; w dziejach ludzkości starczy to jedno, byśmy w nich przeważne zajęli stanowisko. Czemże są inne zdobywcze narodów przy tej naszej? Kto nam zrówna?

Mówił, a nie postrzegł Jakób, że prawie od chwili, gdy poczynął, z cicha się zbliżył ode drzwi wewnętrznych mężczyzna stary, siwy, w dawnym ubiorze żydowskim. Suchy, schylony, blady był i wyżółkły. Miał na sobie czarny żupan obcisły, lamowany aksamitem i na aftki spięty, pas na biodrach czarny i aksamitną czapeczkę na głowie. Twarz mimo późnej starości, wyrażała umysł żywy i nie uśpiony.

Był to ojciec Bartolda, stary Aron, który się nigdy prawie nie ukazywał u syna, a bawił lat kilkanaście czytaniem Talmudu. Tym razem wszedł do syna, korzystając z chwili, w której zdawało mu się, że Bartold sam być musiał, a wypadek, traf, uczynił go mimowolnym słuchaczem natchnionego Jakóba.

Ostatnich słów domawiał on, gdy Aron, który pierwszy raz widział go w życiu, z lekka uderzył po ramieniu:

— Nie wiem ktoś ty jest — rzekł — ale mówię do ciebie jako do syna Izraela: niech błogosławieństwo patryarchów będzie z tobą. Lepsze jest to, coś ty mówił, niż to, co oni dzisiaj mówią, ale i to coś rzekł nie jest dobre. Chcecie odrzucić z prawa choćby jedną prószynkę? Azali wiecie, co jest ziarnem, a co plewą i co prochem? Azali wiecie, czy ten proch nie jest ojców waszych popiołem? Kto z was przeniknął znaczenie obrzędów i może osądzić, że w tej łupinie owocu niema? A rzuciwszy skarb o ziemię, jak powrócić do miejsca, kędy go wielbłądowie nogami stratowali i w błoto wmiesili?

Jakób milczał, zdziwiony trochę tem zjawiskiem niezwykłym, tembardziej, że starzec wyrażał się nie łamałym językiem, ale czystą, trochę staroświecką polszczyzną, co w ludziach jego wieku i przekonań było rzeczą nadzwyczaj rzadką.

— To mój ojciec — rzekł z cicha Bartold.

Stary nie spytał nawet o imię nieznajomego, ani go obchodziło z kim mówił.

— Błędzisz — dodał — ale błąd twój popełniony w dobrej wierze, przebaczonem ci być może. Co ty chcesz odrzucić? Talmud? A czytałeś ty Talmud cały i myślałeś ty w ciszy nocy długo, nad tą księgą figur i tajemnic?

— Nie będę się z wami o nie spierał — zawołał Jakób — jedno mi tylko pozwólcie sobie powiedzieć. Talmud, może w celu, aby naród izraelski od pogaństwa uchować, jest nietolerującym... a w dzisiejszym wieku nietolerancja...

— Któż ci to powiedział?—spytał stary uśmiechając się.—Ci w nim znajdują nietolerancją, którzy jej tam sercem nietolerującym szukają. Słuchajże co powiedziano w księdze Nabboth:

„Sprawiedliwość nie jest dziedzictwem wyłącznem niczyjem, nie należy ona do żadnego rodu. Tylko duchowni kapłanami być mogą, tylko lewici są lewitami.—Ktoby kapłanem lub lewitą chciał zostać (nie pochodząc z ich rodu)—nie może tego dokazać, ale wszyscy, co chcą, sprawiedliwymi być mogą—nawet *poganie*.“

Takich miejsc — dodał — znajdziesz w Talmudzie bardzo wiele.

Patrz, co stoi w Talmud Sanhedrin (105 a.), jaką odpowiedź dał Rabbi Josua tym, co psalm dziewiąty wykładali fałszywie, gdzie napisano:

„Niech się grzesznicy obróć do piekła, wszyscy narodowie, którzy zapominają Boga.“

Josua powiada: „Źle tłumaczycie mówiąc, że wszyscy narodowie obróceni będą do piekła, ale ci tylko, co zapominają Boga: ci, którzy Boga znają, a prawo jego szanują, choćby poganami byli, część należną nagrody otrzymają.“

Stary byłby mówił jeszcze, gdyby szmer u drzwi go nie powstrzymał, nie lubił on narzucać się synowi ze swą żydowską postacią, zwłaszcza, gdy do niego obcy przychodzili: obejrzał się niepokojny. Szczęściem był to dobrze mu znany Mann, który przez jakąś osobliwszą łaskę, czy dla interesu, wpadł niespodzianie do Bartolda.

— No! patrzcie! — rzekł, naprzód witając staro — już Jakób tu jest? A! zwąchał swój swego! Zeszli się Talmudziści.

— A tyś to nie Talmudzista, przewrotniku! — rzekł stary, uśmiechając się. — Nie chodzisz to do szkoły? nie odprawiasz szabbatu? he?

— No, no! jednakże nie jestem tak zapalczywy, jak wy oba.

— Tak, tak i dla pięknych Madyanitek coś jesteś gotów z prawa ustąpić — dodał staruszek, śmiejąc się. — No, ale dość, jam tu już wam niepotrzebny, chowam się do mojej nory — rzekł, a zwracając się do Jakóba rzucił:

— Jak kiedy zechcesz, odwiedź mnie...

Jakób się skłonił z poszanowaniem. Bartold ojca przeprowadził do drzwi i zjawisko to znikło.

Istotnie mogło się ono nazwać zjawiskiem, bo mało kto wiedział o starym Aronie, a mniej go jeszcze kto widywał: siedział zamknięty w swej izdebce na czytaniu, a książki, nietylko hebrajskie, były jego jedynem zajęciem. Poważano go też dla nauki, która miała to w sobie szczególnego, iż była łagodną i pobłażającą, co się rzadko religijnym, a podeszłym w wieku ludziom zdarza. Aron, sam przywiązany do prawa ściśle, nawet do drobnostek. nadto napatrzył się świata, by po drugich wy magać ściślej jego obserwancyi.

Mann padł na kanapę, zapalił cygaro, założył nogę pod siebie, rozrzucił się wygodnie, tak, że za jął całe siedzenie, zapewne, aby się kto przy nim usiąść nie ważył, i rzekł do Bartolda:

- No—cóż? ty spiskujesz?
- Ja?—spytał gospodarz—dlaczego?
- O! o! u ciebie się tu schodzą...
- Mam tylu znajomych.
- No—nie bałamuć—co słychać?
- Gorąco—rzekł Bartold—nic więcej.
- A z tego upału będzie burza, czy nie? Jak

ci się zda?

- Sądziłbym, że to się może tak rozejdzie.

— A ja—nie—odparł Mann.—Rząd od początku baczną na to zwraca uwagę, sprzykrzyło mu się czuć: napędzi sam do wybuchu i krwią pożar zgaasi.

- Wszystko jest możliwe—odezwał się Bartold.

- No, a nam o sobie myśleć potrzeba—dodał

Mann.—Są tam nasi między gorączkowymi?

- Znajdzie się ich dosyć.

Mann dumiał.

— To dobrze — rzekł — niech i tak będzie, na ten raz potrzeba i nam należeć, odstać nie można. Głupstwo, będą ofiary, ale oni mogą przepaść, my nie. My swoich wyratujemy, a w tych, co padną, będziemy mieli najlepszych patronów... Kraj bądź-cobądź, będzie naszym... Co WPan na to, panie Jakóbie?

- Ja się pytam, gdzie my?—rzekł Jakób.

- Nie rozumiem!—ofuknął Mann.

- Nie widzę *nas* — rzekł młody człowiek.—

Przed stu laty my byliśmy spójnią całości, dziś... niema nas prawie... Z obozu naszego codziennie ktoś ucieka, jedni przyjmują obcą wiarę, drudzy się swo-

jej wstydzą i kryją z nią, inni żadnej nie mają. Z tych, których kraj Żydami nazywa, część nieofitów, część ateuszów, szarpiemy się, walczym, robimy.

— Nie bój się — rzekł Mann — człeku małego serca, w chwili niebezpieczeństwa potrafimy się znaleźć... Ty widzę doprawdy chorujesz na Żyda?

— Choroba nieuleczona — rzekł Jakób — jest we krwi...

— No widzisz — podchwycił obracając rzecz w śmiech, bo jej poważnie długo nie mógł utrzymać, Mann — Żyda udajesz, a prawo łamiesz? Cemu się nie żenisz?

Jakób ramionami ruszył.

— Widziałeś tę piękną Muzę?

— Wszak ci to nie Izraelitka? — spytał Jakób.

— Niewiadomo odpowiedział Mann — jak się z nią zechce ożenić Izraelita, a bogaty... będzie ona czem wypadnie. Mnie się zdaje, że to dla niej i dla matki wszystko jedno...

— O kim mowa? — spytał Bartold.

— A przecież znasz Muzę! Musisz ją znać, choć oddawna jesteś żonaty. Śliczna to panna, niebezpieczna... Mówię o... Wtorkowskiej...

— A — rzekł Bartold — widziałem ją na koncercie dla ubogich... wydała mi się — straszną!

— Co? straszną? — spytał Mann, śmiejąc się — bałbyś się jej?

— Uciekłbym od niej, bo podobnych kobiet nie lubię.

— Zgadza się zupełnie z wami — dodał Jakób.

— Szkoda mi jej! Zdaje mi się, że ma na was parol zagięty...

— Przegrała!

— No! nie ręczcie jeszcze... Kobiety umieją wiele. a tyś mężczyzna i młodoj.

— Właśnie to mnie zabezpiecza, żem młodszy—odezwał się Jakob, uśmiechając.—Wy, panowie starsi, daleko jesteście mniej od nas wybredni... a daruj panie—może rozpustniejszy...

— O! co za filozof! patrzajcie!—napuszczając się, rzekł Mann. Wziął za kapelusz i mruczając wyszedł urażony, prawie nie pożegnawszy Jakóba.

W kilka tygodni po przybyciu, Jakób, przechodząc ulicą, zdziwiony został niepomału spotkaniem Włoszki, Signory Colomi, którą był poznał w Genui. Wprawdzie zapowiadała ona swoje przybycie do Warszawy, mówiła nawet o możebnej dalszej podróży w głąb Rosyi... ale zdawało mu się, że z nią postrzegł także nieodstępного przyjaciela jej Gromowa. Wiedział dobrze, iż dla niego powrót do kraju był wzbroniony, uchodził bowiem za przyjaciela i współpracownika Herzenowskiego; uderzyło go, iż mógł w tej chwili ważyć się na przybycie, domysławiając naturalnie, iż tego bez ważnych bardzo nie uczynił powodów. Miłość dla pięknej Włoszki nie mogła się liczyć do nich, Rosyanin bowiem zdawał się wyziębły, zobojętniały, a stosunek jego ze śpiewaczką nie był już tak świeży, aby go dla niej na śmierć i skutki pochwycenia mógł narazić. Inne więc zapewne przyczyny obojga przyjazd spowodowały. — Jakób w pierwszej chwili chciał się do nich przybliżyć, ale Włoszka, która go niezawodnie poznała, przyspieszyła kroku, wraz z towarzyszem, iakby unikając spotkania i rozmowy. Jakób więc wstrzymał się, nie chcąc narzucać się im natrętnie.

Zastanowiła go wszakże bytność Moskala w Warszawie, a więcej jeszcze to, iż raz tu będąc, tak się pragnął ukryć przed znajomymi.. Była w tem widocznie myśl jakaś, ale Jakób tyle naówczas spotykał co krok tajemnic i zagadek, iż się nawet nie kusił o rozwiązywanie wszystkich. Cóż wreszcie obchodzić mogła ta para ludzi obcych, mająca tam jakieś swoje sprawy... może osobiste..

Colomi i Gromow znikli mu z oczów i prawie o nich zapomnieli. — Sprawa Iwasia była ułożoną, posłano po niego, podjęto się jego losów w przyszłości, mógł więc Jakób spokojnie złożywszy troskę tę, myśleć o tem, co było głównym celem jego życia... o swoim izraelskiem posłanictwie. Po kilku dniach przekonał się już, jakie go tu oczekiwały trudności, które umysły płytsze wcześniej były przewidziały, a jego głębszy odtrącał jeszcze, szukając koniecznie w naturze ludzkiej sprężyn szlachetniejszych, które już nie działały wcale.

Badanie stanu kraju doprowadziło go tylko do tych pospolitych pewników, które ludzie pospolici odrazu mu stawili, a w które on uwierzyć nie chciał. Pobożni Izraelici w istocie uważali go za nieczystego niedowiarka, ateusza: ci zaś, których liczba była przemagająca, którzy o żadnej wierze słyszeć nie chcieli, bo bez niej było im najwygodniej, śmieli się i ruszali ramiona na wszelkie apostołowanie. Co więcej, ostrzy prawa zachowawcy, starzy Żydzi, łatwiej jakoś pobłażający byli dla zupełnych ateuszów i ich obojętności, niż dla zuchwałych idei reform. Z jednej i drugiej strony witano go dosyć

niechętnie, odtrącano nawet widocznie, stał osamotniony i zdobywać musiał mozolnie wkupienie się w społeczność, która zdawała się go lękać i unikać.

Gorzkie myśli opanowały Jakóba, potrzebował zebrać ducha, skupić siły i wedle swego zwyczaju, zamknął się samotnie nad starymi księgami, które mu dawały ulgę w cierpieniu: począł znowu czytać to, co już sto razy w smutkach i boleści powtarzał, księgi Hioba, treny Jeremiaszowe. wieszczby natchnione proroków, a potem osławiony ten Talmud, na którego kartach mieściło się tyle tradycji, do każdej niemal epoki zastosować się dających.

Dnie całe spędzał tak zaparłszy drzwi swe, zapominając o ludziach, szukając w sobie siły, któraaby lody obojętności wieku roztopić mogła.

Nawracać bałwochwalców i cześć gorącą fałszywych bogów skierować ku prawdziwemu, jest stosunkowo łatwem; pali się płomień, który tylko podsyć i na innym ołtarzu postawić należy; ale tę iskrę wydobyć z piersi zaskrzepłych, ale mówić o moralności tym, co ją mieli i stracili, o wierze tym, co wszystko w tyglu krytyki na żużel stopili!! Nikt się z Jakóbem nie sprzeczał, nikt nie walczył, uciekano się, odwracano. Niekiedy wymowa jego porывała, ale ceniono ją, jako piękny ustęp retoryczny — nic więcej.

Zniemczeni Żydzi byli heglistami, sfrancuziali wysoko cenili pozytywizm Comta, admiirowali mniemaną logikę Proudhona; inni obchodząc się nawet bez wszelkiej filozofii, z pustką w głowie i z pustkami w sercu, czuli się spokojni zupełnie. Na tem

więc polu jałowem nawracanie było niemożliwe;— społeczność rozumiała jeszcze izraelstwo swe ze strony jego poetycznej, malowniczej, poklaskiwała mu „w Żydówce”, w muzyce Mendelsohna i Meyerbeera, w dowcipie Heinego i Börne, w milionach i wszechmocności Rothschildów, wszędzie, gdzie ślad był Izraela i dowód jego potęgi; ale były to tylko pochlebne wspomnienia jakiejś podruzgotanej przeszłości. Wielka większość dla europeizmu, dla francuzczyzny, dla tonu, wypierała się wszystkiego swego i rumieniała wspomnieniem.

Na wielkim świecie przyjmowano Jakóba z tą obawą dobrze wychowanych Żydów — żeby żydostwa nie wspomniał, nie wprowadził w rozmowę, nie objawił, jak się wyrażano, z właściwym sobie cynizmem. Wchodzącego do salonu witały oczy pomieszane, skłopotane twarze, błagające wejścia mówiące:—A! zlituj się! milcz!

Z prawdziwymi starozakonnymi trudno mu też mówić było, ci uważali go za człowieka lekkiego, niedouczonego, zarozumiałego, za świętokradcę, wdzierającego się do świątyni, do której wchodzić nie miał prawa. Zbywano go pół słowami, odsyłano do ksiąg, a fanatyzm stawał przeciwko niemu z całą swą drapieżnością, najeżony i straszny.

Po długich dniach zamknięcia, myślenia, męczarni, Jakób postanowił szukać oparcia i poparcia w młodzieży i był zmuszonym, jak inni reformatorowie, do szlachetnych instynktów młodego wieku się obrócić, w nie ufał. Nieco pocieszony tą myślą, wychudły od bezsenności, pracy bołu, zabierał się

nareszcie znów wynijść na światło dzienne, gdy dnia jednego zapukano do drzwi jego.

Był to ten sam Wilk, młody, gorący chłopak, którego widział u Bartolda. Odprowadziwszy go na stronę, rzekł śmiało:

— Poznałem w was serce szlachetne, zdaje mi się, że wiem jego sposób myślenia, jesteś pan naszej pracy przeciwnym, ale przekonany też, że gdy kraj cały poda do niej dłonie, uchylić się od niej nie zechcesz. Przychodzę w imieniu towarzyszków moich do pana.

— Czegóż pan żądasz ode mnie?

— Tylko słowa, że pan od pracy dla kraju swoich współwyznawców, na których wpływ wywierać możesz, odwracać nie będziesz, a gdy zajdą kroki stanowcze, nie cofniesz się.

— W dwóch słowach wypowiem panu postanowienie moje—rzekł Jakób. — Nie jestem człowiekiem rewolucyi, nie wierzę w ich siłę. Najmocniej przekonany jestem, że wszelki gwałt zniszczenia tylko dokonać może, nigdy odrodzenia. Ale gdy Polska, którą za moją i mych osiadłych tu współbraci ojczyznę uważam, zażąda krwi mojej, to ją dla niej wytoczę.

Wilk głowę skłonił.

— A więc rachujemy na was.

— Ale nie na inicjatywę z mej strony. gdybym mógł powstrzymać was, zaklął... cóż, gdyście zaślepili!

Wilk się uśmiechnął.

Rozmowa przeszła na różne sprawy, ogólnej dotyczące; uderzony tem, jak agitacya, manifestacye i cały ów ruch ówczesny nieopatrznie, z dziecięcem w siebie zaufaniem posuwał się naprzód, Jakób uczynił kilka uwag; ale one były próżne, młody człowiek, słuchając go, albo się śmiał wprost lub nawet spierać się nie chciał, zapewniony, że to, co się działo, inaczej prowadzonem być nie mogło... Jakób wprędce postrzegł się, że ani go pohamuje, ani przekona. Zamilkł.

W istocie, we wszystkich robotach tej doby, panowało to święte, heroiczne zaślepienie młodzieży, która nie widziała, czego widzieć nie chciała. Szpiegów policyjnych używano za agentów, wśród ulic spiskowano głośno, do tego powszechnego przysiężenia należały dzieci, kobiety, lud: uniesienie było tak silne, tak ogólne, że porywało z sobą najsprzeczniesze żywioły i prądem niezwalczonym niosło. Wilk należał do tych ludzi olbrzymiej wiary i zaślepienia, którym nic oczów otworzyć nie mogło.

Po długiej, ale nieskutecznej rozmowie, oba rozeszli się wreszcie nie nie sprawiwszy: Jakób myślał wychodzić ma miasto, gdy służący przyniósł mu bardzo wykwintny bilecik pani Wtorkowskiej.

Pisany on był ręką córki za matkę, która w ortografii nie dosyć była biegłą, a brzmiał, jak następuje:

„Bardzoby nam było miło widzieć Szanownego „Pana w domku naszym dziś wieczorem. Spodziewamy się kilku dobrych przyjaciół i trochę muzyki.

Benigna Wtorkowska.

Odmówić nie było podobna, chociaż Jakób nie miał najmniejszej sympatyi dla tego domu; na myśl mu też nie przyszło, że tam może zobaczyć Tildę, za którą tęsknił.

Przebywszy dzień cały niemal na obserwacjach ulicznych, na oddawaniu wizyt, które udało się pozbywać biletami, powrócił do siebie i przebrany pojechał, dosyć smutno usposobiony, do domku w alejach.

Domek ten był zaprawdę arcydziełem tej smutnej sztuki, która istotną biedę na kłamany przepych i dostatek przerobić umie. Kłamała też tu rzecz każda, poczynawszy od liberyi służącego wygalonowanej, a niezapłaconej, aż do kwiatów na kredyt i na uśmiechy zabranych u Hozerów, aż do ciastek wychwyconych z cukierni, aż do fortepianu Pleyela, o którego zapłatę pp. Hermann i Grossmann, po dwa razy w tydzień przypominać się musieli, aż do sukni adamaszkowej samej pani i koronek panny, na aksamitach odbijających prześlicznie, ale ciężających długiem.

Czego niepodobna było osłonić zbytkiem pozornym, to umiano ukryć zręcznie: meble zużyte, różnemi powłokami poprzyodziewane, jako tako się jeszcze przedstawiały; zwierciadła sztukowane z kawałków, złocista rzeźba oplatała gałęzmi winnej latorośli. Domek, zwłaszcza wieczorem, wyglądał bardzo ładnie, wesoło i świeżo. Z niezmiernymi obrachunkiem wszystko tu było poustawiane i poukładane: w każdej książce niby, przypadkiem rzuconej, kryła się myśl jakaś tajemna: nuty te tylko były

na wierzchu, które mogły o talencie artystki dać jak najświetniejsze wyobrażenie; albumy mieściły fotografie samych znakomitości i świadczyły o stosunkach. Niby to jakoś samo się tak złożyło od niechcienia, a przecież ile to pracy, rachuby, rozmyśłów samą panią Wtorkowską i Muzę kosztowało!

Jakób nie zbyt się spiesząc na wieczór, trochę się też przypóźnił, zastał już świetne towarzystwo na kanapach, krzesłach, przy drzwiach, siedzące i stojące; ciasnotę, skwar i gwar. Trzeba było wystąpić z przywitaniem, gospodyni nadzwyczaj uprzejmie, Muza uśmiechem poufałym go przyjęła i po-ciągnęły w swoje kółko, wśród którego w białej sukni, z bukietem białych kamelii, siedziała blada, martwa, prawie nie zważając na to, co się w koło niej działo, Tilda. Poczula ona wnijscie Jakóba, podniosła oczy, uśmiechnęła mu się dziecinnie i nie kryjąc wcale radości, a potem znowu powróciła do swego lodowatego ośłupienia. Henryk stał za krzesłem Muzy, która była tak wspaniale obnażoną pod pozorem uroczystej toalety, że wielbiciel wdzięków niewieścich mógł się ich widokiem napaść do syta. Wspaniale też była piękną, majestatycznych kształtów, biała, jak śnieg, a ogromne włosy zdawały się ciężać jej pięknej głowie. W oczach błyskał rozżarzony dowcip, *quaerens quem devroet*. Aksamitna ciemno wiszniowa suknia, okryta staremi (niezapłaconemi) koronkami, srtoila ją przepysznie. Na rękę miała grubą bransoletę z jednym olbrzymim rubinem *cabochon*. Dwie te piękności, Tilda, jakby duch

jakiś nieziemski, co przyleciał na mgle i promieniu księżyca z pieśni poetów, i ta kipiąca życiem bachantka, wzajem się podniosły.

Henryk coraz widoczniej roznamiętniał się do Muzy.

— Wiesz—rzekł po cichu do Jakóba—gdybym był tobą... a! nie zawahałbym się; jutro prosiłbym o rękę tej Syreny!

— A ja, gdybym tobą był—odparł Jakób—nigdybym nawet na nią nie spojżał.

Henryk z przykrym uśmiechem zamilkł, przerzucił czarne włosy na głowie i posunął się znów ku Muzie.

— Czy domyślisz się pani, com przed chwilą radził Jakóbowi?—rzekł po cichu.

— O! jakżebym się mogła tego domysleć?—szepnęła obojętnie niby Emma, choć wybornie odgadła.

— Radziłem mu, niestety, jako zbyt dobry przyjaciel, to, co bym ja pewnie uczynił na jego miejscu... radziłem, żeby się w pani szalenie zakochał.

— A! to bardzo zła i zdradziecka rada—śmiejąc się, odrzekła Muza — bo ja... wcale nie myślę kochać nikogo.

Jakto nikogo?

— O! niech mnie Bóg broni! Ja miłość uważam za rodzaj niebezpiecznej choroby, której się strzedz należy.

— Masz ją pani za tak—śmiertelną?

— Nie wiem, obawiam się.

— To zły znak. Mówią, że wszyscy, co się, na przykład, cholery, lub tyfusu obawiają, chorują na nie. Jest to przecucie. Nieprawdaż, że Jakób...

-- O! dajże mi pan pokój z tym filozofem!

— Gorzej niż filozof: to jest mistyk i pietysta. Muza milcząc zwróciła nań oczy.

— To istotnie dziś ciekawo, zróbże pan, żebym z nim pomówić i bliżej go poznać mogła... jest tak dziki...

— O! czegożbym nie uczynił dla pani! — zawołał, wszystko odgadujący Henryk — przyprowadzę go i oddam *piedt et poings liés*.

A ciszej dodał:

— Ale proszę pani, nieprawdaż, że gdy się jedną, pierwszą, ciężką miłość przechoruje na serwo, to potem się nią można już bawić bez niebezpieczeństwa?

— Nie rozumiem! — odparła Muza sucho, ale oczy, które w niego wlepiła, mówiły całe co innego.

Nie było porozumienia, jednak się jakoś rozmawiali.

— Chcesz się wydać zamaż — mówił w duchu Henryk — dobrze, mogę ci posłużyć... ale na świecie nie darmo, spodziewać się muszę, że i ja uśmiech za to jaki pochwycę... któż wie!

Wyraźniej tej umowy, milcząco zawartej, wypowiadać nie było potrzeba. Henryk sądził, że będzie zrozumianym, poszedł, przecisnął się przez tłum, wziął Jakóba, przypatrującego się Tildzie pod rękę i rzekł mu:

— Chodźże do ślicznej Muzy, która się ciekawi na ciebie. Zrób to dla mnie, dziewczę zapalone jest do Włoch, a ty właśnie stamtąd powracasz.

— Prawdziwie—odpowiedział Jakób—ciężkoby mi się było zebrać na takie opowiadanie o podróży, któreby jej było godnem.

— No, no, spróbujesz, chodź tylko.

Gwałtem prawie pociągnął go ku niej za sobą.

— Pani—rzekł Henryk do Muzy—pani co tak Włochy kochasz, tę ojczyznę sztuki, a chciałabyś ode mnie profana coś o nich posłyszeć, więcej się pewnie dowiesz od Jakóba. Dla tego przyprowadzam go pani. Najdoskonalszy z turystów, chodził piechotą, gdzie ja latałem koleją żelazną.

— A! a! — odwracając się ku niemu z uśmiechem i ukazując mu swe cudne, rozpromienione oblicze, zawołała Muza — przecież pana pochwycałam! Musisz mi pan mówić o Italii. Ja ciągle matkę błagam, aby mnie tam zawiozła.

— Bardzo mi żal, żem dziś jakoś niewymowny i że nie dosyć poznałem Włochy — rzekł Jakób—abym mógł coś o nich powiedzieć. We Włoszech potrzeba żyć, aby je poznać, a nie, jak ja, je przelecieć.

— A! przepraszam—żywo podchwyciła Muza—to pewno, że świeżo do kraju przybywający, często więcej widzi, lepiej postrzega, niż ten, co się w nim urodził.

— Jest to po części prawdą, ale to się stosuje raczej do zewnętrznej fizyognomii kraju. Ducha jego potrzeba badać, upoić się nim, aby go poznać.

— Ale, wszak piękne są Włochy? — spytała Muza.

Pytanie było niezręczne i oklepane, ale szło tylko o rozpoczęcie rozmowy, która, ciągniona gwałtem, musiała się wlec, służąc za pokrywkę gry zalotnej, uczonej, gry instynktu kobiecego, który oczarować pragnie i używa ku temu wszystkich środków, jakimi go obdarzyła natura. Muza w każdym ruchu, wejrzeniu, skinieniu, słowie, była nieporównaną artystką, mówiła do zmysłów, choć sama ich jeszcze nie miała, (znane jej były z teorii), do serca choć go w piersi swej nie czuła, do próżności, o którą posądzała każdego... pochlebiała, czarowała, wiązała, była czuła, smutną, trzpiotowatą na przemiany, zawsze niezrównanie wdzięczną. Jakób patrzył na tę komedię i nie drgnęła w nim żadna z tych strun, po których pałający wzrok i słowa przebiegały drażniące — był zimny, poważny, smutny. Oczy jego z boleścią zwracały się ku tej ofierze, przypominającej mu jakąś postać z Ary Scheffera, która siedziała tuż milcząca i patrzała nie widząc, cała pogrążona w sobie.

Jeżeli gdzie, to wśród świetnej, błyskotliwej zabawy, kobieta zboliała, cierpiąca, w całej świetności swej wydać się może; jest coś świętego w bólu, co ją, jakby złotą aureolą otacza, nikną przy niej najpiękniejsze, najdumniejsze padają.

Tilda wyglądała na królową, a Muza ledwie na jej damę dworu i powiernicę ze starej tragedyi.

Gniewała ją ta obojętność Jakóba, a im zimniejszym był, tem w obrażonej wzmagало się pragnienie obalenia tej dumnej postaci pod stopy swoje.

To też prawie się zaafiszowała, jak mówią, w salonach dla Jakóba: mówiła z nim, patrzyła na niego, dała mu poznać, że ją zajmuje mocno, że się jej podobał. Matka, prowadząc rozmowę, gospodarując, biegając z kąta w kąt, nie spuszczała z oka córki, serce jej biło. Niezawsze godziła się z taktyką Muzy, uważając ją za zbyt śmiałą, ale musiała jej oddać sprawiedliwość, że walczyła heroicznie i czyniła, co tylko mogła.

Jakób był zmuszony (sama mu bowiem rękę podała) poprowadzić ją wśród szmeru i uwielbień do fortepianu, do którego siadła nareszcie i zdejmując powoli rękawiczki, jeszcze długo zwrócona ku niemu, starała się pokazać przed gośćmi, jak blisko z nim jest i dobrze; wabiła go, szeptała, śmieszyła, kokietowała.

— Moja droga—odezwwała się po cichu pani N. do pani X. — patrzajże, co ta Wtorkowska wyrabia z Jakóbem! Ależ bezwstydnie na niego poluje.

— O! takie kobiety, jak ona, zawsze zwierzynę upolować potrafią!—odpowiedziała pani X.

Wtem nadeszła stara Wtorkowska.

— Mówimy o ślicznej twej Emmie—odezwwała się głośno pani N. — jest dziś istotnie czarującą, pani X. nie może się jej nachwalić, nauwielbiać. Pozawraca głowy wszystkim, nawet naszym starym!

Matka, tryumfująca, dodała skromnie:

— O! ta Emusia moja tak jest dziecinnie naiwną.. taki z niej często trzpiot... Mówię jej to... Możnaby ją wziąć za zalotną, ktoby nie znał, ale niewinna, jak małe dziecko... i to ją czyni tak śmiałą.

Dwie panie, N. i X., spojrzały na siebie ukradkiem, pani X. czarne, rozrosłe brwi mimowoli podniosła z podziwem.

— Niech szatan porwie tego szczęśliwego Jakóba, ot to koło niego dziewczyna skacze! — rzekł ojciec Tildy do Manna — ależ gwałtownie się jej zachciało go złapać! Ciekawym też bardzo, czyby go była tak rwała ku sobie, gdyby został był łapserdakiem takim, jakim ja go wziąłem na wychowanie!

— I póki mu pocziwy, stary berlińczyk majątku nie zapisał—dodał Mann.

Oba się rozśmiali.

— Że go złapie, niema wątpliwości — rzekł ostatni.

— Otóż nie—odparł pierwszy—ja go znam lepiej, niezręczna dziewczyna, choć sprytna, nie wie tego pono, że nie wszystkie ryby jedną siecią łowią... Henryk, mój zięciaszek, oszalałby dla niej: Jakóba wystraszy... on woli ciche, wstydlive niewiasty... poeta...

— Tak, a to wcale nie cicha i nie wstydliva istota!—rzekł Mann, śmiejąc się. — Winszuję temu, kto...

Nie dokończył.

— No! ale wszystko się na świecie okupuje czemś, musi ów szczęśliwy zapłacić spokojem—dodał drugi.

Tymczasem fortepian zadźwięczał; Jakób wysunął się powoli, rozkuty z kajdan grzeczności i znużony, poszedł na odpoczynek usiąść przy Tildzie, która, w dumaniach pogrążona, nic nie widziała.

Powtórę podniosła na niego oczy i uśmiechnęła mu się słodko; była spokojną i szczęśliwą, że mogła patrzeć na niego.

Przez okna otwarte widać było werandę, obwieszoną winną latoroślą dziką, której liście przedzierał gdzieniegdzie księżyc sinawemi promieniami; oboje pobiegli tam wzrokiem stęsknienia za samotnością wśród tego tłumu... Chcieli wyjść trochę i być sami, zrozumieli się—ale artystka grała, wysunąć się nie było podobna... Forte pian płakał, jęczał, dąsał się, śmiał, grzmiał, kwilił pod zręcznemi, wprawnemi paluszkami... Wszyscy byli w uniesieniu, grała jak Liszt... silna jej dłoń zdawała się trudnościom urągać.

— Gra precudownie—szepnęła Tilda—ja, gdy pół godziny posiedzę przy fortepianie, czuję się osłabioną, brak mi duszy, jakby mi ją te tony ulatujące zabrały z sobą i wyczerpały... a ona! Co za potęga! gra, szaleje, dokazuje i wstaje niezmordowaną, spokojną!

— To też stanowi różnicę gry waszej od jej grania—rzekł Jakób.—Wy w swą grę wlewacie duszę i czucie, ona sztukę i siłę tylko... Do mnie gra

jej nie mówi, jest to fortepian grający... u ciebie dusza śpiewa przez dotkniętą ręką klawisze...

— A nie!—zawołała Tilda—ona jest artystką prawdziwą, a ja prostą śmiertelnicą.

— Pozwólże mi się przyznać — dorzucił Jakób — tego artysty, tej artystki. jakiemi ich wiek nasz uczynił, ja nie cierpię: równie jak nienawidzę fanatyka, który głową się pali, a wiary swej dłonią i czynem nie popiera. Artysta dzisiejszy, to sztukmistrz, a nie mistrz w sztuce, to rzemieślnik kapryśny, co się wyuczył trudności, co zna wszystkie sznurki (ficelles) rzemiosła swego. Ale dla mnie, rozplakany pastuszek, grający sobie w polu na dudce piosenkę natchnioną... jest daleko nad niego większym artystą.

Sprofanowano dziś sztukę, jak wszystko, stała się przedajną, stała się chleba kawałkiem, nie ołtarzem. Dzisiejszy artysta pracuje dla sławy, bo sława mu chleb daje, ale ostatecznie dla chleba, nie dla potrzeby własnej duszy... Któż dziś fresk zrobi za worek miedziaków, kto go odmaluje darmo dla chwały Bożej i dla wywnętrzenia swej myśli? Tak grają, tak piszą, tak malują... Tak gra i ta piękna Muza — rzekł Jakób ciszej — jest to artyzm bezduszny, wyuczony, niepoczuty... Dla tego zagra ona Liszta i Thalberga, ale jej wara od Chopina... a Schumannna pojmie stronę dziwną, nie wyda głębokiej...

Tilda się zamyśliła.

— Sądziś ją zbyt surowo—rzekła—jest tam w tej duszy promyk Boży, jest na tem czole pło-

myk... ale świecą oboje tęsknicy bez jutra... a może bez chleba... Biedna kobieta! Tak mi przykro patrzeć na nią, na jej matkę, znając ich położenie!

— Jakto? one przecie bogate być muszą? — spytał Jakób zdziwiony.

— Niestety, są ubogie — odpowiedziała Tilda — gorzej, bo muszą jeszcze udawać zamożność, którą dawno straciły.

— O! to okropne — przerwał Jakób — komedia zbytku w nędzy jest ohydną, płacą ją łązy oszukanym i ubogich. Nie stokroćle piękniejszem byłoby ubóstwo przy pracy mężnej?

— Ha! są wstydy fałszywe..

— Fałszywe... to mówi wszystko... wstydy fałszywe są najczęściej prawdziwemi bezwstydami...

— We mnie one tylko litość budzą — dodała Tilda ciszej. — Krwawy to dramat, łązy i niepokój pod aksamitami, ten głód, u progu czekający, aż deser wystawny wyniosą... ta pustka jutrzejsza po dzisiejszym zgiełku, który trwa tyle, co gorzko opłacony, kłamany zbytek, za temi uśmiechami są płacz i rozpacz, w tych duszach budzi się już, wśród wesołej pieśni, błądy strach jutra i potrząsa wyschłą dłonią. Ścisła mi się serce...

Muza przestała grać, szum okłasków rozległ się zewsząd, Henryk pobił gł pićkną, acz nieco dużą i silną ucałować rączkę, a Tilda, której było duszno w tej atmosferze, skinęła na Jakoba.

— Wysuńmy się, by na chwilę tchnąć wieczornem powietrzem rzekła wszak nam tego za złe nie wezmą.

I przesunęli się przez tłum, dążąc ku werandzie, a oczy Muzy błyszczące poszły za nimi z wyrazem gniewu prawie i zwróciły się potem, szydersko uśmiechając Henrykowi.

— Widzę — rzekł, odpowiadając na nieme pytanie — że Tildzie było za gorąco... wyszła na ganek z Jakóbem...

I ręką rzucił obojętnie, jakby mówił:

— O! niech sobie idą...

— Pan nie jesteś wcale zazdrosny? — szepnęła Muza.

— Przy pani tylko o panią...

Muza surowo spojrzała na niego.

— Pan nie masz prawa czuć tego, a mniej jeszcze mówić... o tem.

— Pani wiesz, że to, co jest bezprawnem, najsilniej pociąga człowieka.

— Pan jesteś niemoralnością wcieloną.

— Niestety! przy pani aniołby upadł, cóż dopiero człowiek...

— Ale pan doprawdy mógłbyś mnie rozgniewać.

— Nie, pani jesteś litościwą...

Poczęli szeptać coraz ciszzej, coraz poufalej, ale śmiejąc się i w dobrej zgodzie.

Tilda, wychodząc, rękę Jakóba ścisnęła w progu.

— Co ci jest? — zapytał z czułością Jakób.

— O! nic! jestem nie wiem czemu, bardzo szczęśliwą czuję się dziwnie spokojną... Nic nie pragnę... Zdaje mi się, że powoli ulatuje ze mnie

życie, mam cię przy sobie: pewną jestem twojego serca... cóż więcej potrzeba do szczęścia?

— Mało ludzi zaspokoiliby się tem czystem szczęściem naszym—rzekł Jakób powoli.—Gdy czasem rzucę okiem na tłum i porównam w nim różne osobistości, usposobienia, różne jednostki... wiesz pani...

— Po cóż ta pani?

— Zdaje mi się—kończył Jakób—że człowiek nie jednym był stworzony, że w nim istotnie dwie walczą siły przeciwne... jakby Bóg z szatanem... Sprzeczności są niekiedy przerażające.

Naprzykład przy tobie—ta niewiasta.

— A, nie mów mi nic złego o niej, przebaczymy wszystkim.

— Tak, przebaczymy!—smutnie mówił Jakób—któż z nas czysty i niewinny w duszy, prócz ciebie? A życie krótkie, a każdy pije z kielicha goryczy... i każdy ma w piersi strzałę...

O! ja jej i wszystkim przebaczam—zawołał Jakób ale mi żal jej i ich... gdy tak daleko, tak dziwnie szukają szczęścia i kłopotczą się o nie, mogąc je wysnuć z własnej duszy. Dla tego dziwi mnie i przestrasza świat temi żywioły różnemi, w których zło tak przeważa.

— Nie wszystko pojąć można—wiele jest rzeczy niezrozumiałych dla człowieka—odpowiedziała Tilda—ale po cóż mam myślać sięgać tak daleko i jak Tytany dobijać się koniecznie do niebios zamkniętych? Wierz mi, całe losy człowieka są sztyderską jakąś próbą z niego... powiedziałałabym igrą-

szką — nielitościwą. W umyśle nosi iskry światła, z których nigdy wielkiego nie może rozpalić ogniska, bo mu je burza namiętności, wichur szaleńczej; w duszy nosi instynkta szlachetne, które się w brudne przetrabiają żądze, ciało nawet...

Umilkła i po chwili spytała Jakóba:

— Któryż to powiedział poeta:

W walce ze życiem i światem,
Przyszłości nikt nie jest panem;
Z rąk Bożych wychodzimy kwiatem.
Świat w grób nas rzuca — lachmanem.

— Nie wiem — rzekł Jakób.

— I ja nie wiem, słyszałam gdzieś te wiersze. Człowiek się psuje powoli zamiast się polepszać; wiek, któryby powinien udoskonalać — kaleczy, zabija, rozczarowuje... Wszystko jest dziwnem w życiu... wszystko zagadkowym... a te sny i marzenia nieśmiertelności! jakiegoś drugiego bytu!!

Uśmiechnęła się boleśnie.

Jakób był smutny i pogrążony.

Przed nimi piękny się widok roztaczał; stare drzewa alei ze swą zielenią ciemną, kołysane lekkim wiatru powiewem, cisza — nad nimi niebo lazuruwoczarne i księżyc jak stróż nocy, przechadzający się po niebiosach, i milczące gwiazdki, mrugające oczkami, jakby sen odpędzały z powiek.

W dali gwary miasta obumierały.

— Patrząc na twory Boże — zawołał on — czuję się jednak w duszy spokój o przyszłość... Jest coś, co nam powiada, że nie zginiemy.. Gdyby nawet...

tysiące lat wiary, tej trwającej zawsze w człowieku, nie potwierdzały jej—każdy ją znajdzie w głębi swej duszy na dnie... jak na dnie studni w dzień biały świecą gwiazdy...

— Tak... tylko tamto życie jakieś już nie będzie tem życiem, myśl moja już nie będzie dalszym ciągiem tej, którą wyrobiłam w sobie; na nowo może przedzę tę wysnuwać przyjdzie, by ją znowu niedokończoną porzucić... gdy gość—śmierć do drzwi zastuka...

— Tę śmierć tak straszną, nasze księgi hebrajskie malują jako słodkie, łagodne przejście do drugiego żywota. Najśłodsza jest ta, którą zowią... pocałunkiem Bożym... (Talmud Berachot. 5.)

— Jakże żałuję—odezwała się Tilda,—że ja tych ksiąg, a nawet języka ich nie znam prawie. Uczono mnie wszystkiego dla świata, a nie dla duszy... to też w niej pusto... i chodzi po niej wiatr zwątpienia.

— A! czas jeszcze!—rzekł Jakób.

— Nie! zapóźno! Wiarą tylko młode serce napoić się może, w kim pierwsza była niewiara, tam na wysuszonym gruncie już się szczep drugi nie przyjmie. Ale Bóg wielki... nie może karać za to, co nie było winą człowieka.

Zamilkli, stali tak oparci o galeryę nie chcąc powracać do gwaru, wśród którego brzmiał fortepian Muzy, błyskotliwą fantazyą Lisztową.

— Chodź Jakóbie — rzekła—idźmy pie do dna rozkosze tego wieczora, to, co ci ludzie zowią zabawą, a co dla nas jest ciężką męczarnią. Ja ci radzę, zbliż się do Muzy, nie jestem zazdrośną... Ona

jest na złej drodze, tybyś ją mógł nawrócić i ocalić.

— Nie — odparł Jakób — nikt w świecie tego już nie dokona! Zapóźno! To, coś mówiła o sobie właśnie na tem miejscu. U niej i umysł i serce już dorosły, przybrały pewne kształty, i nic ich zmienić nie potrafi...

Powoli rozmawiając, weszli nazad do salonu, wzrok Tildy spotkał tam naprzód jej męża, zwieszonogo nad krzesłem wirtuozki, która mu się figlarnie, zalotnie uśmiechała. Nie zabolalo ją to wcale, był jej obojętnym oddawna, cieszyła się myśląc, że gdzieś indziej zajęty, uwolni ją od natrętnych, ndawanych czułości.

Tymczasem matka Muzy jakoś bardzo się okazywała niespokojną: przeczuwała, że wieczór ten całkiem się jej nie udał. Jakób był gorzej niż obojętnym, bo nawet nie ciekawym, nie go nie pociągało do czarodziejki. Zmieszana Wtorkowska kręciła się, wzdychała, a zaloty widoczne żonatego pana Henryka, jakoś także jej były nie do smaku. Z majątniejszych młodych ludzi nikt się do córki nie zbliżał... wszyscy wielbili, ale bardzo z daleka.

Wieczór ze zwykłemi swemi przemianami, śpiewem, grą, herbatą, wieczerzą, (która była wystawna a niegodziwa), przeciągnął się dosyć długo, ale starsi, pod pozorem interesów, powysuwali się wcześniej; ku wieczerzy z kilkudziesięciu zostało osób kilkanaście tylko i to znudzonych i zmęczonych. Tilda także, uskarżając się na ból głowy, obwinięta w szal zostawiwszy męża, powróciła do domu. Jakób nie mógł ją dalej, jak do alei, doprowadzić, powrócił nazad — kazano mu...

Zmniejszenie towarzystwa było może na rękę zalotnicy, gdyż łatwiej przywabić mogła Jakóba, i zmierzała ku temu zręcznie, choć dotąd nie powiodło się jej wcale: nie domyślając się, że jest celem zabiegów, siedział zadumany nad jakimś albumem.

Nie mu zarzucić nie było można, sprawiał się jako gość przyzwoicie i grzecznie—ale matka srodze się na niego gniewała i postanowiła sama przybliżyć... Usiadła obok... Jakób powstał, dając jej miejsce...

— Ale siadajże, pan kochany, przy mnie — rzekła Wtorkowska łapiąc go za rękę—powiedzże mi pan... powracasz... no... i cóż? jakie są pańskie zajęcia, projektu?

— Moje?—spytał Jakób zdziwiony trochę tą troskliwością,—żadne... będę patrzeć. próżnować... a wreszcie i uczyć się czegoś..

— Myśmy tyle o panu słyszały, i tak byłyśmy ciekawe go poznać!

— Nieskończenie jestem wdzięczna!

— Szczególnie moja Emma, która taka jest rozmiłowana w ludziach...

Tu nie stało Wtorkowskiej słowa na oznaczenie jakich, i dodała miesząc się:

— W ludziach... wyższych.

A! bo co też to za istota prawdziwie wybrana... ta moja Emma! co to za główka! co za główka... jakie talenta... Pan nie uwierzysz, co ona czyta, jak ona czyta... jaka to pamięć, co to za dowcip! Już nie dla tego, że moja córka, ale prawdziwie, to cudo!

— Wszyscy to zgodnym głosem przyznają — rzekł Jakób grzecznie.

— Ale, proszę ja pana mego, — poufalej odezwiała się Wtorkowska — co to za los nas matek... Kiedy to człowiek pomyśli! taka kobieta! proszę pana, komuż się dostanie? Czy to ją on oceni, zrozumie? Ta nasza młodzież!

— O! przecież dla panny Emmy wybór nie będzie trudny!

— A! pan pewno nie znasz młodzieży naszej.

Na tem się jakoś urwała rozmowa. Matce nagle zabrakło wątku; spostrzegła, że zbyt szybko dobiegła do ściany, nie było już co dalej mówić... Jakób też wyczerpał pochwały.

— A co pan mówi o grze jej? — poczęła ratując się Wtorkowska — o! tak szczerze... pan, co takim jesteś znawcą?

— Cudowna! cudowna! prawdziwie artystyczna!

— Powiadam pana, Liszt się dziwił, kiedy mu zagrała jego uwerturę z Wilhelma Otela (sic), aż się za głowę brał... Próbował ją, kazał jej grać i to, i owo — był zaentuzjasmowany... Zagranicą, u wód, w Spa... w sali raz to o mało że tumultu nie było... takie oklaski jej sypali... rozbijali się, powiadam panu... bukiety, wieńce, historie... owacye (sic) formalne...

— O! bardzo wierzę...

— Proszę mego pana, u niej żeby jaki twardy fortepian erardowski... to do dwóch lat nie wytrwa, taka siła! a jak ją, proszę pana, ten szal porwie...

Byłaby się jeszcze zapewne na dalsze córki pochwały wysilała, gdyby Muza, zmęczona grą i rozmową, sama się ku matce nie zbliżyła: a w istocie ku Jakóbowi...

W oczach jej błyskał ogień — gniewu raczej niż zapалу. Im uparciej od niej gość ten stronił, tem mocniej postanowiła go pochwycić. Szepty z Henrykiem nie były stracone, on jej dał klucz charakteru Jakóba, obznajmiając ją z jego, jak ją zwał, manią religijną. Muza postanowiła przeczytać Biblię; w tej chwili była jeszcze cokolwiek nieprzygotowaną, ale rachowała na to, że go obalamuci kilką dwuznacznemi ogólnikami.

— Nie cierpię takich tłumnych zabaw — rzekła — to mnie męczy niewypowiedzianie: księga, dumanie, cisza, to lubę żywoły moje. A pan? — spytała wprost strzelając mu do piersi.

— Ja? ja? — odparł Jakób — właśnie toż samo mógłbym o sobie powiedzieć. Ja jestem człowiekiem ciszy i pracy.

— O! wyście we wszystkim szczęśliwi, panowie, — mówiła Muza — wy możecie się cichej pracy poświęcić, nie będąc, jak my, niewolnikami salonu, konwenansów i tego... panieństwa, które nakazuje nam być nieustannie zalecającym się towarem.

Powiedziała to śmiało, Jakób się uśmiechnął spoglądając na nią.

— Ponieważ zaczęłaś pani o tym drażliwym przedmiocie — odezwał się — powiem, że matki i panie mylicie się bardzo troszcząc do zbytku temi

mniemanami obowiązками. Najczęściej gdzie wiele przygotowań, tam nie z dyalogu, jak mówi Krasicki.

— To prawda—odparła Muza zimno—małżeństwa wszystkie kojarzą się cudem.

— Jestem zupełnie tego zdania.

— Niestety! — proszę pana — przerwała stara Wtorkowska — gdyby się tak potem cudem jeszcze utrzymywały.

Uśmiechnęli się wszyscy z naiwności tej uwagi.

— Pan podobno byłeś na Wschodzie?—spytała Emma.

— Tak pani i smutne stamtąd przynoszę wrażenia. Ziemia poezyi dziś jest wszelakich nędz ziemią, kolebka dawnej cywilizacyi dziś jest jej smietniskiem.

— Ale żyjeż tam jeszcze co biblijnego? — pytała zręczna Emma.

— Bardzo wiele—począł ożywiając się Jakób—stroje, obyczaje, podania, ziemia, krajobraz są Biblią żywą. Rachele poją owce u studni, patryarchów siwobrodych widziałem pod namiotami.

— Jakże to cudnie pięknem być musi?

— Tak pani! ale nie dla nas, dzieci rozmięklej, wypieszczonej cywilizacyi. Tem życiem poetycznem mybyśmy wyżyć nie umieli: jest ono surowe, ciężkie, poważne, pierwotne i brzemieniem pracy przywalone; ale potokiem z pod niego leją się poezya i uczucie, których nam braknie, bo źródła ich wyschły.

— A stare biblijne tradycye?

— Tych pełno na każdym kroku. U nas są one w księgach zasuszone, tam żyją i z życiem się splatają. Z jakimże wrażeniem dotyka się kamieni, które król Salomon obrabiać kazał do swych wodozbiórów, ruin świątyni, miejsc uświęconych stopami patryarchów. Chrześcijanie zarówno i Żydzi czują tu swą kolebkę. W Europie wszyscyśmy kolonistami.

Emma słuchając Jakóba z zajęciem, które doskonale odegrać umiała, powoli przy nim usiadła blisko; matka natychmiast prawie znalazła pilną wstania potrzebę i żywo pobiegła do swego wieczornego gospodarstwa, zostawując ich dwoje niemal odosobnionych wśród resztki gości podzielonej na małe grupy.

Sama grzeczność nie dopuszczała Jakóbowi się usunąć: — ona tymczasem magnetyzowała go wzrokiem, postawą, ruchami, obrotem ramion, rączkami, którymi igrała, poprawując bransoletę, to przerzucając pierścionki, to bawiąc się chusteczką szeroko koronkami obszytą, która tylko do zabawy służyć mogła.

Jakób na całą tę zalotną grę niewiele zważał, pozostał obojętnym.

— Nie wiem — rzekła po chwili, zawahawszy się nieco Emma, ale zbierając się na odwagę — czy to jest siła krwi we mnie, ale ten Wschód mnie nęci; ulatują doń myśli moje, śnię i marzę o nim. Na nieszczęście, my, *cośmy z Żydów wyszli*, bo ja się tego nie zapieram...

Jakób spojrział na nią zdziwiony, może nie poznał, że kłamała.

— My—zmuszeni byliśmy wszystkiego naszego zapomnieć, zacierać w sobie wspomnienia. Oduczano nas, czegooby uczyć należało, robiono sztuczne istoty. Kazano nam się prawie wstydzić, żeśmy mieli świetną przeszłość. Ja na przykład, która wiele na nie mi niepożytecznych rzeczy umiem, wcale nie znam tego, co mnie najgoręcej ciekawi...

— Naprzykład? — zapytał Jakób, który nie pośądzał ją już o udanie i poczynął się zajmować temi wyznaniem.

— Ale cicho! cicho! nuż mama posłyszysz — dodała Emma, kładnąc palec na ustach.—Jestem ciekawą wszystkiego co nasze, co izraelskie. Prawda że już... jestem chrześcijanką, ale pochodzimy z Izraelitów, a nowy prawodawca wszak powiedział, że starego prawa nie przyszedł obalać. Cóż z tego — mówiła coraz ciszej—kiedy nie tylko mama, ale wszyscy *nasi* tak się strzegą nawet najlżejszej aluzji do przeszłości.

— To prawda — rzekł Jakób — ale jeśli pani pragniesz bliżej się oswoić z temi tradycjami naszymi, wszak jest ksiąg mnostwo...?

— Ale ja przecie nie umiem po hebrajsku?

— Są i w innych językach.

— Doprawdy?—spytała naiwnie—a! gdybyś mi pan, w wielkim sekrecie, chciał co pożyczyć! Ja doprawdy tak jestem ciekawą! takbym panu była wdzięczną! ale to musi być sekret... między nami! nieprawdaż?

Wymaganie tej tajemnicy, bardzo użyte zręcznie, było już węzłem, który ich miał zbliżyć i po-

łączyć. Emma ukradkiem, pod pozorem podziękowania, podała mu rękę i ścisnęła dłoń jego, magnetyczny przelewając weń strumień... życia. Jakób mimowoli poczuł się niespokojnym, skłopotanym, jakby się jakiego dopuścił grzechu.

— Z największą chęcią — rzekł — przyślę pani parę książek.

— Ale to niedosyć — dodała Emma — pan mi też sam pomożesz trochę do tej nauki, której ja tak jestem chciwą. Są godziny wolne. Mama się krząta, ja bywam prawie sama. Panbyś był mi nauczycielem, inicjatorem moim, a! nie wiesz, jakbym mu była wdzięczną. Ale cicho! — położyła paluszek na ustach uśmiechniętych, a oczy płonące, zmrużone, utopiła w nim głęboko.

Pan mi tego odmówić nie możesz — dodała — jest to fantazja, jeśli chcesz, dziwactwo, śmieszność, ale ją pojmisz.

— Ja nie uważam tego za dziwactwo wcale — rzekł Jakób — owszem, ale się lękam...

— Ale!! żadnych ale... o! proszę bardzo, proszę, żadnych ale! Przyznaję się panu, że trochę goniła za nim z tą żądzą upragnionej dla mnie nauki.

Jakób był osłupiały, zdziwiony, przejęty, przychodziły mu jakieś wątpliwości, ale je odpędzał, jako grzeszne posądzenia, tak zuchwałej komedyi nie przypuszczał. Muza pociągnęła go, ujęła, oczarowała.

Niestety! wszyscyśmy tak słabi, że w najprostsze wpadamy sidła, gdy zręcznie na tę słabość naszą zastawione zostaną. Często ostrzeżony nawet

człowiek daje się ująć, gdy kto uderzy w tę achile-sową jego piętę. Tak było i tym razem. Jakób, po krótkiej tej rozmowie, wstał inaczej dla Emmy uspo-sobiony. wydała mu się piękniejszą, coś poetycznego ją owiewało; w myśli porównywał ją już do biblij-nych niewiast, szukał w jej rysach typu wscho-dniego. Nie pociągała go żadną sympatya, ale nie-pokoje iakimś, ciekawością i nie obudzała wstrętu. Gdy uśmiechając się oddalała od niego, czuła już sama, że go chwyciła, i twarz jej była rozpromie-niona zwycięsko.

— O! jest moim!—zawołała w duchu.

Wtem Bartold uderzył go po ramieniu.

A co? — szepnął mu — nieprawdaż? czaro-dziejka?

— Przyznaję, że gdy chce, jest nadzwyczaj ujmującą!

— Bądźże ostrożnym, kiedy już to uznajesz — rzekł przyjaciel — to, co nęci, zawsze jest dla nas straszniejszem od tego, co odstręcza od siebie. Czło-wiek ginie zawsze przez to, co kochał, nie od tego—czego się lękał.

Czas upływał Jakóbowi tak żywo, niepochwycony, iż się z nim obliczyć nie mógł — nadchodziła zima, w położeniu jego mało się co zmieniło.

Wykreślony mając wcześniej plan życia, szedł drogą pewną, z której sprowadzić się nie dał; ale to, co dla niego głównem było życia zadaniem, coraz cięższem stawało się do urzeczywistnienia. Młodzież, którą wkoło siebie starał się gromadzić, znalazł najdziwniej przekształconą, prawie już nie żydowską. Najwykształceńsi nawet unikali wspomnienia o pochodzeniu, rozmowy o wierze, zadaniach religijnych. Działanie więc Jakóba ograniczone, powolne, musiało się skupić w nim samym prawie. Nietyle słowy, ile przykładem musiał torować drogę — mało prowadząc za sobą naśladowców. Była to chwila właśnie, gdy po rozdrażnieniu, wywołanem niezręcznym artykułem jednego z dzienników, po oburzeniu, jakie wywołało to wystąpienie, skupiali się nieco ku obronie Izraelici, podnosili na duchu, draśnięci i kraj wywołany został do niepotrzebnej walki, która uczciwym zasadom dała ostatecznie zwycięstwo. Trochę ludzi uprzedzonych, garstka tępych umysłów, którym oryginalnem zdało się trzymać średniowie-

cznych tradycyi, zostali w szczupłym opozycyi obozie. reszta powolnie przejednywała się z Żydami... Ze swej strony inteligencja izraelska coraz się mniej odosobniała, czyniła jak najprzystępniejszą, jak najskłonniejszą do przybrania cech polskich... a praca Jakóba utrudnioną przez to być musiała. Zyskiwało na tem stroniectwo ruchu, do którego młodzież izraelska temi więcej się garnęła, iż czuła się w obowiązku okazania, że dla kraju obojętną nie jest. Jakób, który w innym chciał iść kierunku, pozostał prawie na boku; nie był on wcale stworzony na spiskującego. Na wieczorach u niego, choć nieuchronna mieszała się polityka, więcej wszakże zajmowano się literaturą, kwestyami społecznymi, zadaniami historycznymi. To odstręczało tych, co popsuwszy się na piekącym pokarmie polityki, łagodniejszej strawy znieść już nie mogli.

Jakób, acz szanowany przez swych współwyznawców, nie był im łagodnym ani miłym — nadto otwarcie dla nich chciał być Żydem i Polakiem zarazem. Ale próżno go o to upominał Mann ze swą grubiańską dumą, Henryk ze sceptycyzmem kosmopolity, ojciec Tildy z powagą opiekuna, Bartold jako dobry przyjaciel, inni z opryskliwością ludzi, którym to stawało na przeszkodzie w ich robotach... Jakób nadto był pewien tego, co czynił, aby się dał zbici z drogi, którą uważał za obowiązkową.

Codzień też obawiano się go wyraźniej, unikano, codzien zimniejsze były jego ze współwyznawcami stosunki.

W tem zwątpieniu, jakie ogarnia ludzi w jego położeniu zostających, Jakób naturalnie skłonniejszym był niż kiedy do pochwycenia wyciągniętej mu dłoni... Umiała z tego korzystać Muza.

Z łatwością pojęcia, właściwą kobiecie, chwyciła myśli jego, przebiegła kilka książek, nauczyła się nieco, odgadła dużo i miała już gotowy oręż przeciwko niemu...

Jakob stęskniony, zwątpiały, smutny, tu jedno znajdując ucho, które się chętniej ku niemu nachylało, nie mogąc zbyt często bywać u Henrykowej, coraz bardziej przywykał przychodzić na rozmowę do domku w alejach; a gdy się letni w nim pobyt skończył i pani Wtorkowska miała się przenieść do miasta, baczna matka tak jakoś rzeczy umiała zręcznie ułożyć, że dostała pierwsze piętro w domu, którego drugie Jakób zajmował.

Był to przypadek. Dziwne się czasem trafiają przypadki. Ale w ten sposób wiedziano, kiedy Jakób był w domu, posyłano po niego, zapraszano, odnoszono książki, kreślono bileciki, a dwa lub trzy razy spotykano się z nim i witano na wschodach.

Piękna Muza stała się prawie prozelitką Jakóba, który chwilami zupełnie się z nią godził, a czasem odkrywał w niej wdzięk niebezpieczny.

- Ale wie mama mówiła wieczora jednego córka do pani Wtorkowskiej, gdy się jakoś dzień powiodł ten głupi Jakób zupełnie jest przekonany, że ja gotowa jestem zostać Żydówką... a przyznam się mamie, że już mnie ta jego Biblia, Talmudy, podania, legendy... i dławia, i nudzą.

— Ale, proszę cię ja ciebie, moja Emusiu—odpowiedziała matka — jak ci się zdaje, czy też on aby myśli już o ożenieniu?

E! ja go wezmę kiedy zechcę...

— No to, zechciejże... zlituj się.

— Ależ mama nie rozumie tego, to trzeba stosownych okoliczności. Z nim inaczej niepodobna, tylko mu się muszę stać nałogiem... Powiem mamie szczerze, z nim nie na namiętność rachować niepodobna, ale na nalóg serca... Na to trzeba czasu... ja pilnuję

— Gdzie ty tam pilnujesz! Ty się tylko roztrzepujesz z tym Henrykiem, nie wiedzieć do czego. Gdybyś już była mężatką, tobym jeszcze rozumiała, ale tak... najważniejszą sprawę opuszczasz...

— O! niech już mama będzie spokojną, ja wiem, co robię. Z nim potrzeba powoli, ja go codziennie lepiej poznaję, *si je brusque le deno ement, tout est perdu.*

— Już ty sobie rób, jak sama chcesz... ale...

Tak tym razem i zawsze kończyła się rozmowa, a Muza korzystała z pozwolenia.

Rachuba jej wcale w istocie nie była fałszywą; Jakob się w niej nie kochał, ale przyzwyczaił się do niej, znalazłował... Co się tyczy ożenienia. myśl nawet o niem nie przychodziła mu do głowy. Kochał Tildę całą duszą... a więdnący ten kwiatek codziennie mu się wydawał piękniejszym. Ciągnęło go tu tylko zajęcie, jakie Muza okazywała ciągle dla Biblii i podań izraelskich.

Matce ten środek przyciągania Jakóba nie wydawał się wcale miłym, zżymała nań ramionami —

ale coż począć było, kiedy ani nikt inny, ani nie innego znaleźć się nie mogło?

— A jak, broń Boże i to chybi...—mówiła w duchu, tośmy przepadli.

Muza, zwykle śmiejąc się, pocieszała ją, że to nie będzie Waterloo, ale Ansterlitz.

Muza nie mogła podobno pokochać nikogo, nie zakochała się też i w Jakóbie. Dla niej był on nudny, udawała dlań uwielbienie, ale ziewała całą duszą, gdy się zbliżał. Z Henrykiem była w swoim żywiole, poufalszą, rozumieli się lepiej.

Dogadzając tej udanej pasyi panny Emmy, Jakób zapalił się do myśli urządzenia odczytów żydowskich. W początku na nie nawet domu znaleźć było trudno: myśl wszakże rzucona zdawała mu się przecudną, pochwycił ją z zapalem, nie przewidując, że urzeczywistnienie napotka niewzyciężone trudności. Nikt w domu swoim odczytów tych mieć sobie nie życzył — obawiano się śmieszności; lękano się tej barwy żydowskiej jaką one nadać mogły domowi, w którymby się odbywały. Każdy pochwalał, ale u tego miejsca było mało, tam ktoś chory, tu dnia wybrać ciężko. Ledwie nieledwie Bartold się zgodził, aby w jego mało uczęszczanym domu urządzić te wieczory izraelskie, na które sproszone naturalnie samych tylko Żydów, chociaż na odgłos o programie znaleźli się ciekawi profani.

Nie potrzebujemy dodawać, że z wielkim ntrapieniem dla Wtorkowskiej, ona i córka jej zaproszone zostały... Wiele osób, z obawy posądzenia o przywiązanie do tradycyi, ze strachu śmieszności,

odmówiło przybycia, lub w ostatniej chwili zachorowało na brak odwagi... izraelskiej.

Bartold sam zajął się tem gorąco. Żona jego, cicha bardzo kobiecina, zajęta gospodarstwem, dziećmi i szkółką przez siebie urządzoną, skromna, mało znająca świata i niebardzo pragnąca go poznać, szczęśliwa i dlatego nie chciwa do przeskoczenia domowego progu, ani do zwiększenia kółka, co ją otaczało, bojąc się, by jej pokoju nie zamęcili ludzie—na żądanie wyraźne męża, musiała się podjąć tego wieczora, którego kłopoty już z góry przewidywała... Salon był obszerny, w domu nie zbywało na niczem, brakło tylko zwyczaju przyjmowania licznych gości. Bartold jednak z góry sobie powiedział, że choćby co niezgrabnie wypadło, pierwszy się z tego rozśmieję. Do wielkiego tonu nie miał najmniejszej pretensyi.

Bartoldowa, młoda, piękna kobiecina, maleńkiego wzrostu, zręczna i zwinna, biegła zakłopotana na kilka dni przed owym odczytem... obawiała się okazać za mało gościnną, mąż lękał się tylko, by nią nie była zanadto. Czarnemi oczkami goniła za nim niespokojna, pytając nieustannie, czy nie zapomniała o czem, czy nie było jeszcze czego potrzeba...

Mieszkanie niezbyt wytworne, nienadto smakownie urządzone—bo on sam, przy wielkim rozsądku, mało miał gustu i wcale nie czuł powołania do pamiętania o nim, a ona żyła w swym kątku u dziecinnych kolebek...—dowodziło jednak zamożności gospodarzy.

Tylko nie był to już ów dawny dom żydowski, w którym Mesusse widać było przy drzwiach każdych i świecznik siedmioramienny, i na ścianach obrazy symboliczne a napisy biblijne. Wyglądał europejsko, bez charakteru wybitnego, surowo, poważnie, Żyda w nim domyśleć się było prawie niepodobna.

W dniu oznaczonym, nad wieczór, mała pani Bartoldowa, pozamykawszy dzieci, bo ją przestrzeżono, że te się w towarzystwie pokazywać nie zwykły (co ją bardzo dziwiło)—wystrojona już, biegła, kłopotząc się zawczasu, czy przyniesiono torty z cukierni, czy wszystko było w porządku, czy tam jeszcze czego nie brakło. Zaproszonych kobiet nie było wiele, bo kółko znajomych gospodyni bardzo było szczupłe; Muza, Tilda, parę pań średniego świata, które, choć po cichu, przyznawały się jeszcze, że były Żydówkami. Mężczyzn zeszło się więcej, pomiędzy nimi jednak nie było Manna, który na ten wymysł ramionami ruszał, ani ojca Tildy, gniewających się na te—żydowszczyzny kapcańskie, jak oni je nazywali.

Jakób przyrzekł tylko parę legend talmudycznych odczytać, resztę czasu zająć miała rozmowa i muzyka. Ciekawość sprowadziła tu Krudera, który wszędzie być musiał, gdzie się trochę ludzi zebrało, i Iwasia, który już po Warszawie się kręcił, a chciwy był wszelkiego życia, i Wilka, który myślał korzystać ze zręczności dla zdobycia prozelitów, i wielu innych.

Henryk przybył dla żony niby, w istocie więcej dla Muzy, przy której krześle coraz częstszym był gościem. Dlatego też mieszkanie Wtorkowskich, w domu przez Jakóba zajmowanym, było pożądanem; odwiedzał często przyjaciela, a zachodził tylko po drodze do pani Wtorkowskiej, która, obawiając się go nieco, zaczynała dlań być kwaskowata. Wpadłszy jednak na myśl szczęśliwą, pożyczania u niego pieniędzy, pogodziła się z nim nieco, Henryk słodkie chwile, spędzane przy Muzie, opłacał dosyć drogo. Matka w dodatku siedziała przy nich nieodstępnie z robotą.

Kieszeń pana Henryka na tą zimę bardzo się im przydała: namiętnie rozplomieniony, gotów był na ofiary.

Około godziny dziewiątej, salon był już pełen, biedna gosposia, z wypieczonemi rumieńcami od utrudzenia, przyjmowała panie, drżąc i rumieniąc się jeszcze co chwila mocniej.

Na stole stała szklanka wody z cukrem i kilka książek, które był Jakób wcześniej przysposobił; roznoszono herbatę; goście, ledwie ją wypiwszy, dopominali się czytania; Jakób zasiadł i milczenie uroczyste dowiodło, że go słuchać chciano z uwagą.

Nie przywykły do czytania i mówienia publicznie, Jakób powiódł oczyma po zgromadzeniu, i zarumieniony, począł drżącym i słabym głosem:

— Przebaczycie mi państwo, że nieśmiało otwieram usta, jest coś dziwnego w mojem położeniu Żyda wśród Żydów, co prawie zapomnieli już, że nimi byli, przywykli się tego wstydzić i zapierać, a lepiej znają dzieje Anglii i Francyi, niżeli swoje własne, historję Chin, niż Palestyny, literaturę sanskrycką, niż hebrajską.

Zarzucono nam niegdyś odosobnienie się—było ono nie naszą winą, dziśby nam można wymawiać, że przestawszy być sobą, nie jesteśmy niczem jeszcze.

Z tym krajem, w którym żyjemy, połączeni z nim węzłami licznymi, jesteśmy prawie w walce i boju nieustannym, a z naszą przeszłością w rozwodzie. Tę to przeszłość i poetyczne jej utwory chciałbym wam przypomnieć. Czas jest przecież ocenić je po ludzku i co w nich pięknego, charakterystycznego jest, podnieść. Naród, który ma najstarszą praw księgę, sięgającą tych wieków, gdy Bóg wprost oddechem swym żywił młodociane ludzkie

plemię, w późniejszych też epokach nie pozostał bez literatury, poezyi i pamiątek piśmiennych.

Urywków ułamkowych dawać nie chcę z tego ogromnego skarbcza podań i poezyi, ale opowiem żywot jednego męża, na który składały się: historia, tradycja, poezya; starczy on na ten raz. Bohaterem mojej powieści będzie słynny uczony, Rabbi Akiba.

Był on naprzód ubogim tak, że służył za pastucha u bogatego Kalba Szabua... pochodzenie jego niewiadome. W dojrzalszym już wieku, służąc w tym domu, pokochał córkę gospodarza, a miłość była dlań początkiem mądrości. Dziewczę postrzegło rozwijające się uczucie, podzielało je, ale czytając miłość w oczach Akiby, użyło jej za narzędzie do podźwignięcia człowieka, w którym dostrzegło dary wielkie umysłu i serca, leżące odłogiem

— Jeśli ci rękę oddam — rzekła — i stanę się twoją — musisz mi przyrzec, że się cały nauce poświęcisz.

Akiba przyrzekł, zaślubili się potajemnie, ale ojciec, dowiedziawszy się o tem małżeństwie, oburzony, wyrzekł się córki swej i wraz z mężem wygnał ją z rodzicielskiego domu,

W pierwszych dniach nie wiedzieli, gdzie się podziąć nowożeńcy, błądzili bez przytulku, bez chleba prawie, a noce spędzali na garści słomy, pod gołym niebem. Podanie mówi, że piękne, czarne włosy żony Akiby, pełne raz były startej słomy, a mąż, obierając ją z warkoczów, wdychał nad tą nędzą swoją.

— O duszo moja—mówił do niej czule—gdybym mógł, o jakżebym cię przystroił i kosztownościami okrył całą... Złotą Jeruzalem zawiesiłbym na piersiach twoich.

(Ozdobę złotą, z wyobrażeniem miasta Jeruzalem, nosiły zwykle bogate Izraelitki).

Gdy to mówił, nie postrzegł, jak się zbliżył nędzarz odarty i rzekł mu:

Miejcie litość nade mnę, dajcie mi garść waszej słomy, żona moja chora leży w boleściach, nie mam co podesłać pod nią.

Akiba, tknięty jego mową, zwrócił się do żony:

— Patrzaj rzekł—oto ten biedak nędzniejszy jeszcze jest nad nas. (Talmud. Nedarim).

Dotrzymując słowa danego żonie, Akiba, który wprzód uczonych nie cierpiał, a naukę miał w pogardzie, udał się do szkoły publicznej w Nachum Gamsu i chociaż dorosły, począł od najniższych stopni.

Legenda mówi, że gdy szedł smutny, porzucawszy żonę, natrafił, zamyślony idąc, na mały wody strumień, który, przebiwszy skałę na wylot, płynął, utworzywszy nad sobą sklepienie. Obraz ten go nderzył.

— Jeżeli słabe wody krople—rzekł w duchu—mogły tę twardą przebić opokę, czegoż nie dokażą rozum i wola człowieka? czegoż nie dokażą święte słowa Pisma Bożego na miękim umyśle ludzkim?

Tak nabrawszy odwagi, stanął przed przyszłymi nauczycielami swoimi. Podanie mówi, że miał wówczas lat blisko czterdziestu, a nic się wprzód

nie uczył. Począł więc od głosek i niecierpliwie idąc dalej, postępował w nauce. W domu zamknięty, rozmyślał nad tem, czego się uczył w szkole, badając samego siebie o przyczynę każdej rzeczy, rozważając prawidło wszelkie, usiłując rozwiązać każdą nastęrczącą się wątpliwość.

Ubogim będąc i nie mając żyć z czego, szedł każdego dnia zbierać drzewo, sprzedawał swą wiązkę na targu. połową zarobku żył, a drugą odkładał na odzież i inne potrzeby,

Żona jego, wygnana przez ojca, poszła na służbę i żyła nędznie, mężowi przesyłając wszakże nie wyrazy stęsknienia i bólu, ale zachętę do pracy.

Trwała nauka, wedle podań; lat dwanaście, Akiba przeszedł swych mistrzów, z ucznia stał się słynnym nauczycielem, otaczały go tłumy słuchaczy, kilkanaście tysięcy młodzieży.

Żona spokojnie oczekiwała jego powrotu. Miała ona sąsiadkę dokuczliwą, która jej nieustannie wytykała to, że była opuszczoną przez męża, że ją, jak wdowę, samą jedną porzucił.

Biedna kobieta odpowiadała jej cierpliwie:

— Jam sama tego żądała, wymagałam, aby lat tyle poświęcił nauce, prosiłam go, żeby ją przedłużył jeszcze lat dwanaście.

Doniesiono o tem Akibie, który z danego pozwolenia korzystał i pozostał znowu nad swemi księgami.

Liczba jego słuchaczy pomnożyła się w dwójnasób; nareszcie dobiegł kres lat, naznaczonych i Akiba wyruszył w strony rodzinne.

Sława jego już była naówczas głośną, całe miasto wyszło przeciwko niemu, w tłumach szła też i pocziwa żona jego.

— Jakże ty śmiesz w tych oszarpanych ła-
chmanach stanąć przed nim? — pytała ją zła są-
siadka.

— Mąż mój—odpowiedziała—zna duszę moją.

Gdy się z sobą spotkali, żona rzuciła mu się do nóg i ucałowała je. Uczniowie mistrza, nie zna-
jąc jej, odepchnąć chcieli, ale wstrzymał ich, mó-
wiąc:

— Puśćcie ją, gdyż to, czem jestem i czem
wyście się stali, jej jest zasługą. (Ketuboth).

Stary teść Akiby przebaczył mu nareszcie i oboje z córką wziął do swego domu, dzieląc się z nimi dostatkami swemi.

Nauczycielami Akiby byli dwaj, ale różnego ducha mężowie: Eliezer potężnego umysłu, którego zwano naczyniem zamkniętem, bo kropli nie uрониł z tego, co przez usilną pracę zebrał, i Nahum przebiegły a bystry, rozbierający drobnostkowo rzecz każdą, zapuszczający się głęboko w badania. Z obu ich uczeń korzystał zarówno; od pierwszego wziął naukę, od drugiego zmysł jego krytyczny.

W tych czasach, gdy Akiba rozpoczynał naucza-
nie, krążyło mnóstwo podań i tradycyj, nagroma-
dzonych przez wieki, lecz w Piśmie nie zawartych
jeszcze; Akiba usiłował, dla utrzymania ustnych
podań, podeprzeć je powagą Pisma, wnikając w naj-
tajniejsze jego skrytości, tłumacząc, objaśniając,
wywodząc. Stworzył on szkołę i metodę nową,

która nadała życie nauce i wzbudziła uwielbienie powszechne. Zgodzenie tradycji z Pismem, było głównem pracy jego zadaniem.

Metoda jego była ścisłą i zmuǳną aż do drobnostkowości, wymagał od nauczycieli i od uczniów, aby niewiele, powoli i powtarzając jedno, nauczali. „Gospodarz — mówi o nim współczesny — w jeden kosz zsypuje wszelkie ziarno spadłe, zbierając je w polu, ale przyszedłszy do domu, przebiera je i każde odkłada z osobna; tak uczeń powinien postępować z nauką: oddzielić część jej każdą, rozebrać, uporządkować.“

Była to chwila, gdy życie religijne, silnie obudzone, gorzało; tworzyły się sekty. walczyły przekonania różne, wykłady odmienne, odszczepieństwa: filozofia starożytna, świetna i jasna, nęciła swoim urokiem, chrześcijaństwo zyskiwało codzien nowych prozelitów, głównie pomiędzy Żydami; gnostycyzm także poetyczne mrzonki swoje szczepił na starym pniu monoteizmu żydowskiego.

W tym czasie, gdy wielu, nawet z pomiędzy uczonych żydowskich, nawracało się i odstępowało od judaizmu, żył właśnie Akiba, usiłując utrzymać się wiernym starym, religijnym podaniom.

Jedna z legend o nim powiada, że tak głęboko sięgnął w tajnie samej istoty Bożej, iż aniołowie przełękli chcieli ukarać zuchwalstwo jego, ale Bóg wstrzymał n.ściwych wysłańców.

— Zostawcie go w pokoju — rzekł — godnym jest, aby rozpamiętywał wielkość swoją.

Akiba, który życie poświęcił nauce i kształceniu się surowemu, był też niesłuchanie surowym w ocenianiu spraw ludzkich i wszystkiego, co, w oczach pogan uchodziło za cuda. Zimną krytyką faktów zbijał on mniemane czary, a na zapytania odpowiadał, wskazując niezmienne, istotne natury prawa.

Troskliwość o zachowanie czystości nauki, narażonej wówczas na najrozmaitsze wykłady, skłoniła Akibę do zakazu czytania ksiąg potajemnego, szczególnie heretyckich. Samo nawet Pismo Święte, przepisane przez odszczepieńca, już za sprofanowane i niebezpieczne uważał... Tasrogość nauki nie tylko odstręczała od niego, ale nadawała mu wielką wagę. W całej Palestynie, piszą współcześni, nie było równego mu męża, „serce jego święte i myśli wielkie, jako złocista opona, okrywały pismo Boże.” Pomimo tej wziętości, Akiba pelen był pokory.

Podanie mówi, że gdy raz szkoła już pełną była ludzi, a uczniowie wszyscy, obyczajem wschodnim, siedzieli na ziemi, tak iż Akiba na miejsce swe inaczejby był przejść nie mógł. Jak depcąc po głowach tłumy, wołał pozostać ostatnim przy drzwiach, niżeli się tego dopuścić. Wszyscy żądali, aby zajął miejsce swoje, lecz on usiadł u nóg ostatniego ze słuchaczy, aby się nie przedzierać depcąc ludzi.

Znakomity uczony tamtego czasu, Rabbi Ismael, opłakiwał śmierć ukochanego syna. Było zwyczajem, że cała szkoła w takich razach ndawała się do siedzącego w żałobie, dzieląc jego boleść i cześć

mu wyrządzając. Razem z innymi przyszedł doń i Akiba. Ale gdy miał w imieniu wszystkich przemówić do ojca, głosu podnieść nie chciał, aby się nie zdawało, że szkole przodkować pragnie.

Gdy potem, po stracie jego własnego dziecka, przyszła doń szkoła cała, rzekł w pokorze:

— Przyjmuję cześć mi wyrządzoną, albowiem nie mnie ją oddajecie, ale religii, której jestem nauczycielem.

— Im człowiek więcej wynosi się z nauki swojej—mawiał—tem się staje godniejszym pogardy.

Gdy któryś z nauczycieli cieszył się zbyt z odniesionego w rozprawach zwycięstwa, Akiba mu rzekł ze smutkiem:

Jaśniejiesz radością, ja boleję nad zwycięstwem twojem, gdyż czuję, że pokutować za nie będziesz.

Mówią, że gdy raz wielka posucha trwała przez czas długi w Palestynie, nakazany został post i modlitwy dla uproszenia deszczu... Akiba zaledwie usta otworzył, ukazały się chmury i obfite potoki zlały ziemię spragnioną. W najtrudniejszych razach, wybierano go dla łagodności charakteru i spokoju ducha, by między poważnionymi zgodę czynił, nieprzyjaciół przejednywał — słowa jego niesły zawsze z sobą pokój i miłość.

Treścią nauki jego było: Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boże, bodziec mieć powinien w tem, że do doskonałości dążyć może; obowiązkiem jego cnota, największą dostojnością nauczanie wiary. — Wszystko przewiduje Opatrzność,

ale człowiek jest wolnym... Sumienie samo karze grzesznika.

Wedle Akiby, kara za grzechy doczesne po śmierci wiekuiłą być nie mogła, niektórzy rabini przyjmowali wieczne potępienie — on je odrzucał,

Najczęściej zwykł był powtarzać wyrazy: „Bóg wszystko wie dzie ku dobremu.“ Szczególniej w boleści, obawie, strachach i dolegliwościach, pocieszał się tą myślą.

Raz, będąc w podróży, miał z sobą osła i koguta. Na noc, mówi legenda, przybył do jakiejś wioski, szukając gospody po domach, ale mu przyjęcia odmówiono.

— Bóg wszystko wie dzie na dobre — rzekł i odszedł na nocleg do gęstego lasu, zapaliwszy światło.

Ale wiatr latarnię mu zgasił—położył się więc, gdzie stał, powtarzając ciągle jedno:

— Co Bóg dał, dobrze dał!

W tej chwili dziki kot zadusił mu koguta.

— Co Bóg dał, dobrze dał!—rzekł znowu.

Wilk przypadł i rozdarł mu osła—on powtórzył jeszcze też samo spokojny. Ale podanie tłumaczy, iż w istocie wszystkie te straty i utrapienia na dobre mu wyszły, ratując życie.

Pokora i ufność w Opatrzność, cechami są wybitnemi jego charakteru.

Raz u łoża konającego, świątobliwego człowieka, gdy wszyscy boleścią jego boleli z nim razem, jeden Akiba okazał się wesół i spokojny.

Zapytano go o przyczynę.

— Niema człowieka bez grzechu—rzekł—raduję się więc, że ten cierpieniem za winy swe odpokutuje.

Inny uczony leżał złożony chorobą, trzej starcy odwiedzili go razem z Akibą. Pierwszy z nich zaczął go wychwalać:

— Nauka jego pożyteczniejszą jest dla Izraela, niż deszcz dla ziemi, gdyż deszcz rzeźwi i budzi pola do żywota cielesnego, a jego mądrość ukaja duszę do duchownego, wiecznego życia.

Drugi rzekł.

— Mądrość jego pożyteczniejszą jest niż światło słoneczne, bo światło słońca wiedzie nas po ziemi, a nauka jego ku niebiosom.

Trzeci mówił:

— Tyś dla Izraela więcej niż ojcem i matką, gdyż ci dają ziemskie życie, ty niebieskie!

Gdy kolej przyszła na Akibę, ten począł:

— O! jak słodko jest cierpieć na ziemi...

Chory, tknięty do głębi temi wyrazy. obrócił się do przytomnych i rzekł:

— Podnieście mnie, abym mógł lepiej tych słów świętych słuchać.

Wśród cierpień narodu, mawiał:

— Przystoi Izraelowi boleść, jako białemu rumakowi cugle purpurowe.

Wiara jego była, rzec można, wstydliwą, zamykał się sam na długie modlitwy, wobec ludzi modląc się krótko, a obowiązki powszednie życia spełniając gorliwie.

Pomimo że Pismo nakazuje obchodzić święta wytworniejszymi sukniami i jadłem, Akiba zawsze w obojgu był bardzo skromnym.

— Bóg — mawiał — łatwiej wybacza grzechy popełnione przeciwko Niemu, niż ze szkodą bliźnich; sprawiedliwość należy się nie tylko Izraelicie od Izraelity, ale i poganinowi.

Małuje dobrze i epokę, i mędrca, i naukę jego zadanie moralności praktycznej, które na sposób wschodni do rozwiązania uczonym danem było.

Dwóch ludzi znajduje się na pustyni, mają oni z sobą jedną niewielką wody flaszkę, mogącą ocalić człowieka, ale nie ich obu. Idzie o to, jak powinni postąpić? Jeśli się tą wodą podzielią, nie starczy ona, aby obudwóch uratowała, oba więc zginą.

Rozmaicie rozwiązywano zadanie, wielu było za tem, aby się oba dzielili wodą i umarli; Akiba za obowiązek uważał, aby się jeden poświęcił i życie drugiemu ocalił.

Rozwiązywał to surowym musiem i prawem, a nie miłością.

W innym razie oświadczył się także przeciwko sądowej karze śmierci, wysoko ceniąc życie ludzkie.

Stawszy się bogatym przez teścia, Akiba był ojcem ubogich, wszystkich stowarzyszeń miłosiernych wodzem i opiekunem. Mawiał on, że kto nie ratuje chorego, ten winien jest, jak gdyby go zabił. Świętość małżeństwa wysoko podnosił.

Zburzenie Jeruzalem, świątyni i męczeństwo całego narodu, nie zachwiało w nim wiary w Opa-

trżność i nieomyłność praw Bożych, w nadzieję miłosierdzia. Patrząc na zwycięzców, płakali otaczający go, on jeden wśród dymiących ruin grodu świętego uśmiechał się spokojnie... pocieszał niezwalczoną nadzieją lepszej przyszłości.

Był on dla współbraci otuchą i podtrzymywał ich w dniach zwątpienia, miłością narodu swego, przywiązaniem do wiary i obyczaju. Mimo to, pod ostatek życia, zebrał się, przeciwko ciemiescom Rzymianom, w duszy jego gniew wielki: gotów na męczeństwo, zdawał się go oczekiwać.

Żył Akiba w czasie najgwałtowniejszego prześladowania Rzymian, straszliwego, bezdusznego rozlewu krwi swoich braci, za dni Domicyana cezara, które liczono morderstwami, gdy na wydanie ludzi na męczarnie dosyć było podejrzania i fantazyi mściwych nieprzyjaciół. Stan Żydów, chociaż ich więcej nad innych różnowierców nie prześladowano, był okropny... Świeże jeszcze rany nie przeboleły... Wespazyanowy ucisk się przedłużał, łączyła się doń pogarda i sromotne z Żydami obejście. Zabierano mienia tych, którzy je ukryć zdołali od rabunku, ściągano spokojnych... Rozeszła się wieść w tych dniach męczarni, iż pomiędzy Żydami znajduje się potomek Dawidów... ulęknięto się, aby pod jego wodzą nie powstał Żydz. Nakazano śledzić pilnie, dość było podejrzania najłżejszego, by być w ręce katów wydanym. Domicyan tępił i zabijał, chcąc koniecznie tego królewskiego potomka wynaleźć.

Prześladowano nie tylko Żydów, ale licznie naówczas na wiarę żydowską nawracających się. Akiba

wielu pogan miał pomiędzy uczniami swoimi. Nie-
wiasty rzymskie i całe rodziny przyjmowały mono-
teizm Hebreów. Karano ich śmiercią, wygnaniem,
zabranie majątku. Tak Domicyan krewnego swo-
jego, posądzonego o judaizm (a może o wiarę chře-
ścijańską), Fleviusa Clemensa skazał na śmierć,
a żonę jego, Domitillę, na wygnanie. Podanie mówi,
że Akiba udał się do Rzymu, aby postanowioną już
rzeź odwrócić: że jeden z senatorów mu do tego
dopomógł i życiem to przypłacił. Umierając, miał
mienie swe przekazać Akibie.

Po śmierci Domicyana, w czasie krótkiego pa-
nowania Nervy, Żydzi mieli parę lat spokoju; prze-
śladowania ukrócono, nałożone na nich podatki
zniesiono! Pierwsze lat dziesięć panowania Trajano-
wego były też dosyć szczęśliwe, ale miały się opła-
cić boleśnią. Wyprawa Trajana przeciwko Partom,
w ciągu której rozproszeni po Syryi, Mezopotamii,
Armenii i Persyi Żydzi opór mu stawili, rozdra-
żniły Rzymian. — W Syryi legiony wymordowały
Żydów mnóstwo.

Hadryan prześladował szczególnie uczonych,
którzy uczucie narodowe żywili i przechowywali.
Wybuchło powstanie żydowskie w czasie zamie-
szek nad Eufratem i Żydzi, korzystając z tego,
w Cyrenie, Cyprze, Egipcie wielu Rzymian wymor-
dowali.

Akiba, w tych straszliwych czasach, nie sie-
dział nad księgami i w szkole, stał się mężem
czynu. Rzucił on nauczanie i udał się w dalekie
kraje obudzać męstwo swych braci, sam życie swe

nienastannie narażając. Przebiegł tak Cyrenę, Cypr, Egipt, oddalone wyspy i grody, siejąc wszędzie przyszłego powstania nasiona.

Udał się w ciągu tych wędrówek do Nisibis, sławnej w owych czasach ze swej szkoły, był w Arabii; jest rzeczą dowiedzioną, że Izraelici mieli udział wielki w wywalczonej niezawisłości grodów perskich. W Cyrenie wodzem ich był niejaki Andreas, w Cyprze Artcmion. Trajan wojował w Babylonii, a Lupus, wódz jego, w Egipcie, pobity został przez Egipcyan, połączonych z Żydami. Andreas udał się do Palestyny dla poburzenia tamtejszych Żydów; w Mezopotamii powstanie pod oczyma cezara wzrosło straszliwie.

Ale nareszcie Martius Turbo uśmierzył Cyrenę, Andreas padł w boju, Hadryan zwyciężył w Cyprze, Lucius Quietus nad Eufratem i w nagrodę otrzymał rządy Palestyny.

Po tych wypadkach, zemsta Rzymian przeciwko Izraelitom nie znała granic; rozpoczęło się dzikie prześladowanie wiary i narodu. Pod karą śmierci zakazywano Żydom zachowywać ich przepisy religijne, sądzono, że wykorzeniając wiarę, przez to zniszczą narodowość.

Akiba wśród tych prześladowań okazał się niezmordowanym i nieuleknionym, podtrzymywał męstwo braci, wynajdywał środki oparcia się, uniknięcia srogich przepisów. Tajemnice wiary, obrzędy religijne, postanowiono spełniać po domach. Akiba w podróżach swych, które przedsiębrał, nienastannie życie narażając, starał się obudzić miłosierdzie roz-

proszonych braci dla tych, co cierpieli prześladowanie, wyjednać dla nich pomoc. Wymową swoją do łez pobudzał, naród porównywając do Hioba.

Zdaje się, że dawne stosunki wiązały go potajemnie ze sławnym Bar Kochbą... lękano się o jego życie. Na łożu śmierci Eliezer upomniął go, aby więcej ksiąg pilnował. Zaczęto jednak ścigać zażarcie rabinów i uczonych. Rufus ostatki świątyni zburzonej kazał niszczyć, aby wspomnień i żalu nie budziły. Gamaliela na śmierć skazano.

Quietus spełniał surowo wyroki Trajanowe; ale Żydzi mężnie znosili prześladowanie. przywiązując się mocniej jeszcze do wiary i narodowości, których zachowanie stanowiło dla nich pociechę i rodziło nadzieję... Bardzo niewielu liczono odstępców, pomiędzy nimi był Eliszah, uczony w piśmie izraelskiem i greckiem, którego zdrada zasmuciła wszystkich.

Eliszah, wiodąc Rzymian za sobą, wpadł na zgromadzenie rabinów, zmusił ich do przerwania obrzędów i odkrył sposoby, jakimi starali się uniknąć prześladowania Rzymian.

Przelekli się naówczas starsi, aby podobną zdradą własnych braci, cały naród nie był zmuszony do odstępstwa. Zebrała się rada tajemna, szukano środków ocalenia. Postanowiono, gdyby kto groźbą śmierci zmuszony był do złamania prawa mojżeszowego, słabość tę uniewinnić. dla ocalenia życia mniej wytrwałych. W trzech tylko wypadkach groźba śmierci nie uwalniała: gdy szło o bałwochwalstwo, mord i nieczystość.

Z wielu ofiar ówczesnych, historia wspomina szczególnie dwóch braci, Juliana i Pappusa, których wiek młody, niewinność, męstwo wobec śmierci, męczennikami uczyniły. Rozkazano im złożyć ofiarę bałwanom, a gdy odmówili, sam kat ulitowawszy się ich młodości, dał im do zrozumienia, że byle tylko pozornie pokłonili się posagom, od śmierci mogą być wolni. Młodzieńcy wszakże nie chcieli swem odstępstwem boleści uczynić współbraciom i nieustraszeni poszli na śmierć. To bohaterstwo wzruszyło niewymownie wszystkich; poszli na radę starsi do poważnej matrony, za świętobliwą uważanej i za jej zdaniem idąc, udali się do Rzymu. Tu, rozproszywszy się po ulicach miasta, bładzili, wołając:

— O nieba, czyż nie wszyscy ludzie jesteśmy bracia, synami jednego ojca? jednej matki? nie jesteśmyż my już ludźmi?

Podania hebrajskie mówią, że ta boleść tak wielka, to wołanie wzruszyło i skłoniło Rzymian do litości, że Trajan w ostatnich latach panowania prześladowanie ukrócił.

Dzień, w którym odwołano dawne rozkazy, uczczono jako święto, nazwano go imieniem Trajanowem.

Akiba w tym czasie opuścił był Państwo Rzymskie, gdzie podejrzania i niechęci ludzi wszelką działalność tamowały, udał się na Wschód dla rozgrzewania serc współbraci rozproszonych. Jakiś czas przebył on w Zephyrium w Cylicyi, potem w stolicy Kapadocyi, w Mezopotamii, w Apamea, nad Eufratem, nawet w Etiopii. gdzie z panują-

cym naówczas miał stosunki. Wszędzie starał się zbadać potrzeby, stan narodu i położenie wygnańców. Naostatek, gdy się prześladowanie nieco uspokoiło, powrócił do kraju, aby korzystać z pokoju i pracować w nim około jego przyszłości.

Po śmierci Trajana, następca jego, Hadryan, odwołał srogiego Quietusa i osądził go na śmierć, ale zadane przezeń narodowi żydowskiemu rany, nie zawarły się jeszcze, wspomnienia ich były świeże i przerażające. Wiele niewinnych ofiar budziło pragnienie zemsty, mnóstwo ludzi znaczących padło, głowy rodzin, nadzieje przyszłości. Łatwo było w takim stanie ducha Akibie umysły rozgrzać i pobudzić.

Rozbolały naród jeden mąż energiczny poruszyć może, słowo jedno miota tłumami. Mężem, który miał nieszczęśliwych Izraelitów obudzić i podnieść ku obronie praw swoich, był Symon Bar Kochba, co oznacza syn Gwiazdy. Nadano mu to imię dla uczczenia go, a później, gdy się wybuch nieszczęśliwie zakończył, uwiedzione ofiary zmieniły je łatwo na Bar Kosiba... Syna Fałszu.

Bar Kochba śmiały, przedsiębiorczy, powierzchowności ujmującej, postawy wyniosłej, miał wszystkie przymioty wodza powstańców.

Hadryan, który państwo swe objeżdżając, znalazł je całkiem spokojnem, miał mieć naówczas rozmowę z jednym z rabinów, pozwalając na odbudowanie świątyni, której wzniesieniu później przeszkodzono. Właśnie w czasie tej podróży cezara, Akiba udał się do Bar Kochby, a poznawszy bli-

żej męstwo jego i energię, zdumiony wielkimi przymioty, nazwał go Gwiazdą Jakóba. ogłosił Mesyaszem.

W Talmudzie były przepowiednie, że przyjsie zesańca Bożego mają straszliwe klęski poprzedzić; zastosowano do nich niedawną krwawą przeszłość. Akiba to wykładał i popierał, ale wielu znalazł niedowiarków. Oznajmiono ludowi przyjsie Mesyasa, tłumy zapaliły się nadzieją blizkiego oswobodzenia, zbiegły się tysiące pod dowództwo Bar Kochby, do nich przyłączyli się poganie z ohdy ncisku rzymskiego.

Przysposabiano oręż potajemnie, zawiązano stosunki z twierdzami po całym kraju, Bar Kochba miał się za niezwyciężonego, ufając w wojska swoje. Wedle podań, nie przyjmowano do nich nikogo, kto wprzód, na próbę siły, drzewa z korzeniem nie wyrwał.

Wzdęty pychą, wódz powstańców miał rzec:

— Boże, jeżeli mi pomagać nie chcesz, nie posiłkuj przynajmniej nieprzyjaciołom moim. my ich sami zwyciężym.

Ta pycha i zarozumiałość, jak zawsze i wszędzie, zwiastowały upadek dumnego.

Na pierwszy odgłos o gotującym się wybuchu, pospieszył Rufus, rządca Palestyny, ale w spotkaniu został pobity i to rozniosło pożar szerzej jeszcze, wzmagając siły Izraelitów. W ciągu roku zdobyli oni pięćdziesiąt twierdz, grodków i dziewięćset osmdziesiąt pięć wsi. Hadryan, który z razu mało przywiązywał wagi do tego ruchu, po pobiciu wojsk

swych, uczuł niepokój. Żydzi, ośmieleni, odmówili podatków. Głównej wagi dla dalszej wojny postępu, była twierdza Bitar w Palestynie. Tu stolicę swą założył Bar Kochba i jak panujący, bił monetę, od swego imienia nazwaną. Po dwóch latach walki próżnej i krwi rozlewu, Hadryan powołał z Brytanii najdzielniejszego z wodzów swych, Sewera, i posłał go naprzeciw zbuntowanym. Ale Żydzi tak się byli mocno osadzili w zajętych przez się stanowiskach, iż Sewerus, stanowczej bitwy wydać im nie mogąc, szarpał tylko napadami, odejmował żywność, ścisnął, osaczał, targał, dopóki Izraelitów w Bitar nie otoczył. Tu zmożony głodem i brakiem wody, Bar Kochba wystąpił do rozpaczliwej walki, broniąc się zajądło. Gdy inni się bili, pobożny Eliezer na poście i modlitwie błagał pomocy Bożej, ale oskarżony o zdradę, przez zapalczego wodza zabity został. Ta śmierć niewinnego była jakby przepowiednią upadku. Wkrótce potem Bitar wzięli Rzymianie, a Bar Kochba poległ w boju.

Ofiar tej wojny liczone do pół miliona głów, poległych od miecza, głodu, na polach bitwy i w rzeziach mściwego nieprzyjaciela. Kosztowało wszakże i Rzymian to zwycięstwo tak wiele, że się nim niebardzo chlubić mogli. W rocznicę zburzenia świątyni jerozolimskiej, dnia 9 Ab, przypadło wzięcie Bitar, dzień to był pamiętny klęskami dla narodu. Ścigano potem pozostałych, którzy się kryli po lasach i pieczarach. Zgłodniiali, karmili się trupami swych braci, a wielu, wywabionych zdradziecko ze schronień, pozabijano. Innych przedawano w nie-

wolę, przepelniono nimi więzienia. Hadryan odnowił edykt Trajana, zabraniający obrzędów i zachowywania praw, nauczania Pisma i wiary. Rufus, powołany po Sewerze do zarządu Palestyny, sroższym się jeszcze okazał dla słabych, bo mu dojmowało upokorzenie dawne. Jerozolimę kazał cesarz osadzić poganami, posągi swe wzniesć na górze, na której była świątynia, a na gruzach jej nową bóżnicę Jowisza kapitolńskiego. Imię nawet Jeruzalem zmieniono na Aelia Capitolina, od imienia Hadryana, Aelius. Do stolicy ich dawnej wzbroniono przystępu Izraelitom. Na bramie, wychodzącej ku Betlehem, wystawiono świnia głowę, na urągowisko i ohydę Żydom.

Zdaje się, że Akiba, który moralny tylko miał udział w tym ruchu, w pierwszych chwilach po uśmierzeniu powstania, pozostał wolnym. Ale największe prześladowanie żarliwości jego dla wiary złamać nie mogło: na widok towarzyszków swych, ścinanych i mordowanych, wołał, przeczuwając swój koniec:

— Gotujmy się na śmierć! dni wielkiej żaloby przed nami!

Szpiegi Rufusa śledzili kroki Izraelitów, szczególnie zwracając bacność na mężów uczonych i wykładaczy prawa. Akiba, nieustraszony, wszędzie publicznie nauczał wiary, próżno go ostrzegano... Schwytany w chwili, gdy wykladał księgi święte, zaprowadzony został przed Rufusa; ten osądziwszy go za jednego z głównych ruchu przywódców, kazał go wtrącić do więzienia i wyznaczył na ofiarę.

W ciemnej kaźni, o chlebie i wodzie, osamotniony, nie upadł na duchu Akiba, starając się i tu zachowywać, o ile mógł, przepisy prawa. Opis tych scen więziennych maluje człowieka surowość i potęgę ducha narodu. Akiba, nie mając wody, ostatnie jej krople zlewał na ręce, zamiast się nimi orzeźwić, aby mógł oczyszczony przystąpić do modlitwy. Mnóstwo takich rysów przywodzą podania.

W więzieniu nawiedzał go, badał, uczył się od niego Rufus, jakby mógł srożej jeszcze Żydów ciemnić. Odpowiedzi Akiiby, zachowane w podaniach, świadczą o spokoju jego ducha i niezachwianej odwadze. Pozostali bracia, pozbawieni jego rad, często uciekali się do najprzebieglejszych środków, aby do niego dostać się mogli. Zapłacono czterysta susim jednemu, który ofiarował się przedrzeć do więzienia, aby żadaną odpowiedź (gdy uwolniony zostanie) przynieść od Akiiby. Innym razem, poprzebierani za przekupniów, przychodzili wyszukanemi słowy tajemniczemi z nim rozmawiać. Przed zgonem dozwolono, jak się zdaje, widzieć się z nim synowi, gdyż nanki, które mu dawał, legenda powtarza.

Akiba skazany nie tylko na śmierć, ale na srogie męczarnie, miał mieć z głowy zdartą skórę żelaznemi grzebieniami: szarpany okrutnie, nie wydał jęku, a gdy wśród mąk nadeszła zwykła godzina modlitwy Szema, wyrzekł ją całą głosem spokojnym. Przelekły kat nawet sam zapytał go, czy miał jakie czary przeciwko boleści.

— Nie mam żadnych czarów — odpowiedział męczony — czuję boleść jak inni ludzie, ale w głębi

duszy się cieszę, bom dawno pragnął miłość ku Bogu poświadczyć ofiarą życia mojego. Teraz przyszła spełnienia jej godzina, dlatego wesół jestem...

To rzekłszy, dalej odmawiał modlitwę i przyszedłszy do słów: „Bóg jeden i jedyny”— ducha wyzionął.

Wierny przyjaciel Akiby, Jehoszua z Gerasa, który pożegnał go w więzieniu idącego na śmierć, poszedł smutny do domu. Legenda powiada, iż na progu jego ujrzał postać podróżnego siedzącego (proroka Eliasza), który go zapytał:

— Nie żądasz li czego ode mnie?

Jehoszua, powitawszy go, spytał, ktoby był i w jakim celu przybywał...

— Jestem kapłanem -- rzekł mu prorok — a przybywam oznajmić ci, iż Akiba leży zabity w więzieniu.

Naówczas oba z nieznajomym udali się do więzienia; drzwi jego stały otworem, odźwierny spał, więźniowie byli uśpieni. Przybyli, idąc ostrożnie, doszli do lochu, w którym spoczywały zwłoki, wzięli je na nosze i niepostrzeżeni przez nikogo, wynieśli. A gdy wyszli za mury, prorok sam zażył ciało nieść na ramionach.

— Jakże ty, kapłanem się mieniąc, możesz zwłoki nieść na barkach? -- zapytał Jehoszua zdziwiony.

— Bo w takich ludziach, jak ten, który umarł, niema nic nieczystego— odpowiedział prorok.— Idź za mną i milcz.

Całą noc szli z tym ciężarem, aż przybyli do miejsca zwanego Antefros. Tu droga spuszczała się w dół, na trzynaście stopni, po których zstąpili, potem trzydzieści w górę i stanęli u wniścia pieczary.

Otworzyła się jaskinia przed nimi i wszedłszy, znaleźli tu łoże, stół, siedzenie, światło przysposobione, położyli więc zwłoki i gdy wracali, światła zapłonęły, a pieczara się zamknęła za nimi.

Eliasz zniknął, wołając:

— Szczęśliwy sprawiedliwy, dla którego zgotowane jest miejsce poczesne tu na ziemi, a nieśmiertelne w niebiesiech. (Jalkut).

W czasie dość długiego opowiadania Jakóba, milczeli wszyscy słuchając, wrażenia były różne, malowały się one na twarzach przytomnych uśmiechami, powagą, wreszcie znudzeniem i niecierpliwością, ale gdy skończył, wszyscy niezmiernie gorąco dziękować czuli się obowiązani.

Powoli zarzuty z różnych stron odzywać się poczęły.

— Wiele w tem poetycznych fantazyj — rzekł Henryk.

— Tak jest—odpowiedział Jakób—ale każdy wiek, osadzając drogie kamienie w arce podań, stara się nadać im blask, aby niemi swe bogactwo, dostatek i charakter oznaczył. Legendy tworzą się na obraz i podobieństwo narodu.

— Ja legend nie lubię—ozwał się inny—to są zmyślenia.

— Tak, są to zmyślenia — rzekł broniąc się Jakób — ale prawda historyczna niewiększej jest wagi nad prawdę podaniową, która poświadcza ducha. Dzieje opisują fakta, legenda daje ich pojęcie. Niemniej maluje wiek to, co człowiek *mówi*, nad to, co *czyni*.

— Jakoś te dzieje dzikich prześladowań dziś wydają się nieprawdopodobne—mówił trzeci.

— Mogą się przecie powtórzyć z największymi szczegółami dziś jeszcze.

— O! dziś!

— Tak—odparł Jakób—czy na nas, czy na innym narodzie; zemsta dzika upojonego zwycięscy zawsze idzie jednemi drogami. Za Nerona, Domicyana, Trajana, Hadryana... czy za...

Nie dokończył, uśmiechano się niedowierzająco.

— Ależ przecie w XIX wieku!

— W XIX wieku—wzdychając rzekł Jakób—*utinam sim falsus vates!*

— Ale pan nam — przerwała piękna Muza — winienes przecie coś weselszego, przystępniejszego dla nas... coś z literatury hebrajskiej.

— Nie trudnoby mi znaleźć — odezwał się Jakób—ciężki tylko wybór z tych opowiadań, legend i niekiedy bardzo dowcipnych talmudycznych przypowieści.

— Posłuchajmy!

Jakób przewrócił kilka kart i począł:

— Rabbi Gamaliel rozmawiał raz z pewnym księżciem pogańskim o stworzeniu niewiasty, które mu opisał tak, jak ono stoi w księgach biblijnych.

Wysłuchawszy, ksiązę się odezwał:

— Mój kochany, Pan Bóg wasz był więc prostu złodziejem. Jakże: napadł tego biednego Adama we śnie i wychwycił mu—żebro.

Przytomną rozmowie była młoda córka Gamaliela.

— Pozwól — szepnęła mu do ucha — żebym ja mu odpowiedziała.

Rabbi skinął, że się zgadza, a dziewczę poczęło nagle żałośliwie narzekać biegając i zbliżyło się ku księciu.

— Panie! — zawołała — proszę was o sprawiedliwość!

— Cóż się to stało? — spytał książę.

A! niegodziwą popełniono u nas kradzież — odpowiedziała dziewczyna — wsunął mi się złodziej do domu i ukradł czaszę srebrną, na miejscu jej zestawując — złotą.

— A cóż to za uczciwy złodziej! — zawołał książę — bodaj się tylko tacy trafiali.

— Otóż takim nasz Bóg jest złodziejem — rzekła dziewczyna — wziął on Adamowi część ciała jego, ale mu dał w zamian piękną niewiastę.

— Dobrześ rzekła — odpowiedział książę — ale bądźcobądź, mógł to uczynić otwarcie, nie kryjąc się z tem, byłoby to ze wszech miar lepiej.

Po chwili dziewczę się odezwało:

— Książę pozwolisz mi tu przynieść kawałek surowego mięsa.

— Dobrze! — rzekł zdziwiony poganin.

Natychmiast podano mięsiwo, dziewczę zabrało się do krajania, siekania i gotowania go w oczach coraz bardziej zdziwionego księcia. A gdy było gotowem, prosiło, aby jadł.

— Moja kochana — zawołał książę, usuwając potrawę — wiem ja, że to się tak zawsze z mięsem

robić zwykło, ale gdy na te przygotowania patrzę, już się pożywać odechce.

— Otóż panie odparła dziewczyna—tak właśnie począł Bóg z Adamem. Nie wiem, czyby mu w smak było, gdyby w oczach jego tworzył kobietę. (Talmud—Sanhedrin 39 a).

Wszyscy się śmiać poczęli, chociaż widocznie dowcip dziewczęcia jakoś niebardzo wytwornemu towarzystwu naiwnością swą przypadł do smaku.

— Talmud — mówił dalej Jakób—wie nawet dlaczego nie z rąk, nie z nóg, nie z oczów, nie z ust utworzoną była Ewa.

— Daj pokój temu — przerwał Henryk po cichu — słyszę dobijanie się jakies do drzwi, ktoś się domaga wniknięcia, rzućmy te Talmudy.

— Toż pewnie nie obcy, co to nam szkodzi?— spytał Jakób.

— Ale po co ma nas zastać zatopionych w tej żydowszczyźnie?—dodał Henryk.

Jakób smutnie spuścił głowę.

— Zawsze się więc przeszłości naszej wstydzicie będziemy?—szepnął—czyż jej przez to nie potępiamy?

Domawiał tych wyrazów, gdy Kruder, błady i widocznie poruszony, wpadł do salonu... Po twarzy jego poznać można było, że się jemu, lub komuś blisko go obchodzącemu, coś przytrafić musiało... Cały był drżący, ale spojrzawszy na kobiece towarzystwo, zamilkł.

— A! przepraszam, że przerywam! — rzekł cicho.

Co ci jest? co się stało?—spytał go Bartold na ucho.

— W tej chwili—rzekł ponuro, głęboko wzruszony Kruder — gdy wy tu spokojnie siedzicie za stołem, na Starem Mieście...

— Co? co? — zdały się słyszeć przyspieszone zewsząd głosy.

— Na Starem Mieście wojsko tłumy zebrane morduje! Jakaś niespodziana demonstracya się odbywała... wystąpiło wojsko... Mówią o wielu zabitych i ranionych...

Jakób rzucił książkę.

— Chodźmy! — zawołał z zapalem — chodźmy! Tam gdzie się krew leje, gdzie potrzeba ofiar... tam i my być powinniśmy!

Kobiety, wielce przerażone, ruszyły się z krzykiem z miejsc, nie wiedząc, co począć.

— A! co robić? gdzie się podziać? — wołano — możnaż będzie powrócić do domu... pokazać się w ulicach... wojsko...

Wrzawliwie posypały się pytania. Kruder ochłonawszy, począł spokojniej opisywać stan miasta... ale głos mu drżał, wyrazy się rwały...

Jakób już chwycił za kapelusz, gdy Bartold surowo go powstrzymał.

— Czekaj—rzekł—widoczną jest rzeczą, że się na coś większego zanosi... są to preludya dopiero. Nie przeczę, iść winniśmy razem, ale nie bez rozmysłu i narady. Z mowy Krudera widzę, że to, co dziś zaszło, jest rzeczą skończoną, na dalsze wypadki rozsądnie przygotować się potrzeba.. Tylko

nie bez narady, powtarzam, nie bez jedności, porywczo i poosobno... zobaczymy, pomówim... Zbierzmy się...

— Gdzie?—pytali młodszy.

— Musimy się zebrać u Manna, nie możemy nic zrobić bez niego...

— A zatem rano.

— Jutro!

Kruder padł na krzesło, błądy, z załamaniem rękami.

— A zatem... kość rzucona!—zawołał.

I głowę spuścił na piersi, ledwie dosłyszonym dodając głosem:

— Biedny kraj!

Przypomni sobie łatwo każdy ze świadków tych chwil niezabytych nigdy, że pierwsze owe sceny, zaszło na Starem Mieście, niespodzianie wcale przypadły dla ogromnej większości mieszkańców Warszawy, w chwili, gdy szlachta niemal cała Królestwa, powołana na ogólne zgromadzenie Towarzystwa Rolniczego, znajdowała się na obradach w stolicy.

Nikt wówczas nie przewidywał mogących nastąpić wypadków, nikt ich nie pożył, niewidzialna jakaś ręka pędziła ku nim. Najgorętsi nawet czuli ten oddech piekący po za sobą, nie wiedząc z czyich ust wychodził.

Jakób, wybiegłszy dnia tego z domu Bartolda, nie mógł się powstrzymać, by nie pobiedz na to miejsce, gdzie się odbył pierwszy ten bój cichy, dziwny... przerwany nagle grobowem milczeniem... Po drodze mało kogo spotykał; ludzie niemi snuli się, przesuwając do domów wśród mgły wilgotnej wieczora. Jak wmurowane stały tu i owdzie szeregi wojsk, rozłożone po ulicach, posępne, milczące, chmurne. Na twarzy dowódców pływały

czarne tumany, coś jakby oznaki walki żołnierskiego obowiązku z sumieniem człowieka.

Około Hotelu Europejskiego spotkał tłum milczący szlachty, wychodzącej z Pałacu namiestnikowskiego. Tu oblicza były skłopotane, szeptano sobie na ucho nowinę wieczorną. Już mijał ich Jakób, gdy na wprost hotelu uczuł się pochwyconym za rękę i nierychło wśród nocy mroku rozpoznał zapaloną uczuciem jakimś gwałtownem twarz Gromowa, towarzysza pani Colomi.

Gromow pochwycił go pod ramię i nie mówiąc słowa, prawie siłą, pociągnął za sobą na górę do hotelu.

Weszli do pokoiów, które Włoszka zajmowała; znaleźli ją pogrążoną, smutną, zwiniętą w kątku kanapy. Przeleknionemi oczyma zmierzyła Gromowa, który jej dał tylko znak niecierpliwy zmarszczonemi brwiami, aby ich zostawiła samych. Jakób, który parę tylko razy widział Gromowa, zaledwie go dziś poznał.

Na twarz tę, zwykle zimną, zastygłą, wystąpił wyraz niepohamowanego zniecierpliwienia, niepokoju, gniewu nawet. Niepiękna, była w tej chwili majestatyczna siłą i potęgą — brew jowiszowsko była ściągnięta i namarszczona, wargi miał blade i ścięte, oczy płomieniste, ręce drżące.

Obejrzał się, gdy Colomi po cichu, bojaźliwie się wysunęła i chwycił za rękę Jakóba.

— Słuchajno waćpan—rzekł —młody jesteś, nie możesz być obojętnym na to, co się tu dzieje, musisz wiedzieć o wszystkim, do wszystkiego należeć.

— Do czego?

— No, do projektowanej rewolucyi! To widoczna! — rzekł trzęsąc się Gromow.

Jakób zmierzył go oczyma.

— Ja o niczem nie wiem — rzekł stanowczo.

— Co ty mnie masz za szpiega i donosiciela, czy co? — zawrzał Gromow, odtrącając go od siebie.

— Opamiętaj się pan — zawołał Jakób — mówmy chłodno i rozsądnie. Nie zapominaj pan, że ja niedawno przybyłem do kraju, że jestem Żydem, i że — powiem otwarcie — w duszy jestem przeciwnym wszelkiej rewolucyi.

— Tyś przeciwny rewolucyi? — podchwycił. wybuchając Gromow.

I stanął milczący, zamyślając się.

— Dlaczego? — spytał po chwili.

— Dla tego, że rewolucye do niczego nie prowadzą — rzekł Jakób — bo są straszną chorobą społeczną, konwulsjami... bo opóźniają normalny pochód ludzkości do jej celów, bo z nich korzystają tylko despotyzmy i szarlatany polityczne!

Gromow, patrząc nań, poczynął się uśmiechać.

— Tak, tak, wiem to wszystko, wiem — rzekł — ale są chwile i wypadki, w których rewolucye stają się koniecznymi, gdy rządy do nich pchają same bezrozumem, uporem, głupotą wstrzymując ludzkość w swym biegu... gdy do ostatecznej rozpacz kraj cały przywodzą uciskiem.

— Za długoby to trwało, gdybym chciał pana przekonywać — odezwał się Jakób — że na to są inne środki skuteczniejsze od rewolucyi — ale nie czas

o tem rozprawiać... Daję panu słowo na to, że nie jestem rewolucjonistą i że do tej roboty się nie zdałem. Ale w dowód mojej ufnosci powiem panu także, iż gdy kraj, który za moją przybraną ojczyznę uważam, zażąda ode mnie ofiary kwi i życia... oddam mu życie i krew... pójdę z drugimi...

Moskal się zamyslił długo

Jesteś człowiekiem dobrej wiary, to wiem — rzekł — zresztą dość na ciebie spojrzeć, dosyć poznać. Będę więc z tobą otwartym, o ile nim być mogę, nie zdradzając cudzych tajemnic. Ja jestem z zasady rewolucjonistą, bo Moskałem jestem, na mojej szyi obróza zostawiła wiekowe rany, na rękach mych są blizny kajdan, nogi się płaczą w niewidzialnych pętach, na umyśle, na sumieniu memi, na ustach wypieczono piętna niewoli. Dla mnie zginiąć samemu, świat wywrócić, wylać strumienie krwi, jest niczem, byle ojczyzna moja wyszła raz z tej hańby poddaństwa moralnego, upodlenia, niewoli: byle krzepka, silna, zdrowa, odmłodziła, dźwignęła się z tej kałuży krwi i błota, w której ją topią. Ja chcę zbawienia, a więcej jeszcze oczyszczenia Rosyi, która w obliczu świata srom mi czyni; ja się do imienia Rosyanina przyznać dziś wstydę; ja się duszę w tych pętach... Oto mnie masz... takim jestem, nie taję się... w imię zbawienia mojej i waszej ojczyzny, mówię do ciebie.

Pochwycił go za rękę i poprowadził do okna.

— Tak jest — rzekł głosem słumionym — u nas gwałtownie potrzeba rewolucyi, bo inaczej praw ludzkich nie odzyskamy nigdy... ale musimy ją

robić wspólnie. Wy się rwiecie bezrozumni, osza-
leli, na oślep, aby nas zgubić i siebie. Potrzeba
wstrzymać wybuchy te, uspokoić pozornie, cier-
pieć, aż wybiję godzina, której my wam znak
damy.. Naówczas pójdziecie razem z nami, odzy-
skacie prawa waszej narodowości; na pobojuwisku,
na którym legnie despotyzm, połączą się bratersko
dłonie nasze... Na Boga! nie psujcie nam pracy,
nie gubcie własnej przyszłości porywami niewcze-
snemi!

Pan możesz mieć wpływ, idź, pros, zaklinaj,
nawracaj, błagaj... niech się powstrzymają... Ro-
sya na wiek jeszcze zakutą zostanie w kajdany,
jeśli wy się teraz porwiecie. Czeką na to rządy,
chce tego, pragnie, podbudza, będzie przez szpary
patrzył na przygotowania, uda bezsilność, aby wam
dodać zuchwalstwa... ale miejcież rozum, nie gubcie
nas i siebie!

Rząd, jak w 1812, obudzi patryotyzm w tłu-
mach. przywiedzie go do szafu, odprowadzi umy-
sły od innych zaprzątnień na was, na Polskę, wy-
puści na nią zgraję swych brytanów, zaleje was
bezduszną biurokracją chciwą grosza, zniszczy, wy-
ssie, wywiesza, wymorduje, wytępi... Polska ocali
Rosyę od rewolucyi, a sama zgienie...

I pochwycił się za głowę Gromow, a drąc
i szarpiąc suknie na sobie, począł chodzić po po-
koju.

— Ależ to szaleństwo! to samobójstwo! pory-
wacie się na kilkadziesiąt milionów dzikiego tłumu,
któremu z góry rzucą słowo nienawiści, a urośnie

w straszną walkę międzynarodową. Wszystko się skupi w imię patriotyzmu około tronu, wszystko się zjednoczy przeciwko Polsce, my stracimy głos, przewagę, zwiążecie nam ręce, odbierzecie siłę...

— Wszystko to, co mówicie, może być prawdą—odparł Jakób—wy lepiej Rosyę znacie`ode mnie, jej politykę, środki działania, ale cóż ja na to poradzić mogę? Widzieliście tu kogo z młodzieży?

— Kilku wojskowych—rzekł Gromow—ale to są szaleńcy, mają mnie za ajenta rządowego dlatego, że im niewczesny ruch odradzam. Szaleńcy!—powtórzył—nie pojmują, że dla rządu rewolucja wasza jest zbawieniem, dobrodziejstwem, potrzebą, że onby ją sam zrobić gotów, gdyby mu tak dobrze ślepotą wasza nie posługiwała. Wszystką swą chorobę wewnętrzną na was zleje Rosya, jeżeli się porwiecie... wy zginiecie, a my...

Nie dokończył, tak wybuch namiętny głos mu tamował.

— A--rzekł po chwili namysłu, patrząc smutnie w górę — są fatalności ciężące na narodach... taka fatalność nad nami... Trzebaż było, ażeby naród, którego nam przeszłość i zamięłowanie swobody dawało za naturalnego sprzymierzeńca, stał się mimowolnie wrogiem tych, co swoją i jego niewolę skruszyć chcieli! Jeżeli rewolucja wybuchnie, sto lat kajdan dla nas... wam... zguba...

Słepi—dodał—ślepi byście byli, gdybyście nie widzieli, że ta rewolucja, którą manifestacyami, jak dzisiejszą rozpoczynacie, ta rewolucja jest przez rząd wywołaną, że ona go zbawi i ocali...

Gdybyście, nie wiem wiele, rok, dwa, trzy poczekać umieli... szlibyśmy razem do niezawodnego zwycięstwa... Mielibyśmy czas przysposobić wojsko, zaszczerpić w ludzie inne pojęcia, dokonać emancypacji, którą despotyzm dla siebie rozpoczął, a mybyśmy z niej skorzystali... Gdy płomień rewolucyi buchnie nad Newą, naówczas róbcie ją u siebie, prosimy, ale nie dziś... Z kim tu gadać? z kim? - dodał gorąco.

— Ale ja nie wiem—rzekł Jakób.

— Jakto nie wiecie? to być nie może!—zawołał Moskal—wybyście nie wiedzieli!

— Szczerze wam powiadam... nieznana młodzież włada dziś wszystkim... młodzież więcej mająca zapалу, niż rachuby...

Gromow ręce załamał.

- Nie, to być nie może — rzekł — w tem jest ktoś wyżej, co kieruje... czuję coś tajemniczego. Młodzież narzędziem, ale ktoś ją prowadzi? kto rozkazuje?

— O ile wiem, oni sami...

— Ale młodzież, mój panie, do czynu, do boju, nie do rady... płomieniste serca, głowy niedojrzałe... Mogliżbyście losy kraju zdać na jej ręce? Nie... nie...

Ty się mnie lękasz, ty mówić mi nie chcesz?

— Słuchaj pan—z wolna i spokojnie począł Jakób.—Wyznasz, że gdybym miał obawę, tak mało was znając, byłaby ona usprawiedliwioną może, ale daję wam słowo uczciwego człowieka, że do spisków żadnych nie należę, nie wiem nic nad to jedno, że gdy uczuję obowiązek pójść z drugimi i dać się zabić—pójde i zginę.

Spojrzał nań Gromow zdziwiony.

— Wierzę ci—rzekł—ale jakże nie podzielając ich przekonań, masz iść z nimi na śmierć? To dla mnie, wyznam ci, heroizm niezrozumiały.

— Nie jest to heroizm żaden—odparł Jakób—my, jako Żydzi, jesteśmy tu w położeniu wyjątkowym, potrzebujemy dowieść poświęceniem się, żeśmy synami tej ziemi, że ją kochamy...

— Ale jej tem nie zbawicie?

— Nie, zginiemy: wszakże ofiary życia są silnym węzłem, który spaja... krwią naszą zawrzemy sojusz z krwią Polski...

Gromow słuchał i dumał.

Wszystko to bardzo piękne — mówił. nieco się upakajając—ale to są poezye, to ideały, a polityka nie cierpi uczciwości... Polska powoli heroizmami ginie; więcej rachuby, przebiegłości, chytrości, a mogłaby być ocaloną... Dlaczego w ciemnych życielach nie chciała zyskać sprzymierzeńców, gdy jej to było łatwo? dlaczego dopuściła Niemców, aby oni zajęli jej stanowisko i królowali Rosyi? dlaczego nie starała się wcisnąć wszędzie, objąć nas, cywilizować, uzyskać wpływy i z sobą liberalne wszczepić nam ideje?

Pełny był dwór—mówił dalej—ale kogoż? podłych pochlebców, dworni, lokajów waszych, a nie było mężów stanu, co by się starali wniść wyżej i rękę położyć na sterze. Od stu lat był czas... ale wyście go zmarnowali na zabawki, balowaliście, a z balów w trzewikach szliście na rewolucyę...

Wasze kobiety od walca... pędziły za mężami w Sybir... krzyczeliście, pisali, wypowiedzieliście wszystkie tajemnice słabości waszej, rząd widział czem was brać, w co uderzać; zwierzaliście się mu nawet pod sekretem, kiedy mieliście robić rewolucyę... ażeby nie wziąć go zdradą! Dawaliście mu dobrodusznie oręż na siebie... to też ginęliście i zginiecie! Zasłużyliście na to—dodał gwałtownie.

— Nie! — zawołał Jakób — zginie może jedno pokolenie, ale nie Polska i jej idea... Polska się zahartuje waszym uciskiem, nanczy się być wytrwałą i mądrzejszą pod plectnią kozacką, pod szubienicami, na mogiłach... Zteroryzują tchórzów, ale ich dzieci...

Gromow rozśmiał się ironicznie.

- Wiesz, co powiedział raz w Kijowie wasz Rzewuski, jednemu znajomemu mi jenerałowi naszemu?

- Nie słyszałem...

— Mam doskonały sposób poznać, kiedy Moskal poczciwy, a Polak rozumny—zawołał hrabia. Jakież? proszę nas nauczyć?—spytał jenerał.—Niezawodny... oto spojrzeć na ręce: jeśli mu włosy na dłoni rosną.

— Tak—rzekł Gromow—wyście niebardzo rozumni, a my, Moskale, niezbyt uczciwi, to prawda. Ale winą nie nasza: od Iwana Groźnego, pod różnemi pozorami, uczono pokolenia całe kłamać, zabijać i kraść *pro publico bono*; trudno się było oprzeć tak długiej i starannej edukacyi. Wszyscy to wiedzą. Ale wy! wybyście już rozum mieć

powinni, nauczyć go was mogłoby nieszczęście, zawody, męczarnie, upadki... Mimo to (winowat) pozwólcie sobie powiedzieć, żeście—głupi.

Jakób stał, ruszając ramionami.

— Ale czegoż chcecie ode mnie? — spytał zafasowany.

— Jakto! wyście mnie jeszcze nie zrozumieli? — podchwycił Moskal. — Ależ idźcie, proście, nawracajcie, opamiętywajcie, krzyczcie, niech wasza młodzież nie robi szaleństw, niech powstrzyma rewolucję, niech czeka!

— Ja—za mało na to mam siły.

— Przyślijcież mi kogo, z kimbym pomówił.

— Pozwól być szczerym, jakże chcecie aby wam, Moskalowi, odradzającemu rewolucję uwierzano?

— To prawda, do stu... ależ ja... ja im dam dowody, że wierzyć mi mogą, mam je na piśmie i na ciele mojem. Pokażę plecy całe poszarpane od knuta, pokażę te ręce, na których białe blizny w pierścienie wypiętnowały kajdany.

Uderzył się w piersi.

— Nie! nie! nie uwierzą mi! ani tobie! ani nikomu! Spełni się wola ślepego losu na nieszczęśliwej Rosyi, w chwili, gdy już, już miała sięgnąć po ten owoc dla niej zakazany—swobodę. Podeprą tron ramiona tych, co go wczoraj obalać chcieli... a dworonia głodna krwi ssać będzie dalej biedny lud nasz...

O! szatańskim śmiechem śmiać się będę z tej rewolucyi waszej! z szatańską zjadliwością ja pierwszy mścić się na was będę za utracone nadzieje.

Tak! ja nawet gotówbym was ścigać i wieszać, a ze mną wielu moich... bo wy naszą także przyszłość burzycie.

— Jeszcze przecie nie jesteśmy w przededniu rewolucyi. uspokój się — odparł Jakób — to garstka młodzieży... szaleje nieco... któż wie? może się sama powstrzyma!

— Nie! — odparł Gromow — jeżeli młodzież na czele, ani ona sama, ani jej nikt nie powstrzyma... nie skończy się to na niczem, doprowadzą do ostateczności. Ja tak na to patrzę... młodzież i lud dwie smolne podkładki, ogień być musi, to darmo. Ludu, raz rozpędanego, nie powstrzymać, młodzieży ropiczonej nie ostudzić... spełni się dramat krwawy, ofiarny! Wieczne i zawsze ofiary daremne, legniecie stosem trupów, a szajka biuralistów, z piórem za uchem, z małczykami i samowarami, rozgości się na pobojożyku.

Widzę, patrzę — dodał — przeczuwam przyszłość waszą... krwawa, straszna! Przesadzone wsie, wyludnione kraje, krocie ludzi w Sybirze, potwarze na naród miotane, sromotne naigrawania, bezduszną zemstę, ruiny, popioły... Ale dobrze wam tak będzie! zasłużyliście... zgniecie ojczyznę moją!

— Uspokójże się pan, uspokój! — przerwał Jakób.

— Mówisz o uspokojeniu—zawołał Gromow— a mieszkales ty w tej piersi? a wiesz ty, co to wygnanie? a znasz ty katorgę?.. Ja na cały żywot mój skazany jestem—jedno z dwojga, albo na kajdany niewoli, lub na ostateczne spalenie... lub

na to wieczne wygnanie, od którego oczy, serce, dusza odwracają się wciąż ku ojczyźnie i krwią płaczą... Wieszże ty, co to ojczyzna na obczyźnie? To matka, to ojciec, to siostry, to bracia, co zapomnieli cię, którym się ciebie wyprzeć kazano, którzy imienia twego wymówić nie mogą, bo imię twoje wygnane jest z tobą... to tęsknota za ziemią, co cię wypiastowała, za chmurnem niebem, za nędzą swoją... za wszystkim swoim... to śmierć i konanie powolne... To jeszcze nic, gdy się cierpi samemu, możnaby i nie jęknąć — ale po za sobą czuć miliony spodłone, znikczemniałe, skazane na zgniliznę, na ciemnotę, na wieczną niewolę, całe pokolenia wydziedziczone z darów Bożych... i tę ojczyznę kochaną—u ludów świata, w obliczu historii skazaną na hańbę, na wstyd barbarzyństwa i niewoli. Pomyśl o tem—i bądź potem spokojny!

To mówiąc, Gromow się rzucił na krzesło.

— Przybyłem tu—rzekł powoli—ważąc głowę moją, jedynie dlatego, aby was odwieść od szaleństwa... ale napróżno kołacę. Jeżeli kraj istotnie w ręku młodzieży, niema ratunku... będzie rewolucya...

— Z czemżeż - spytał Jakób — bez broni? bez pieniędzy? bez wódzów i bez żołnierzy?

— Z kijmi pójdą i z torbami!—krzyknął Gromow — rząd dopuści sprowadzenia broni, da wam uzbierać trochę pieniędzy, zamknie oczy, przyczai się—jemu trzeba nietylko, żeby była rewolucya, lecz żeby się ona rozogniła, rozniosła, rozżarzyła po kraju... W to mu graj... Potem weźmie was

gdy zechce, zgniecie w oczach Europy, a winę złoży na was samych. Jeśli jest najmniejsza chęćka do zrobienia burdy, stanie się... burda będzie z waszej strony heroiczną, z ich strony przebiegle zimną i okrutną... Ten wypadek usprawiedliwi to, co z wami postanowiono zrobić oddawna, a w dodatku ocali biurokratyczną Rosyę! zgubi ją na długo dla świata, postępu i swobody... da siły despotyzmowi...

Jakób milczał, Moskał się coraz bardziej rozpalał, aż wychodząca po cichuteńku z sąsiedniego pokoju Colomi, z wolna położyła mu rękę na czole.

— Słuchaj, Sergiuszu — zawolala — ty się rozchorujesz.

— Nie, ja umrę--odparł Moskał—ja tego nie przeżyję!

I spuścił głowę na piersi, ale wkrótce podniósł ją i pięść do góry.

A! jeśli w proch pójda nadzieje nasze — rzekł groźnie — biada wam—biada!

Jakób spoglądał na zegarek położenie jego było przykre, sam nie wiedział, co począć z sobą. Moskał jakoś to nareszcie dostrzegł i—jakby go kto zimną oblał wodą — pociągnąwszy ręką po twarzy, orzeźwiał—ostygł. Stał się znów człowiekiem salonu i dobrego towarzystwa, z anergumena jakim był przed chwilą.

— Daruj mi pan — rzekł wzdychając — żem pana uczynił świadkiem mojej boleści nieprzyzwoitej... przepraszam... Ale dziki człowiek siedzi pod tą cywilizowaną skorupą, dziki, bo go uczyniono

dzikim, bo jego dzikość pielęgnują... O! biedni my jesteśmy—wierzcie - bardzo biedni!

Idź pan, mów, staraj się, ruszaj, zabiegaj, a powstrzymaj nieszczęście, jeżeli można—niestety! zdaje się—za późno! Zresztą przyślij mi tu kogo, może też kto z nich mnie zrozumie.

Tak się naostatek pożegnali, Jakób wysunął się zadumany, wstrząśnięty, rozmyślając nad tem, co słyszał... Gęste patrole snuły się po ulicach, szczęściem, nie zaczepiony przez nie, potrafił się dobić do domu,

Wszedłszy do siebie, zastał kartkę z pierwszego piętra od Muzy, która go prosiła i zaklinała, aby natychmiast przyszedł do nich, że czekać nań będzie, choćby do rana.

Jakób, jakkolwiek bardzo zręcznie osaczony przez piękną swą prozelitkę, dotąd umiał się trzymać w pewnej odległości, nie dopuszczając do zbyt poufałych i coś przyrzekających stosunków..! Matka i córka napróżno różnego rodzaju ułatwieniami starały się go wciągnąć w niebezpieczną pułapkę. Nieraz zostawiano ich sam na sam.. Panna była nadzwyczaj łagodną, czułą; Jakób pełen uszanowania i w chwilach nawet zapału, dziwnego pomiarowania pełen.

Były może godziny, w których ta postać uroczą, dyszącą pozorną jakąś namiętnością, przypominająca bachantkę, czyniła na nim mimowolne wrażenie ale panem siebie zostawał zawsze, a miłość ku Tildzie była dlań tarczą, broniącą od wszelkiej, nawet śmielszej myśli.

Dobrze z północy już kartkę tę oddał mu służący, dodając, że nań na dole czekają; Jakób się zawahał, ale domyślając się naturalnie, że w tem być musi jakiś interes tych pań nagły, zejść musiał.

Nie jesteśmy w stanie zapewnić, czy to spotkanie całe z góry nie było ułożone! W salonie zastał Mużę, przebraną w lekkim wieczornym przyodziewku, niezmiernie skromnym, z włosami gładko uczesanemi, z ogromnym z tyłu warkoczem, od niechcenia skreconym, z nieco przypadkiem odsłoniętymi ramionami — trzymała w ręku chusteczkę, jakby do projektowanego płaczu przygotowaną.

Ujrawszy go, powstała nagle, żywo i pośpiesznie wyszła naprzeciw.

— Panie Jakóbie — zawołała, chwytając go za rękę — cóż się to dzieje? gdzie pan byłeś? Pan się pewno mieszasz do tego? — A! zaklinam pana! jakkolwiek nie mam żadnego prawa. prócz tego, jakie mi daje szczerą przyjaźń moja — nie rzucaj się w tę grę niebezpieczną.. zaklinam!

Patrzała mu w oczy, Jakób był zupełnie spokojny, cały rachunek chybiony.

— Cała drzę — dodała — drzę, myśląc o panu! Ja tak jestem dziecinna! Daruj mi pan, nie tłumacz tego na złe — mam serce siostry dla niego...

I ścisnęła go powtórnie za rękę.

— Stokrotnie pani dziękuję — rzekł Jakób, uśmiechając się łagodnie — ale daję pani słowo, że do niczego nie należałem, nie należę.

— A gdzie pan dziś byłeś tak długo, tak późno?

— Najosobliwszym trafem wstrzymał mnie jeden znajomy rozmowa.

Muza potrząsała głową.

— O! pan mnie nie oszukasz!

I ujęła go za obie ręce tak, że czuł bicie jej krwi, jej oddech na swej twarzy, a oczy czarne zdawały się wpadać w głąb duszy.

— Panie Jakóbie to się nie godzi! Ja się nie bez przyczyny lękam o pana!

— Powtórnie pani słowo daję, że się nie mieszam do niczego.

— O! nie wierzę!

Podniosła była nieco głos, ale go nagle zniżyła, miarkując się.

— Mama dostała migreny—rzekła ciszej—zasnęła biedna... ja czekałam, narażając się na dziwne wyobrażenie, jakie pan o mnie powziąć możesz... aby błagać go..

— Ale siadajże pan tu, przy mnie — dodała, ciągnąc go za sobą ku kanapie—siadaj pan, mówmy otwarcie i szczerze.

Skłopotany nieco Jakób, uczuł się wzruszony tym niepokojem, w którym ani mógł, ani chciał się komedyi domysleć; nadto był szlachetnym, a za mało zepsutym.

— Wiesz pani — rzekł—że jestem zawsze szczerym, że fałsz za występki uważam, uwłaczający godności człowieka.

— A! tak! bądźmy z sobą otwarcie.

— Więc najotwarciej powiem pani, że nawet był u Moskala!—dodał, śmiejąc się, Jakób.

Ten uśmiech, chłód i przytomność zupełna Jakóba, jakoś się dziwnie Muzie nie podobały, rachowała podobno, że go w tym dniu znajdzie rozentuzjazmowanym, że ten zapal wpłynie na ogólne jego usposobienie: omyliła się, jak się ludzie zwykle w swych domysłach myślą... Zrobiło jej się przykro—złe mówię—rozgniewała się na siebie i na niego... ale im trudniej było Jakóba rozplómić ku sobie, natchnąć go miłością jakiegokolwiek bądź rodzaju, byle gwałtowną, tem cel ten chciwszą była osiągnąć.

— A! to dobrze! to dobrze! — odezwała się, zmieniając głos i kryjąc uczucia—pan nie wiesz, co się działo ze mną! Patrz pan! jak jestem zmieniona! Wszak znać po mnie tę przeżytą godzinę niepokoju i śmiertelnej gorączki... o pana?—szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem.

— A! pani — odpowiedział Jakób — czyżem ja na to zasłużył?

— Nie, nie zasłużyłeś pan na to — dodała szybko, zawsze niższym głosem — pan jesteś dla mnie tak zimny—pan nie widzisz nawet tych uczuć, jakie obudzasz...

I jakby mimowolnie za wiele wypowiedziała, zawstydzona, spuściwszy oczy, zamilkła.

Jakób był przejęty; mimowolnie żał mu się jej jakoś zrobiło, schylił się milczący i pocałował ją w rękę. Muza cała zadrżała, wstrząsła się, jakby gorącym żelazem dotknięta, pochyliła na kanapę

i zakryła oczy... Podnosząc głowę, zmieszany młody człowiek to spostrzegł, pierwszy raz myślił, że ona go kochać może, jak piorunem go razita. Uczucie to było dlań wyrzutem, podsycił je swoją nieroztropnością, winien był zbrodni! Cała szkarada postępowania lekkomyślnego, stanęła mu w oczach, porwał się z miejsca przerażony, wylękł.

To żywe jego pochwycenie się mogło być różnie tłumaczonem. Muza dłużej sceny sedukcyi przeciągnąć już nie chciała... rada była z tego, co zaszło, milczenie jego mówiło wiele, wiązało go prawie.

— Idź pan, idź! — zawołała żywo — jestem chora, nie wiem co mi jest.. głowa mi pęka... sama siebie nie poznaję..

Jakób zawahał się jeszcze, spojrzał na piękną jej twarz, zbłądła ze wzruszenia, drżącą jakimś uczuciem namiętne i powoli — skłoniwszy się z uszanowaniem, odszedł.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, po cichu wsunęła się matka!

— A cóż? — spytała.

— A! straszliwie głupi! — ruszając ramionami i ziewając odparła Emma — a! jakież głupi!

— Ja się boję czy nie za rozumny! — potrząsając głową szepnęła Wtorkowska.

Nazajutrz rano zebrało się dość dużo osób, które nie były obowiązane, lub nie mogły się znajdować na posiedzeniu Towarzystwa, w mieszkaniu Manna. Mann, który i tak miał się za wodza i kierownika, zdumiał jeszcze, mając przewodniczyć obradom.

— Patrzże, proszę cię szepnął ojciec Symon do Bartolda — ten biedny Mann wygląda dziś jak pęcherz... uchowaj Boże, pęknie!

— Nie bój się — rozśmiał się drugi — gdyby się to stało nawet, prócz trochę wiatru, nie nam więcej nie grozi

W istocie, gospodarz był przepyszny, patrzył na świat z wyżyn swej dumy, sapał, chwytal się co chwila za próżną głowę .

- Potrzeba się nareszcie nam naradzić — rzekł zagajając wspaniale posiedzenie, usiadłszy na szezłażku, który zajął cały sam sobą — tak, położenie się komplikuje, trzeba coś postanowić *en vue des événements futurs*. Co czynić mamy? Naród nasz słynął z jedności, nią się utrzymał, co panowie mówicie?

— Ja — zawołał Symon, uśmiechając się — ja mówię i wotuję, ażebyś nam naprzód dał cygaro.

— Ale dajże bo pokój swoim żartom — tkając mu co żywiej cygaro żądane, zawołał Mann — to rzecz seryo! Jak myślicie postąpi szlachta?

— Szlachty rzeczą jest nie postępować wcale szepnął Symon — wiele się sprzeczać, dużo krzyczeć, nie robić nic.

— A! to prawda! — rzekł Mann — ale tym razem ich zmuszą.

— Częstkę jakąś może.

— Szlachta, dodam — zawołał Mann — obrazila nas, okazała się nam wrogą.

— Stójcie! szlachta jest szlachtą — począł Symon niepowstrzymany, zabierając głos, mimo kwaśnej miny gospodarza — szlachta w nas zawsze widzi swoich arendarzy, to darmo, śmierdzim im jeszcze cebulą. Mimo to, nie jest naszą nieprzyjaciółką. Mówmy no o innych elementach, bo dotąd ci panowie ani myślą się rzucić i nie chcieliby brnąć!

— Jednak widocznie się przysposabia rewolucya — zawołał Mann.

— To być może — odparł Bartold — ale pan Symon ma słusznosc — szlachta do niej nalezec nie ma ochoty. W grze jest stan średni.

— A my czemże jesteśmy? — spytał ktos.

— Właśnie to, że klasa średnia główną tu gra rolę, grozi nam, że wciągnięci być możemy.

— Tak, możemy i powinniśmy się dać wciągnąć — przerwał Jakób z kąta. Dobijamy się praw

obywatelstwa, to najlepsza sposobność, by je pozyskać.

Mann się skrzywił.

— Mówiliśmy o tem nieraz—rzekł—to są teorye, rzecz trzeba rozwinąć praktycznie. Co tu jest interesem naszym?

— Interesem pierwszym — odpowiedział Jakób w kraju, w którym nas jest tylu, być uznanymi, przyjętymi, pobratać się, połączyć, to chwila jedyna.

— Tak, zrobiwszy razem z nimi głupstwo, połączymy się doskonale—dodał Symon.—Nic tak nie łączy, jak wspólnie zmalowany bak... obie strony potem się wzajem uniewinniają.

— Symonie, dostałeś cygaro, niech ci ono usta zapieczętuje — prosił Mann.

— Ja ci dam drugie, byleś milczał — dodał ktoś niecierpliwy z boku.

— Pytanie tedy: jaką my, Żydzi, rolę odegrać tu mamy?

— Przepraszam, niema tu Żydów, są Polacy wyznania mojżeszowego poprawił inny.

Kilka osób temu wyrażeniu, pierwszy raz użytemu, żywo przyklasnęło.

— Pozwólcie panowie—dodał Jakób jeżeli ta definicya się utrzymuje, ona rozwiąże wszystko.

— Przepraszam—zawołał Mann—bardzo przepraszam, stoi nierozwiązana kwestya: czy pójdziemy ze szlachtą, która rewolucyi nie chce, czy z tymi, co ją robią i pragną?

— Tu sęk!—rzekł Symon—ja wotuję, idźmy ze szlachtą, może dorobimy się i my herbów, ja natychmiast sobie tnę pieczętkę: trzy cebule na tle złotem, w hełmie wspaniałe liście czosnku.

— A to utrapiony gaduła! — pięścią w stół bijąc, przerwał Mann. — Będziesz ty cicho?

— No! już milczę.

— Rzecz bierzmy seryo, zdaje się że na to zasługuje—przerwał Bartold —Mann dobrze kwestyę postawił.

— Nie — zaprzeczył Jakób — kwestya nie jest dla nas, czy mamy iść ze szlachtą, czy tam z kim innym, ale co jest lepsze dla kraju... który przyjmujemy za ojczyznę naszą...

— Wybornie! Ale któż nie widzi podchwycił Henryk — że rewolucya jest zgubą, że się ona udać nie może, że pomagać jej, byłoby to kraj gubić!

Małeńki człowieczek, suchotniczego pozoru, wystąpił, obejztał się, odchrząknął i pomału cedzić zaczął:

— Byliśmy długo w pogardzie i poniewierce, czas jest przede wszystkim, nie wdając się w żadne rafinowane patryotyzmy, myśleć o sobie. Wiśniak nas nie lubi, to prawda, ale ten jest głupi, my się go nie boimy: szlachta nas nienawidzi, pomiała, upokarza. Interesem naszym jest ocalić się i bronić.

Jeżeli rewolucya niechybna, szlachta przez sam punkt honoru, choć nie z ochoty, do niej pójdzie, rząd, który się jej obawia i nie cierpi, użyje tego pretekstu, aby ją tępić, nękać, wywłaszczać,

wydusić. Zważcie panowie, jeśli my ocalejem, co za perspektywa? W każdym narodzie musi się wyrobić po nad masy jakaś inteligencja i rodzaj arystokracji... my jesteśmy materiałem gotowym... zawładniemy krajem..

— Słyszeliśmy już to, rzecz nie nowa — rzekł Jakób — rachuba, nie wiem czy godziwa, ale może być słuszną... do pewnego stopnia. Naprzeciw niej stawię to tylko, że ocalając życie i majątki... *nous sauverons tout... fors l'honneur*. Sam ten fakt, że my jedni zostaniemy cali, już nas potępi. Powtóre, część jakaś szlachty zostanie zawsze. Po trzecie — rząd się znuży i wyczerpie, Rosya ma wewnętrzne kłopoty i choroby... a za lat dziesięć...

— Za lat dziesięć, jeśli my tu nie będziemy panować, tośmy trzech groszy nie warci! — zawołał, ręką machając, suchy człowieczek.

Panujemy już przez giełdy i przez wielką część prasy niemieckiej połowie Europy.. mamy w rękach kawałek Francyi, jeśli nie całą... a tu będzie nasza stolica, Jeruzalem nowe.

— O mój panie! — rzekł Jakób — daleko jeszcze do tego... przez egoizm nie zajdziemy do celu... lepiej jest zbratać się z krajem ofiarą szczerą, wyrobić sobie szacunek, dowieść, że naród Izraela jest narodem szlachetnym, że uciemiężony nie spodli się nigdy, stając przy sile, po stronie ciemności. Bądźcobądź, rachuba chytróści nigdy nie sprosta pocziwej rachubie... liczymy na rzeczy święte...

Co, ty chcesz nas rozumu uczyć? — przerwał Symon — Żyd był od wieków chytry i musi nim być.

— Nie! nie i nie! — zaprzeczał gwałtownie Jakób niewola go zrobiła chytrym, ucisk go fałszu nauczył; rozbite kajdany, drogi otwarte; możemy pójść za głosem *prawa*, które było od tylu tysięcy lat naszą własnością, spadkiem duchowym, lub za siłą, co burzyła nasze świątynie, co nas znaczyła piętnem wyklęcia, co rozlewała krew naszą! Droga mi wielkość Izraela dodał z zapalem ale jej nie gruntuję ani na samym rozumie, ani na podstępie, ani na fałszu, ale na prawie Bożem i sprawiedliwości. Przeciwno głosom narodów, przeciw wołaniu wieków, przeciw potwarzy, dowiedzmy, żeśmy synami tych, co świętymi byli, żeśmy istotnie dziećmi i narodem wybranym. Ja nie chcę dla Izraela wielkości innej, ani panowania innego, tylko pod chorągwią Bożą, a Bóg rozkazuje jedno- -prawość!

Gdy to mówił Jakób, oczy jego płonęły, zapal na chwilę ogarnął niemal wszystkich, Symon począł go ścisnąć, choć udawał, że się śmieje; Mann tylko jeden, trochę z zazdrości, trochę na przekorę, począł dziwnie ruszać ramionami.

— Aj! aj! — rzekł — co to za śliczne deklamacje — aj! aj! jak to znać, kto niedawno w szkole był... aj! aj! ale co z waćpana za dyplomata!

A dlaczego — dodał, porywając się z gniewem — my nie mamy dziś z radością patrzeć na pogwałcenie nieprzyjaciół naszych? Czemu nie mają oni paść pod nogi nasze, kiedy Bóg Izraela daje

nam zwycięstwo? Stałiśmy nieraz u progu tych pałaców, na słocie, a psy ich nas szarpały.—Oni tam jutro przyjdą i odepchnie ich odźwierny... a dusza nasza rozraduje się zwycięstwem wielkiem.

— Tak, więc wyrzucamy to poganom, co sami naśladować myślimy?—zapytał Jakób. — A czemuż naówczas lepsi od nich będziemy? Godziż się nam, dla zemsty, kłaść bezduszną i dowodzić przez to, że nasze prawo ją dopuszcza, lub, co gorzej, nakazuje? My to nie, my jako ludzie osądzeni będziemy — ale z nas świat osądzi naszą wiarę; co zlego uczynimy, na nią spadnie, na całego Izraela.

Dotąd winy nasze śmiało na ucisk i niewolę składać mogliśmy, one były ich dziełem; ale wyswobodzeni, zrównani w prawach, wolni, jeśli nie przestaniemy być tymi Żydami, jakimi nas znała Europa... biada nam! Chcemy się podnieść? Nie bogactwem, nie potęgą, nie rozumem nawet — podnieśmy się — cnotą!

Student! — rzekł Symon, pokazując na Jakóba — widoczna rzecz — student!

Niektórzy się uśmiechali, Bartold namarszczył.

— Wszystko to piękne — rzekł — cnota drogą jest każdemu człowiekowi pojedynczemu, w czło-wieku publicznym, gdy idzie o byt narodu, nie tą się już miarą mierzy.

— Jest to stary i zgubny przesąd — zawołał Jakób—przesąd równający się guślarstwu, co ka-zały trupa pieć tłustość, aby zostać szczęśliwym, tak samo nakazywali starzy politycy być łajdakiem

dla zbawienia narodu To fałsz, narodu złem ocalić nie można.

— Jesteś ostry, absolutny i niepraktyczny — rzekł Bartold — ale ci to darowane, bo życia i świata nie znasz...

— Po nad życiem i światem czuję Boga — rzekł Jakób — i prawo Jego, a prawo nie cierpi wyjątków.

„Wybierzesz życie — mówi Mojżesz — ażebyś żył; będziesz miłował Jehowę, Boga twego, *Prawo*, bo On jest życiem twojem i długością dni twoich.“

— Kochanie moje — szepnął Szymon — jak raz pójdziemy do Mojżesza na konsylium, będzie tej narady na trzy dni, a ja mam spojrzeć na zegarek — giełdę...

— Nie przeczę — przerwał Mann, dumnie spoglądając na Jakóba — że pan Jakób mówi pięknie i szlachetnie, ale to są ogólniki, prawo zachowawcze wyżej nad wszystko stoi. Znacnie to pytanie Talmudu o naczynku wody? My Polaków nie ocalimy, dzieląc się z nimi tą wodą, a podzieliwszy się nią, zginemy z nimi. Czy im co z tego przyjdzie, że zginemy razem?

Wszyscy milczeli, Jakob miał odwagę stanąć jeszcze w obronie swych przekonań.

— Starajmy się czynić wedle sumienia co można — rzekł — równie dla zachowania ich, jak siebie, to obowiązek. Nie uchylajmy się od ofiar, gdy konieczność ofiary przyjdzie, a w dniach boleści podzielmy się ich goryczą.

— Nadto waćpan pieprz hibisz — rzekł Symon — będziesz go w życiu miał do syta, ręczę ci.

Ale tu giełdy godzina, a myśmy nie nie uradzili — poczęli się odzywać drudzy.

— Prawdę rzekłszy — dodał Bartold — ja nie wiem, co na dzisiejszych danych uradzić i postanowićby można? Z wypadków, jakie są i o tem, co być może, niepodobna wyrokować: rzeczy są jeszcze wielce niejasne, należy czekać, w ostatku godzę się z Jakobem iść drogą prostą, tylko nie w przepaść. Mówią Polacy o Cyganie, że się dał dla kompanii obwiesić: tak daleko, sędzę, my nawet dla największej przyjaźni nie zajdziemy i zająć nie jesteśmy obowiązani. Nie sprzeciwiam się ofierze szlachetnej, ale piszę się przeciwko ofiarom bezużytecznym.

I ja z wami — dorzucił Jakób. — Pozostaje tylko dowieść, czy są ofiary bezużyteczne, czy to, co się ma prawo zwać ofiarą, może kiedy spełznąć daremnie? Ofiara ma w sobie moc i siłę, które rodzą zawsze owoce... prędzej czy później.

— Wpadasz w mistycyzm — szepnął Symon — tą drogą dojedziemy do Kabały... a ja się na niej nie rozumiem. Zdaje mi się, że rozprawy skończone, bo rezultat zwykły... zero... otrzymaliśmy.

— Za pozwoleniem przerwał Mann — nie nie wiemy, he? powiedzieliście, otóż tu sęk, w tem wina. Jakto, żebyśmy my nie wiedzieli co się dzieje? do czego idzie? Najpierwsza rzecz, potrzeba tam wpuścić kogoś, rozumiecie, coby rzeczy zbadał

i objaśnił. Tak każe rozum i prosta ostrożność...
Idź ty, Jakóbie!

— O! przepraszam—zawołał Jakób—w żadne spiski się nie wdam, szpiegiem! nawet dla swoich nie będę.

Mann ręką machnął.

— No, to się znajda inni. Co to za szpiegostwo? aj! aj! jaki delikatny! Ja tych komedyj nie lubię.

Splunął gniewny.

— Ja się też boję — dodał Symon — mam to nawet z tradycyi żydowskich, że szpiegów wieszają, a to rodzaj śmierci i niewygodny, i nieprzyzwoity... nogi na powietrzu...

Mann machnął ręką komenderująco.

— Już ja to biorę na siebie, będziemy wiedzieli, a jeśliby co ważnego zaszło, dla narady zawsze mój dom ofiaruję.

— Słowo jeszcze...

— Ani słowa! ani słowa! Giełda! godzina giełdowa!

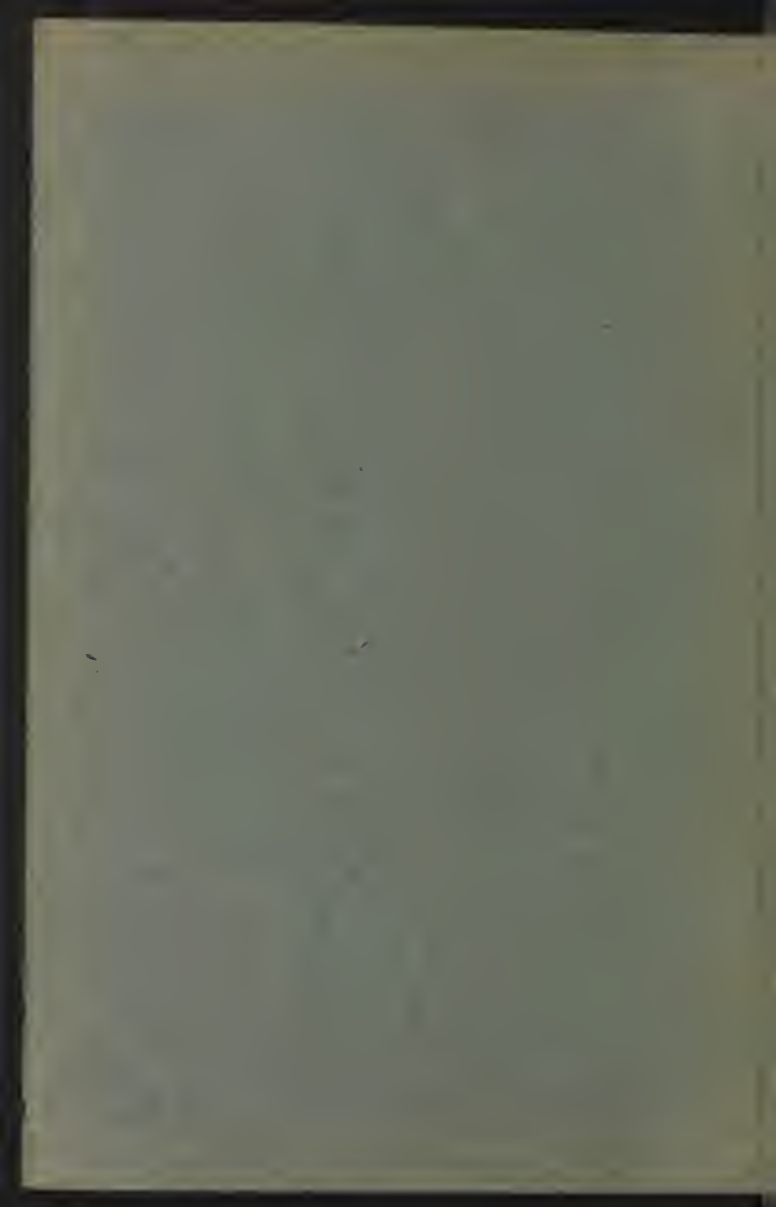
— Tak, tak! godzina giełdy! giełda! — powtórzyło kilka głosów i kilka rąk sięgnęło po zegarki...

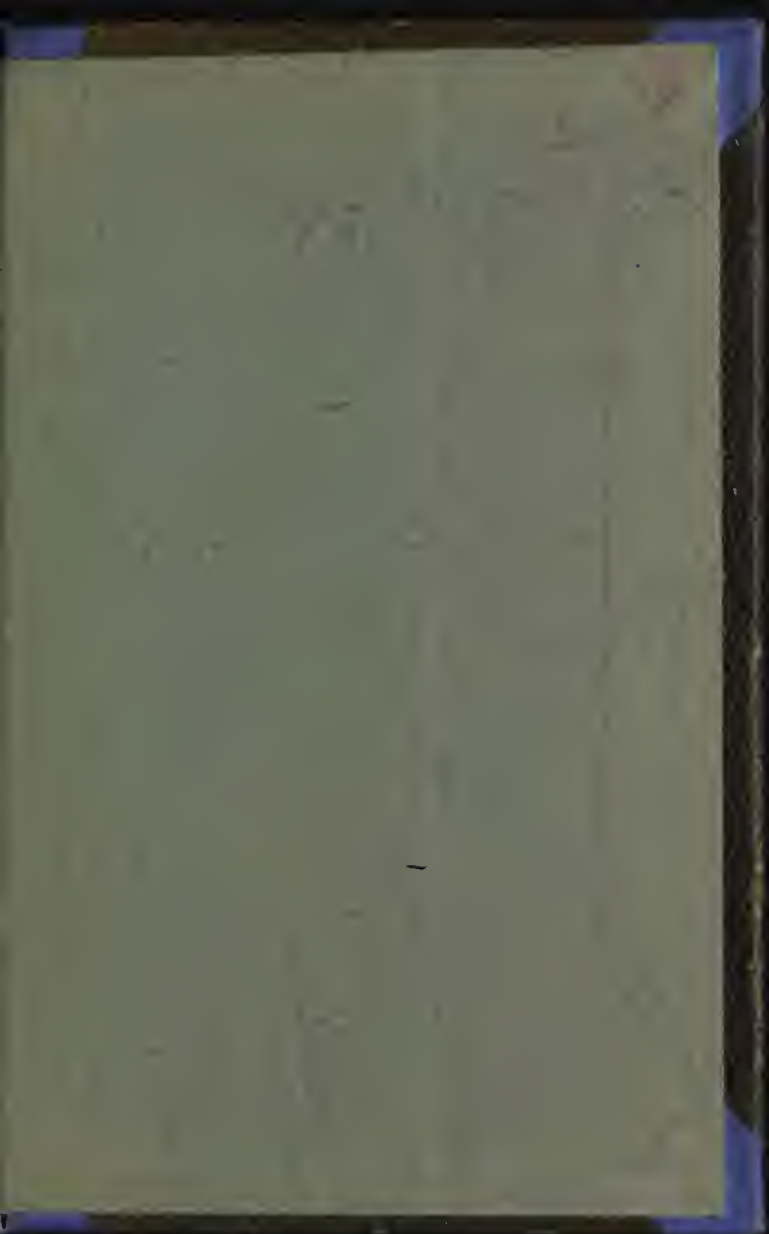
Giełda! wszyscy się zatem ruszyli co prędzej, prędzej daleko, niż na uroczystość do świątyni. bo targ jest największą uroczystością i dla chrześcijan, i dla synów Izraela.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.









Biblioteka Raczyńskich

JIK **475**



JIK0475